

Louise Dean

**CORAZ DALEJ  
OD SIEBIE**

**Przełożyła  
Beata Hrycak**

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

# 1

Nim zachorował na raka, był znudzony życiem. Ponieważ traktował umieranie z należytą powagą, miał co robić; pochłaniały go próby zrozumienia choroby i trenowanie ciała, by stawilo jej opór. Jakież był wytrzymały, fizycznie. Sześć lat operacji i usuwania kolejnych fragmentów organów, począwszy od klatki piersiowej, wtedy komórki nowotworowe zaatakowały płuca, a w dalszej kolejności wątrobę. Pierwsze wycinki wykazały, że każde skupisko komórek nowotworowych jest częściowo złośliwe. Wypowiadał im wojnę. Za każdym razem lekarze informowali jego i rodzinę, że szanse na wyzdrowienie są niewielkie, a nawrót raka jest bardzo prawdopodobny. Rok po roku komórki rakowe wydawały nowy plon, wycinano je, a on żył dalej. To krojenie i dłubanie w jego ciele zdawało się nadawać jakiegoś przewrotnego impetu woli przetrwania.

Uporczywe trzymanie się życia wynikało po części z przekonania, że wraz z upływem czasu owo życie musi nabierać wartości. A te wszystkie zarejestrowane w pamięci obrazy i dźwięki, wytropione myśli? Muszą być coś warte. Muszą sumować się w coś znaczącego. Biliony słów w ciągu tylu lat, uporządkowane w garstkę prostych pojęć. Matka! Kraj ojczysty! Dobro i zło!

Zaniechał pracy. Zajął się czytaniem. Polityka, filozofia, biografie.

Biopsja trzustki ujawniła dalsze przerzuty zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Nie można znowu operować, tak mu powiedziano. Ujął rękę lekarza w obie dłonie, uściśnął i pokiwał głową. Tego samego wieczoru przypadkiem podsłuchał, jak jego żona dzieli się najnowszymi

informacjami przez telefon w gabinecie, za zamkniętymi drzwiami.

- Rozsiało się już wszędzie. Nie mogą mu pomóc - mówiła Annemieke.

Mniej więcej trzy dni później ich dwaj dorośli synowie zjawili się z biletami na dwutygodniowe wakacje w raj, w hotelu z ośrodkiem odnowy biologicznej na karaibskiej wyspie. Bardzo luksusowe. Bardzo ostateczne. Mocno uściskał im oburącz dłonie i pokiwał głową. Annemieke ucałowała synów.

- Jest coraz słabszy - powiedziała, spoglądając na męża - podróż nie będzie łatwa. Ale ja mam siły za nas dwoje - dodała, po czym przeprosiła i poszła odebrać telefon.

Siedział z chłopcami, trzymając w palcach *voucher*, *zaciśkał* usta, gładził wąsy, pomrukiwał basowo, ważył argumenty, słuchając ich relacji. Starszy syn prowadził własną firmę internetową o zasięgu ogólnoeuropejskim, młodszy - kończył doktorat z filozofii na uniwersytecie w Brukseli. Starał się dostrzec w nich ludzi z krwi i kości.

Z drugiego pokoju docierały do niego strzępy prowadzonej przez żonę ożywionej rozmowy.

- Potem - powtarzała wielokrotnie i z emfazą.

Jeszcze raz przeczytał *voucher*. Zalecano: *Vermaak jullie!* („bawcie się dobrze!"), sugerując, że po takim wypoczynku można wrócić i wyzionąć ducha jak należy.

Miały to być ich ostatnie wspólne wakacje. Takich ostatnich wakacji mieli już za sobą kilka, lecz tym razem rzeczywiście zanosilo się na ostateczne. Żona potwierdziła to, przypominając mu w samolocie, że w ciągu trzydziestu jeden lat małżeństwa zdarzały się im dobre chwile. Od czasu do czasu wzdychała, przerzucając kartki kobiecego magazynu, aż wreszcie odłożyła go na bok.

- Takie zatrzęsienie rzeczy - odezwała się, podpierając brodę dłonią i patrząc mu prosto w twarz - a wszystkie puste, nic nieznaczące.

Przytaknął, nie odwracając się w jej stronę.

- Bardzo ładne, doskonałej jakości, a za rok już się nie liczą i jeśli ma się zamiar wydać tak wiele na coś... och, doprowadza mnie to tylko do szału.

Usuając drobinę orzeszka ziemnego z zęba trzonowego, ostrożnie, by nie zetrzeć szminki - była atrakcyjną kobietą - i pociągając ostatni łyk dzinu z tonikiem, oznajmiła, że wedle jej obliczeń podczas trwania ich małżeństwa spędzili razem ponad czterdzieści urlopów. Podała stewardesie plastikową szklaneczkę, małą butelkę i puszkę po toniku. Opakowanie po orzeszkach zwinęła i wsunęła do otworu w puszcze.

Przypominał sobie książki w miękkich oprawach, zmoczone i porzucone przy basenie, grzbietem do góry, w formie bezładnych trójkątów, resztki owoców morza na talerzach, różowe i wysychające. Rozmyślał o nocnych zmaganiach, by zrzucić zatknięte za materac białe prześcieradła. Hotele, szpitale; jedno i drugie wymagały od niego pewnej dozy rezygnacji i uległości. Jego żona nie poddawała się. Była zawzięta. Wykorzystywała swój upór, by doprowadzać sprawy do końca. Jej oczy błyszczały. Jeśli była pragmatyczna, to miała po temu powody. Z początku dawano mu sześć miesięcy życia, jak dotąd przeżył sześć lat. Stała się przez to oschła.

Sześć, prawie siedem lat absolutnej jasności - myślał Jan, napotykał jej spojrzenie i szybko odwracając wzrok - ta przejrzystość spadła na mnie jak Słowo Boże.

- Przepraszam - powiedział, przypadkowo strąciwszy łokciem jej rękę z poręczy. Kolejne pobyty w szpitalu utwierdziły go w przekonaniu, że w relacjach międzyludzkich najlepiej kierować się kurtuazją; był wdzięczny

za dobre maniery. W istnienie miłości, miłości bezwarunkowej, wątpił. Nawet jeśli w grę wchodziły dzieci. Nie miał pojęcia, czy jest przygotowany na śmierć; w końcu nie przebiegało to stopniowo, pozwalając człowiekowi przywyknąć. Śmierć była kwestią rozdzielności, nie łączenia. Pstryk/pstryk. Pistolet startowy strzelał z dokładnością co do sekundy.

Gdy zapaliły się światła „zapiąć pasy”, a żona schowała do kieszeni przed sobą zapasową miniaturową buteleczkę wódki, przypomniał sobie o swoim postanowieniu, by wszystko jej wynagrodzić. Prawie jej nie znał, a w ciągu ostatnich kilku lat dołożył wszelkich starań, by ta znajomość jeszcze bardziej osłabła. Należało sądzić, że żadne z nich nie ponosi wyłącznej winy za taki stan rzeczy i nawet teraz możliwe było, że rozstaną się w przyjaźni. Miał nadzieję, że te wakacje temu właśnie mają służyć; nie powiedział jej tego, założył jednak, że ona czuje podobnie. Wziąwszy pod uwagę fakt, że w gruncie rzeczy umierał.

Po swojej lewej stronie dojrzał bratnich Europejczyków z północy, mrużących oczy i wykrzywiających twarze w nagłym zalewie równikowego słońca. Wyciągnął ramię i zgrabnie spuścił na okno roletę, chwyciwszy ją palcem wskazującym i kciukiem.

## 2

Zadowolenie Annemieke wzrosło, gdy winda ruszyła w górę. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, kiedy światło padło na litery „PH”, oznaczające luksusowy apartament na najwyższym piętrze. Synowie jej nie zawiedli. Pokój odpowiadał jej wymaganiom w kwestii luksusu; mięsiste białe ręczniki, delikatne prześcieradła z perkalu, nierdzewna stal i połyskliwe drewno - wszystko to, co, jak kazano jej wierzyć, jest pożądane.

Mąż usiadł z książką w sypialni, poprawiając okulary i wykrzywiając usta w lekkim grymasie za każdym razem, gdy przewracał kartkę, opuszczając ramiona, a od czasu do czasu nieznacznie wyciągając szyję.

- Sądziłam, że czytanie cię odpręży - powiedziała, wcale nie po raz pierwszy.

Poszła się odświeżyć, gotowa rozejrzeć się po hotelu, sprawdzić, co ma do zaoferowania, tymczasem jej mąż usadowił się z książką. On siedział, ona krążyła. Było tak zawsze; jego choroba jedynie wydobyła tę różnicę pomiędzy nimi, tak jak światło wydobywa obraz z kliszy fotograficznej.

Wyruszyła obejrzyć hotel i obiekty rekreacyjne. Wszędzie panował ład, a co najważniejsze, było czysto. Przywykła do głośnego dziękowania Bogu za czystość wszystkiego, co napotykała na swej drodze. Restauracji, domów przyjaciół, szkół, a zwłaszcza toalet, oczywiście.

- Mogę powiedzieć wiele na temat danego miejsca po odwiedzeniu toalety - oznajmiała różnym słuchaczom, wywołując uśmiech na twarzy Jana i prowokując go do dorzucania ściszym głosem: *summa summarum*.

Powróciwszy do pokoju, przy pomocy starannych, ptasich gestów rąk opisała wysokie sufity, drewniane wentylatory, długie okna z widokiem na lazurowy basen i przylegające do niego marmurowe *jacuzzi*. Miała znakomite wyczucie szczegółu. Basen kąpielowy był osłonięty w połowie dachem w stylu tokańskiego *palazzo*, otoczony wyłożoną płytkami werandą, która wychodziła na opadającą prosto w wody Atlantyku skalę.

- I słuchaj, Janie, są tu takie same kafelki, jakie Leni i Eric mają w łazience z prysznicem. Tyle że tutaj położone są na zewnątrz. Leni lubi myśleć, że nikt inny nie kładzie płytek zewnętrznych we wnętrzach, ale ja już się

z tym kiedyś spotkałam, podczas wakacji w Charente. Powiedziała jej o tym.

Jej wzrok padł na grupkę mężczyzn leniuchujących z wciągniętymi brzuchami przy basenie. Ich partnerki, żywo rozprawiając, siedziały w *jacuzzi*, wystawiając twarze do słońca.

- Na końcu wysadzonej drzewami ścieżki jest zadaszony bar - relacjonowała - przywodzący na myśl wioski wychodek, z trzydziestoma stołkami barowymi przy kontuarze wykończonym cegłą. Pośrodku stoi piec do pizzy, a na zapach pieczonego rozmarynu i gorącego parmezanu poczułam głód. Trzy młode kobiety w hotelowych szlafrokach jadły wspólnie dużą pizzę na cienkim cieście, ciągle napełniano im szklanki jakimś czerwonym koktajlem nalewanym z oszronionego dzbanka.

Przez ogrody porośnięte trawą o szerokich żdźbłach i bujnym, zraszonym wodą kwieciami dotarła do trawnika z niewielką okrągłą sadzawką w środku, za którym znajdował się dziedziniec, skąd można było wejść do części pokojów na parterze, oraz bielone schody prowadzące do głównego budynku hotelu. Na pierwszym piętrze były dwie restauracje, jedna bezpretensjonalna, w stylu francuskiego bistro, masywne drewno i aluminium, druga z kandelabrami i krzesłami o wysokich oparciach, pysznięcymi się przy dużych, opustoszałych, okrągłych stołach. Część personelu siedziała przy jednym z nich i dyskutowała o czymś gorączkowo. Przystanęła na chwilę przy drzwiach, obserwując. Menedżer - który jako jedyny ubrany był w nieformalny strój i jako jedyny miał białą skórę - oparł o blat stołu swe opalone przedramiona i rozłożył odręcznie skreślone notatki, pokazując je obsłudze. Wyglądał na miłego młodego mężczyznę o ekspresyjnej, żywej twarzy. Przystojny, stwierdziła, przerzucając się z opisu na ocenę. I na chwilę umilkła.

Jan ponownie chwycił za książkę.

- Świetnie - powiedział - zdaje się, że to miejsce wręcz dla ciebie stworzone.

Widziała parę młodych ludzi w kostiumach kąpielowych, którzy całowali się już w progu pokoju. Równie dobrze mogliby zaczekać, aż wejdą do środka, widać jednak musieli zrobić to natychmiast. Dziewczyna o hiszpańskim typie urody miała długie pukle ciemnych włosów, mężczyzna był na tyle młody, że wciąż jeszcze miał gładkie, pozbawione owłosienia ciało. Jakaż miękka w dotyku musiała być ich skóra, gdy do siebie przywierali. Tacy młodzi, tacy czyści po kąpeli w basenie, czyści od stóp do głów. Zastanawiała się, czy potrafią sobie przebaczyć, gdy dochodzi do sprzeczki. Może się nie kłóć. Może potrzeba dotykania się nawzajem wypiera wszelkie niesnaski.

Jan kiwał głową, wpatrzony w książkę. Nie była nie- ma, przemawiała do niego, on zaś słuchał i odpowiadał, nie bacząc na obecność żony, która stała tuż przed nim, podekscytowana, oddychała płytko i przeglądała się w lustrze. Nie wyglądała na swoje lata - czterdzieści dziewięć - ale wkrótce się to zmieni, a wtedy nastąpi koniec. Żegnała się na wiele różnych sposobów, i czule, i ze złością. Nie docierały do niego ani jedno, ani drugie pożegnania.

Wyszła z pokoju i skierowała kroki do recepcji. Tam długo oczekiwała na młodą dziewczynę, która miała udzielić jej odpowiedzi na pytania dotyczące konnej jazdy.

W domu dojrzała pomiędzy jego książkami Biblię. Nie zamierzam żyć tak, jakbym już umarła, powtarzała sobie w duchu, i czekała na życie pozagrobowe! Nie potrafiła powstrzymać się od takich myśli. Leżała bezsennie w nocy, próbując przekuć niechęć w prawomyślność.

Pozbierała kilka broszurek, będzie mógł je przejrzeć, jeśli zechce wyjść i zabawić się w turystę. Niech zorgani-



zuje sobie czas. Ona wykorzysta te wakacje zgodnie z własnymi potrzebami. Zafunduje sobie odnowę biologiczną. Jej zdrowie także zasługuje na uwagę. Czyż lekarze nie mówili, że często dobro osoby opiekującej się chorym bywa całkowicie zaniedbywane? Trzymała broszurkę informacyjną na wyciągnięcie ramienia. Zwykle pożyczała okulary Jana.

W recepcji meldował się odrażający mężczyzna, cały zgrzany i przejęty. Zerknęła na sygnet na małym palcu prawej ręki, zlepione od potu kosmyki włosów pod panamą oraz mokrą plamę, która znaczyła mu plecy. Twierdził, że jest z Południowej Afryki, ale akcent miał irlandzki z komiczną, zarozumiałe brzmiącą modulacją i wibrującym „r”. Czekwała, aż ją zauważy, i zauważył.

- Witam - zwrócił się do niej z szerokim uśmiechem.  
- Ładna pogoda, prawda? Zdaje się, że sam jeden podniosłem temperaturę w tym maleńkim pomieszczeniu o dobre pięć stopni.

Wróciwszy do pokoju, wręczyła Janowi broszurki poświęcone miejscowym „atrakcjom kulturalnym”. Wybrała te, które uznała za najbardziej absurdalne: historyczną wycieczkę po plantacjach i popołudniowe nizanie paciorków.

- To coś w twoim stylu - oznajmiła. - Na dole meldował się jakiś prostak z Południowej Afryki. Przystawiał się do mnie. Pewnie wydaje mu się, że przyjechał do Club Med.

Jan spojrzął na żonę, która przycupnęła na brzeżku krzesła naprzeciwko, studiując swoje odbicie w wysokim lustrze. Wyobrazził sobie scenę z recepcji. Zapewne wsparła się na lewym łokciu, pochyliła nad kontuarem i rozmyślnie pozostawiła subtelną przestrzeń pomiędzy białem a piersią. Smukłe palce bawiły się naszyjnikami, a kiedy mężczyzna odwrócił się w jej stronę, posłała mu ten sam

leniwy uśmiech, który teraz podziwiała w lustrze, spojrzenie, które sprawia, że mężczyzna musi się obejrzeć.

### 3

Następnego ranka Annemieke zadzwoniła do recepcji, by ustalić, czy są wolne miejsca na masaż całego ciała. Było tylko jedno. Może przyjść od razu. Jan zdążył się już obudzić, czytał, robił jakieś zapiski w małym notatniku, który kupił osobiście, siedział na balkonie z kawą i papierosem. Musiała się uśmiechnąć, spoglądając na Jana usadowionego na zewnątrz ze swoją „książką skarg i zażaleń”. Zajrzała do niej raz czy dwa podczas jego nieobecności. Wypełniały ją na pół filozoficzne refleksje i spostrzeżenia, do których skłoniła go lektura, kilka dotyczyło ludzkich cnót, inne były starannie zaopatrzonymi w odsyłacze cytatami, jeszcze inne wydawały się jego własnymi przemyśleniami. Mogła wyczytać w nich sporo krytyki własnej osoby - bardziej niż prawdopodobne, że to właśnie ona była ową „klasą średnią”, „burżujką”, hedonistką, materialistką, do której robił liczne nawiązania. Wraz z naszą śmiercią umrze wszystko, powiedziała sobie w duchu, nawet wina. Dzieci nie będą chciały jego książek, zapisków i komentarzy.

- Pomyślałem, że może wybralibyśmy się na wycieczkę - odezwał się miłym głosem. - Moglibyśmy wynająć samochód. Rozejrzeć się po wyspie.

- Ja nie przepadam za zwiedzaniem, Janie - odparła - przecież dobrze wiesz.

Umyła się starannie; chciała czuć się swobodnie na stole do masażu. Oddawanie się przyjemnościom niosło z sobą wiele różnorodnych napięć. Czas i pieniądze przeciekają przez palce, gdy tymczasem człowiek usiłuje się odprężyć. Obojętny masażysta bądź niedbała kosmetyczka, nieprzy-

jemny sposób bycia, bolesny, głęboki masaż lub zabieg, cienkie ręczniki czy też widok własnego odbicia w wielkim lustrze od podłogi do sufitu w jaskrawym oświetleniu: każda z tych rzeczy mogła zniweczyć całą przyjemność.

Stał, kiedy wychodziła z pokoju.

- Moglibyśmy zjeść wspólnie lunch - powiedział.

- Zajmij się sobą, nie chciałabym cię zatrzymywać.

Nagość osłonięta szlafrokiem, oczekiwanie z filiżanką cytrynowej herbaty przed gabinetem masażu. Muzyka puszczana przez głośniki wzmagala jej niepokój. To była muzyka młodych, rytm, dudnienie, zgrzyt, gorączka. Nie zdoła się przy niej zrelaksować.

Usłyszawszy zwyczajowe polecenie rozebrania się i położenia pod cienkim białym prześcieradłem, po którego wydaniu masażystka zostawiła ją samą, poczuła się swobodniej. Światła zostały przyciemnione, muzyka ściszona. Zjawiwszy się ponownie, masażystka zadawała Annemieke pytania monotonnym głosem ze wschodnioeuropejskim akcentem, przerywała je uwagami na temat używanych do masażu olejków, nie zmieniając przy tym ani tempa, ani intonacji.

- A więc przyjechała pani z mężem. To jest *neroli*, olejek z kwiatu pomarańczy i bergamotki, bardzo dobry na pobudzenie zmysłów i poprawę nastroju. Rozumiem w takim razie, że dzieci są starsze. Wyprowadziły się.

- Jak pani sądzi, ile mam lat? - spytała Annemieke.

- Czterdzieści parę - rzekła - niewiele ponad czterdzieści.

Annemieke przypomniała sobie o możliwości wręczenia masażystce napiwku. Wzbudziło to w niej niepokój dokuczliwy jak zgaga. Zaczęła zastanawiać się, ile czasu już minęło, ile jeszcze pozostało. Gdy otworzyła oczy i przekręciła lekko szyję, chcąc dojrzeć tarczę zegara, coś strzyknęło jej w karku, wydała okrzyk. Masażystka przemówiła łagodnie.

- Uszkodzi sobie pani kręgi szyjne. Prowadzi pani bardzo stresujące życie.

Upłynęło dwadzieścia minut.

- Tak - rzekła Annemieke i zacisnęła powieki oraz usta.

Masażystka przyłożyła opuszki palców do skroni Annemieke i masowała je okrężnymi ruchami, delikatnie, stopniowo zwiększając nacisk. Oczyma wyobraźni Annemieke ujrzała twarz Jana o rysach zgrubiałych od smutku. Dziewczyna zakończyła masaż mocnym przesuwaniem kciuków po miękkiej podeszwie stopy Annemieke, ściskając ją niczym jakąś cenną zdobycz, doginając palce stóp do swego obojczyka.

Przy recepcji rekreacyjnej części hotelu, ubrana w szlafrok Annemieke podpisała szybko pokwitowanie, patrząc na kontuar, nie na dziewczynę. Nie zostawiła napivku.

Tylko homoseksualista albo człowiek skończony może nosić kuse szorty, pomyślała Annemieke, stając nieruchomo przed mężczyzną. Południowoafrykańczyk podciągnął krótkie szorty, zebrawszy je w okolicach kostek i z trudem umieścił swe genitalia w siateczkowym wnętrzu. Spodenki były uszyte z ciemnogramatowego nylonu i miały oblamowane białą taśmą rozcięcia po obu stronach.

Po masażu Annemieke celowo weszła do niewłaściwej przebieralni. Zauważyła, że to szatnia dla mężczyzn i przed wejściem lekko poluźniła pasek szlafroka, by pogłębić dekolt. Dzień wcześniej, gdy czekała na windę, usłyszała jak Południowoafrykańczyk umawia się na masaż w południe - czy raczej na „masażyk”, jak się wyraził - i traf chciał, że znaleźli się obydwójce w ciasnej, ascetycznej białej przebieralni, a jej zsuwał się z ramion szlafrok.

Tego rodzaju mężczyzna sobie nie odmówi.

- Musiałam pomylić kabiny - rzekła z obnażonym ramieniem, z jego miny wywnioskowała, że ją sobie przypomina, zaś z idiotycznego ruchu ust, że błyskawicznie kojarzy fakty i dostaje erekcji.

Zablokowała drzwi z tyłu jednym przyciśnięciem okrągłego guzika na klamce. Zbliżyła się do niego i wsunęła dłoń do skąpych szortów, wylawiając zdobycz z sieci. A on cały czas uśmiechał się jak kawał sukinsyna. Z kamiennym wyrazem twarzy pociągnęła kilkakrotnie za gorącą i włochatą zawartość własnej dłoni, by nadać sens tej pomyłkowej sytuacji. Pokornie i ostrożnie położył ręce na jej pierśsiach, jak gdyby czekając na dalsze instrukcje. Zrobienie minety takiemu facetowi nie wchodziło w grę. Poprowadziła jego małą prawą rękę między swoje uda.

- Okej - rzekł z przyjaznym uśmiechem, wtykając kciuki za pasek szortów i opuszczając je po pulchnych krągłościach. Łobuzersko kołysząc biodrami, pozwolił im zsunąć się do kolan. Jeszcze jedno potrząśnięcie ciałem i spodenki opadły do kostek, i wszystko wskazywało na to, że już bardziej się z nimi nie rozstanie. Usiadła, podciągnąwszy szlafrok na wysokość bioder, podparłszy się z tyłu rękoma i wygiąwszy w łuk plecy, po czym zaczęła powoli odsuwać dłonie do tyłu.

Ukląkł nad nią, wspierając się na jednej ręce, drugą gładząc swego starego druha, i zabrał się za posuwanie kobiety w średnim wieku w okazałej hotelowej toalecie, tuż przed poniedziałkowym lunchem.

#### 4

Na widok tak zgorzkniałego na pierwszy rzut oka starego mężczyzny, poczerwieniałego od upału, Jan zajął miejsce przy barze poza, jak założył, ograniczonym za-

sięgiem głosu starego. W ciągu ostatnich kilku lat spędził niemało czasu we wszelakich barach, chociaż pił niewiele. Lubił publiczną prywatność. Lubił od czasu do czasu oderwać się od swej codzienności, nacieszyć chwilą cywilizowanego wychnienia i odmienną perspektywą.

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi, gdy Janowi przyniesiono dużą butelkę San Pellegrino wraz z wysoką szklanicą z cienkiego szkła i cząstką limonki. Wychylił się w bok; zadał sobie wielki trud, by podpatrzeć, w co Jan jest ubrany.

Pochwyciwszy nawzajem swoje spojrzenia, uśmiechnęli się do siebie półgębkiem.

- Ciut gorąco - obwieścił głośno starszy mężczyzna, wachlując się kołnierzykiem koszuli.

Jan zrobił unik, unosząc brwi i przekrzywiając głowę z braku przekonania.

- Och, dość znośnie.

Starszy mężczyzna pokiwał głową i nie odparł nic, potem jednak, najwyraźniej zmieniawszy zdanie, przysunął się bliżej Jana.

- Nie słyszę pana, kolego. Co pan powiedział?

- Tak. Rzeczywiście gorąco.

- Był pan już tutaj?

- Nie, jestem tu po raz pierwszy.

- Sam? - zapytał mężczyzna, obnażając kły.

- Nie, nie. Z żoną. Właśnie na nią czekam - odrzekł Jan, spuszcżając wzrok na szklankę, żeby mężczyzna nie mógł odgadnąć jego myśli. Miał mu za złe, że wtrąca się w jego sprawy. Musiał jeszcze wiele przemyśleć, a czas umykał. Czy to możliwe, by taki stary mężczyzna był aktywnym homoseksualistą? Możliwe, nosił przecież wąsy, lecz homoseksualiści są zazwyczaj pisarzami albo artystami. Ten nie wyglądał ani na literata, ani na plastyka. Był Anglikiem, może Australijczykiem, mówił z szorstkim akcentem.

- Ja tak samo.

Jan miał nadzieję, że na tym rozmowa się zakończy. Był gotów wstać i pożegnać się uprzejmie, machnąć podpis, zostawić niedopite dwie trzecie butelki.

- Ej - odezwał się mężczyzna, wymawiając głoski z przydechem, jak gdyby zwracał się do policjanta. Pochylił się nad barem i poruszał brwiami. - Zauważył pan przypadkiem, że damy chadzają tu topless? - Błysnął niebieskimi oczami.

Jan uśmiechnął się sztywno.

- Nie, nie byłem jeszcze przy basenie. Kiepski ze mnie pływak.

- E tam - powiedział - do diabła z pływaniem. Ale z mojego miejsca można, jak to się mówi, rozpoznać teren. Napaść oczy.

Jan przymknął powieki i wziął wdech przez nos. Kiedy choroba zaatakowała po raz pierwszy, zawarł układ z samym sobą, że będzie z ludźmi szczery. Ma zbyt mało czasu, by ich dopieszczać. Odwrócił się na stołku barowym do starszego mężczyzny i powoli otworzył oczy, gotów zaprezentować swe surowe oblicze. Mężczyzna przesunął brwi w górę i w dół, fałdy na czole walczyły z fałdami skóry na karku. Jan przypomniał sobie angielskie filmy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, seriale komediowe z cyklu *Carry On films*. Roześmiał się.

- Czego się pan napije? - spytał, odsuwając na bok szklanekę z wodą.

- Skoro pan nalega, piwa z cytryną - odparł z zadowoleniem mężczyzna, prostując się w krzesło i przyglądając uważniej nowemu znajomemu. - Pan stawia?

- Oczywiście.

Puścił oko, przekrzywiając na bok głowę.

- W takim razie piwo zapiję whisky.

## 5

George Davis siedział przy basenie, podwinąwszy nogawki spodni, i rozmyślał. On i jego żona Dorothy byli na nogach od szóstej. Nigdy nie należał do śpiochów, teraz zaś nie sypiał niemal wcale. Miał mnóstwo czasu na snucie refleksji nad przeszłością, od kiedy przeszedł na emeryturę w wieku siedemdziesięciu lat, jednak wydawała się ona studnią bez dna. Ta sama rzecz mogła przybierać tak wiele różnych obliczy. Przed jedenastą George stał przy barze Hibiskus, popijając piwo imbirowe z niskiej szklanki. Był nieusatisfakcjonowany, zwykle bowiem preferował piwo imbirowe z kapką whisky. Utkwił spojrzenie w zegarze naprzeciwko. Był to stary zegar kolejowy w dębowej oprawie, na którym można było rozszyfrować datę - 1856. Czekał, aż wybiję południe, dla przyzwoitości.

Nie miał wielu urlopowych wspomnień. Pierwsze wakacje spędził z Tubbym Haynesem w Brighton. Pojechali tam na motorach, w nocy kimali na ławce. Cudowne czasy, masa dziewczyn. Fascynujące było choćby minąć taką grupkę - zawsze prowadziły się pod rękę, szepcząc coś między sobą, a on i Tubby uchylali kapelusza jak prawdziwi dżentelmeni. Z wypomadowanymi rudymi włosami i podkreconym wąsem, wysoką sylwetką, prezentował się doskonale. Zapraszali z Tubbym dziewczyny, a czasem również ich matki, na lody na nabrzeże. Sześć pensów za rożek. Tubby niby to przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu monet. Ale o forszę zawsze starał się George. Ciężko pracował i nie był rozrzutny. No i staruszek wspomagał go jak mógł i kiedy mógł.

Osłoniwszy oczy, popatrzył prosto na ocean, potem odwrócił się i przeniósł wzrok na hotel. Pomiędzy dwoma głównymi budynkami karaibskie słońce mocno



prążyło, odwzajemniając spojrzenie, bezczelnie i bezwstydnie.

Lubił mnie, ten stary brach naprawdę mnie lubił. Bez dwóch zdań.

W książce telefonicznej *British Telecom* nie figurował żaden Thomas Haynes zamieszkały w rejonie Londynu. Kilka tygodni temu nosił się z zamiarem odszukania go. Niemal co dnia myślał o Tubbym Haynesie i reszcie dawnej paczki. Pewnie wszyscy pomarli, skoro nie mógł odnaleźć Tubby'ego. Cała banda. Pozostał przy życiu jako ostatni, nie mając z kim dzielić wspomnień.

Żona podpuszczała go specjalnie:

- Za każdym razem, jak ktoś do ciebie dzwoni, to tylko z informacją, że taki to a taki kopnął w kalendarz. Cieszę się, że porzuciłam przyjaciół dawno temu, kiedy za ciebie wyszłam.

- Nikt ci nie kazał rezygnować po ślubie z przyjaciół.

- Przecież przeprowadziliśmy się na wieś, a nie?

- Po wojnie - mówił. - W czasie wojny, kiedy byłem daleko, miałś wiele okazji do zawierania przyjaźni.

Wówczas nie patrzyła mu w oczy.

- Wyjechaliśmy z Londynu i już nigdy potem nie spotkałam się z Glenys Guthrie. Ani z żadną inną dziewczyną z papierni.

Takie gadanie go irytowało, zatem przerywał jej, cokolwiek by robiła, stawał przed nią i wylewał swoje żale.

- Chciałaś wychowywać dzieci na wsi, żeby miały świeże powietrze, tak mówiłaś, i wyjechaliśmy tam dzięki mnie i mojemu pomysłowi na ogrodnictwo. Przez trzydzieści z okładem lat nie zarobiłem na tym ani grosza, ale nie poddawałem się, ponieważ twierdziłaś, że tego właśnie pragniesz.

- Nigdy nie prosiłam, żebyś kurczowo trzymał się ogrodnictwa! - podnosiła głos, który stawał się tak

przenikliwy, jak gdyby dobywał się z uwięzłego w gardle gwizdka.

Zawsze spierali się o przeszłość, jakoś nie potrafili razem wspominać dawnych czasów.

Czuł, jak serce wali mu na samą myśl o tym. Dlaczego tak bardzo liczyło się to akurat teraz, kiedy już na wszystko było za późno? Jakby kłócił się o własne życie.

- Poślubiłaś mężczyznę, który nie dawał łatwo za wygraną. Co za pech. Nie mogłaś pisać listów do tej przekłetej Glenys Guthrie?

- Pisałam - mówiła łamiącym się głosem, a dolna warga zaczynała jej drżeć.

- A . . . ONA... NIGDY... NIE... ODPISAŁA - jego głos niósł się po całym Londynie, gdy był u kresu wytrzymałości.

- Zapominałam o adresie zwrotnym.

- Miała inne rzeczy na głowie. Jak my wszyscy. Ja tyrałem jak wół w tym piekielnym bagnie, wyciągając z ziemi sałaty nie większe od chwastów w nadziei zarobienia paru groszy, a ciągle coś szwankowało, bez przerwy trzeba było coś naprawiać albo kupować... Spójrz na mnie, co ja mam z tego życia? - widział, że ona już ustępuje, a wówczas powtarzał pytanie, chcąc oszukać i ją, i samego siebie, że jeszcze jest o co walczyć. - No, co ja z tego mam?

- Możesz winić tylko siebie! - odpowiadała, milknąc natychmiast po wyrzuceniu z siebie tych słów.

Ponieważ ostatnimi czasy regularnie inicjowała rozmowę o dawnych przyjaźniach, rzucali się sobie do gardeł niemal co tydzień. Nie wiedział, co się z nią dzieje, dlaczego tak nieustannie czepia się jednego tematu. Powinien nauczyć się puszczać to mimo uszu, widząc, że najwyraźniej i tak nie słucha tego, co mówił, ale było pewne, że następnny tydzień znowu zacznie od słów: „Oczywiście, że musiałam porzucić przyjaciół”.

- Rozum ci odbiera - mówił.

- A ty robisz się głuchy jak pień, więc jesteśmy kwita - ripostowała, aż zagryzając z uciechy wargi, bo tak była zadowolona ze swej błyskawicznej reakcji, podobnie jak wtedy, gdy natrafiła na słowo z „x” podczas gry w *scrabble*.

Tydzień przed wyjazdem nie odzywał się do niej przez trzy dni. Potem wpadła do nich młodsza córka po szczepki pelargonii. Ponieważ inni przychodzili po fotografie, medale, porcelanę stołową, relikty przeszłości, ich dom przypominał muzeum z eksponatami na wynos, jak powiedział kiedyś swemu przyjacielowi Normanowi.

Niebawem minie sześćdziesiąt lat wspólnego życia, a nadal łączyła ich miłość, w sensie praktycznym, choć nienawiści także nie brakowało. Nie przyjmował do wiadomości, że może istnieć małżeństwo, w którym nie byłoby równej dozy miłości i nienawiści. Świat tak już był urządzony, to człowieka po trochu wykańczało, przygotowywało na koniec.

- Jakoś będziesz musiał zdzierżyć - mawiała i była to jedna z rzeczy, które, jak ostatnimi czasy zauważył, zaczęła robić, choć dawniej ich nie robiła. Stawała się złośliwa, a w dodatku napawało ją to radością i satysfakcją. Nie zadowalała się tym, że do niej należało ostatnie słowo; musiała postawić na swoim jeszcze raz. Dlatego czmychnął do baru, oznajmił, że wychodzi zaczerpnąć odrobiny świeżego powietrza i poszukać normalnego towarzystwa.

- A idź, idź - rzekła - guzik mnie to obchodzi. Nawet jeśli znajdziesz kogoś do rozmowy, nie dosłyszysz, co do ciebie mówi.

Zostawił ją więc w pokoju, a gdy tylko znalazł się krok za drzwiami, od razu opadły go wyrzuty sumienia, był zły na nią i na siebie, miał wszystkiego dosyć. Powinien zrobić

w tył zwrot i się z nią pogodzić, ale było już za późno. Złe nawyki będą im towarzyszyć aż do grobowej deski.

- Moja żonka nie paliła się do tego wyjazdu - przyznał przed Janem. - Jest typem domatorki. Siedzi w pokoju. O rany, równie dobrze mogliśmy nie ruszać się z domu. Ma swoją książkę i filiżankę herbaty, i nic więcej do szczęścia jej nie potrzeba. Wiecznie musiałem ciągnąć ją za sobą, cokolwiek żeśmy robili. Nie zawsze chciała tkwić w domu, ale ostatnio jej się pogorszyło, może przesiedzieć cały boży dzień na czterech literach; rozmyśla, tak mówi, albo czyta - uniósł brwi i westchnął. - Mam wrażenie, że ciągle jest na tej samej stronie.

- Przypuszczam, że moja żona ma o mnie podobne zdanie - rzekł Jan, dopijając drinka.

- T a k ?

- Jak najbardziej. Ja również lubię własne towarzystwo.

- Nie jestem przekonany, czy tak jest w wypadku mojej żonki. Czasem trudno do kogoś dotrzeć, choć zna się go całe życie. Prawdę mówiąc, z upływem lat staje się to coraz trudniejsze. Jakby znalazło się tysiące okrężnych dróg, objazdów, szlabanów, rozumie pan, innych kierunków ruchu. Wie pan, co mam na myśli?

- Tak, wiem.

- Jeszcze jedną kolejkę?

Jan spojrział na zegar. Wpół do drugiej. Annemieke skończyła już masaż, widocznie zrezygnowała z jego towarzystwa. Może poszła na lunch sama.

Dorothy Davis rozmasowywała sobie przez pończochę palce stóp, przycupnąwszy na brzegu łóżka obok torebki.

- Nie mam ochoty na obfitą kolację. Zjadłam jakieś ochłapy na lunch. Bynajmniej nie dzięki tobie. Sama zamówiłam do pokoju. No, ale skoro już się umówiłeś, będziemy musieli pójść i tyle. Wolałabym zjeść kanapkę w pokoju. Ale po co robić z igły widły, prawda?

- Nie odpuścisz sobie, co? - rzekł George, zdejmując koszulę i wycierając nią pachy. Położył ją obok Dorothy na wielkim hotelowym łożu.

- Otwórz walizkę, George, znajdziesz worek na brudne ubrania na samym wierzchu - poradziła.

- Jesteśmy na wakacjach - skonstatował, upuszczając papieraś od cukierka do popielniczki na stoliku, otworzył drzwi, które prowadziły na balkon, a przy okazji przyjrzał się dokładnie mechanizmowi. Ładna robota. Poczęstował się garścią karmelków wystawionych na kontuarze przy recepcji.

- Z tego, co tu napisano, wynika, że w koszt pańskiego pobytu wliczone jest wszystko oprócz napojów alkoholowych - poinformowała uczesana w kok recepcjonistka. Tonem towarzyszącej lekarzowi pielęgniarce. Rozluźnił zaciśnięte na cukierkach palce.

Wakacje zafundowała im wnuczka. Ma trzydzieści lat, pracuje w banku i zarabia fortunę. Od czasu do czasu posyła im prezenty z niezrozumiałymi bilecikami w rodzaju „Tak po prostu...” albo „Miłego wtorku”. Teraz wysłała ich na pierwszy i ostatni luksusowy urlop.

Gdy zostali sami w pokoju z broszurką reklamową ułożoną pomiędzy nimi na niskim stoliku, George zaczął sunąć palcem po przykładowym menu, jakie serwowano w bufecie. Przy podkreślonym maksymalnie gazowym kominku i odgłosach smagającego szyby okienne deszczu, czytał na głos jadłospis.

- Świeże ostrygi, krab, krewetki tygrysie w pancerzykach, fileć *mignon*, obsmażane filety z tuńczyka, duszone

warzywa korzeniowe, sałatki z ziołami, świeże warzywa z upraw ekologicznych - oto niektóre z potraw, jakie znajdują państwo na naszym szwedzkim stole.

Przeszedł ją dreszcz.

- Dostałam gęziej skórki - oznajmiła, odkładając wypożyczoną z biblioteki książkę.

- O gęsi nic tu nie ma - odparł ze śmiertelną powagą, nie podnosząc wzroku - ale posłuchaj no tylko; do typowych dań z karty, serwowanych przez naszego szefa kuchni Jeana Martina, należą *boeuf bourguignon*, perliczki pieczone na wolnym ogniu i kaczka w pomarańczach. Obierają te pomarańcze ze skóry, nim wepchną je ptaszyskom w zadek, jak myślisz?

- Chodzi o sos.

- Wiem - powiedział, wzdychając i sprawnie zsuwając chorą nogę ze sprężynowego podnóżka, by uniknąć gwałtownego bólu w łydce. Słyszała, jak tłukł się w spiżarni, celowo robiąc rumor, który miał ją zaniepokoić, a ona, jak na umówiony znak - była na zawołanie przez pięćdziesiąt pięć lat - szła za nim do kuchni i pomagała mu zaparzyć herbatę.

- Zadzwoń do niej - rzekła, wtykając głowę przez drzwi - zadzwoń i powiedz, że nie możemy jechać ze względu na twój artretyzm. Jeszcze nie zapłaciła.

Nie odwrócił się od półek, wyjął za to z górnej kieszeni okulary do czytania, by zmrużywszy oczy, odczytać napis na etykiecie słoika z warzywami w pikantnym sosie musztardowym.

- Zapłaciła. Naszym zadaniem jest tylko stawić się na miejscu.

Podał jej słoik, ona odstawiła go na bok i poszła wyjąć z lodówki szynkę. Temat był zamknięty.

I teraz tkwili tu, w białym pokoju z posadzką z jasnego kamienia zasłaną miękkimi, białymi dywanami, z wydymającymi się od bryzy zasłonami i balkonem z wido-

kiem na morze. Czuli się obco i byli obcy sobie. Pozbawieni krzyżówek, które można rozwiązać, poczty, którą trzeba przynieść, herbaty, którą trzeba zaparzyć, bez rygorystycznie przestrzeganej radiowo-telewizyjnej parady wiadomości włączanych o siódmej rano, jedenastej, pierwszej po południu, piątej, dziewiątej wieczorem, bez tych samych informacji podawanych do znudzenia na wiele różnych sposobów przez cały dzień, póki nie przestaną kogokolwiek obchodzić, cóż mieli do roboty?

- George, sprawdź, czy jest żelazko - poprosiła męża, który stał na balkonie wystrojony w podkoszulek i sztruktosowe spodnie, spoglądając na basen w dole.

- Topless - powiedział ponuro. Uniosła brwi.

- I nic tu nie wskórasz - ucięła. - W tym wieku nie przypominasz mężczyzny z dawnych czasów.

Poszedł do łazienki, ona podreptała za nim. Obrzucił prysznic badawczym spojrzeniem, jakim zwykle obrzucał wadliwe kaloryfery i używane samochody, skontrolował jego głowicę, uznał, że Dorothy może bezpiecznie z niego skorzystać, gdyby miała takie życzenie, lecz on sam tylko się ochlapie, odświeży i wytrze. Dorothy zerknęła w lustro na wąsik nad wiecznie ściągniętymi ustami.

- O Chryste - powiedziała i poszukała w kosmetyczce szminki.

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła czarnoskóra kobieta w eleganckiej zielonej sukience oraz narzuconym na nią fartuszką i oznajmiła, że pościeli na noc łóżko. Wyłoniwszy się z łazienki, Dorothy podeszła do George'a i stali tak oboje z opuszczonymi ramionami, odwrócenimi plecami do ściany, czekając, aż kobieta skończy się krzątać. Skinęli głowami i podziękowali, zauważywszy, że obojgu lekko zadrżał głos i że postarali się o bardziej elegancki akcent.

- Zostawiła na poduszce czekoladki - stwierdził George, sięgając po swoją. - Są zimne - rozwinął jedną z papierka i zatopił w niej zęby - miętowe. Chcesz?

Pokręciła głową, on zaś ponownie wyszedł na balkon, czekając, aż Dorothy skończy makijaż.

Weszli do baru punktualnie o szóstej trzydzieści, zrobiwszy dziesięć minut wcześniej obchód ogrodów. Stwierdzili, że są praktycznie sami, z wyjątkiem barmana. George miał zwyczaj wdawać się pogaduszki z obsługą, zawsze i wszędzie. Ale barman nie zamierzał nawiązywać rozmowy, ani też patrzeć im w oczy. Dorothy poczuła, jak kaszmirowy szal - prezent urodzinowy od wnuczki - ciąży jej w dusznym upale niczym gronostajowa etola.

George podał jej specjalny koktajl powitalny i wyjął z jej szklanki maleńką papierową parasolkę, gdy po raz drugi wsadziła ją sobie do nosa. Wypił drinka, zacisnął zęby i zmarszczył czoło, spoglądając na morze. Porównywano go do generała Montgomery'ego, ponoć był do niego fizycznie podobny.

W miarę napływania kolejnych gości, głównie par, Dorothy i George odsuwali się na bok, by ułatwić nowo przybyłym dostęp do baru, po czym wracali na zajmowane poprzednio pozycje. Wraz z wybiciem siódmej ruszyli w stronę restauracji.

## 7

Gdy podszedł kelner, chcąc przyjąć zamówienie na napoje, Dorothy właśnie smarowała masłem bułkę i nie miała bladego pojęcia, o co poprosić. George ponaglił ją niecierpliwie, okropnie spragniony.

- No, moja droga, damy mają pierwszeństwo - rzekł ostrym tonem, przewracając oczami do karaibskiego kelnera. Kręciły się skrzydła wentylatorów, głośno gra-



ła muzyka, Dorothy poczuła, że ją poganiają. Rozmyślała nad wysiłkiem, jaki włożono w nakrycie stołu. Przyjrzała się bufetowi z taką samą uwagą, jaką sportowiec poświęca grze, w której bierze udział. Myślała o tym wszystkim w kategoriach czasu, jaki pochłonęły przygotowania, co najmniej jak gdyby to jej własne ramiona ociekały sokiem ananasowym, jakby ser wciskał się pod jej paznokcie, a mąka osypywała się na jej pantofle.

- Sherry - odparła pospiesznie, żałując, że nie przychodzi jej do głowy nazwa jakiegokolwiek zimnego napoju, który lubi.

- Piwo, dziękuję - rzekł George z uprzejmym, choć sztywnym uśmiechem. Wiedziała, że George boi się kelnerów. Tak samo zachowywałby się przed świętym Piotrem, który miałby go sądzić.

- Ładnie wyglądasz - powiedział.

Miała na sobie długą sukienkę z rękawami, którą kupiła na pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

- Och, to. Pamiętasz. Kupiłam tę sukienkę w Eastbourne z dziewczętami. Nawet za bardzo się nie sprąła. - Uśmiechnęła się i dodała: - ty też się odpicowałeś.

Założył szelki w kropki na brązową koszulę w kratę oraz lekką beżową marynarkę, którą przed wyjazdem oddał do pralni. Bębnił palcami po blacie stołu, wprawiając delikatny wazonik z kwiatami w drgania, i wyciągał szyję w stronę dwuskrzydłych drzwi.

- Zastanawiam się, czy nie powinienem po nich zadzwonić - powiedział, spoglądając na zegarek.

- Minęła dopiero siódma.

- Widzisz, on chciał jeść o ósmej. Ale ja powiedziałem, że wolelibyśmy z żoną zejść na dół o siódmej, jeśli mu nie wadzi. Odpowiedział, że w porządku, ale nie wiadomo, czyśmy się zrozumieli, prawda?

- A więc on nie mówi po angielsku? - spytała Dorothy drżącymi ustami.

- Ależ mówi. I to z poprawnym akcentem, żadnych głupkowatych „**dźń** dobry” i „do widzenia”.

- A jego żona?

- Nie wiem, nie poznałem jej. Powiedział, że poszła na odnowę biologiczną.

- Więc jest młoda?

- Nie mówił.

- No a on ile ma lat?

- Nie wiem. Myślę, że jest w średnim wieku.

- A h a .

Jan i Annemieke skręcili za dwuskrzydłowe drzwi, szli tuż obok siebie, Annemieke położyła mężowi dłoń na ramieniu, jak gdyby prowadząc go we właściwym kierunku. Belg był ubrany w sportową marynarkę i spodnie drelichowe, jego żona włożyła wciętą w talii sukienkę, obszytą na dole koralikami, z głębokim dekoltem wykonanym falbanką. Odważnie potraktowała zestaw do makijażu, nałożyła zieleń na powieki, ciemny brąz pod łukiem brwiowym, połyskliwy róż na wydatne kości policzkowe. Usta pociągnęła mieniącą się beżową pomadką, przypominającą zastygłą marmoladę.

Starsza kobieta! - pomyślała Annemieke, rzucając okiem na Dorothy i obracając twarz do Jana w nadziei pochwycenia jego spojrzenia, by dać mu do zrozumienia, że nie jest tym faktem szczególnie zachwycona. Gdyby miała ochotę jadać na urlopie kolacje w towarzystwie starszych pań, mogłaby udać się w odwiedziny do własnej matki. To są moje wakacje, zaczęła mówić sobie w duchu, uprzedzając rozmowę, którą miała później przeprowadzić.

George był w siódmym niebie, zerwał się z miejsca, by odsunąć krzesło dla żony swego znajomego i jednocześnie kiwnął na kelnera.

- Napoje — mówił, łapiąc za wyimaginowaną filiżankę i podnosząc ją do ust - pić...

- Dla mnie campari z wodą sodową - rzuciła Annemieke bez chwili zastanowienia.

- To ja rozumiem - rzekł George, otwierając szeroko oczy i skinieniem głowy przywołując kelnera.

Siedzieli w przestronnej, kolistej sali z kolumnami i marmurową posadzką, masywnymi, okrągłymi stołami nakrytymi trzema obrusami każdy, z dużymi serwetkami do kompletu. Przy każdym nakryciu stały trzy kieliszki. W okiennych szybach odbijały się światła nazbyt wielu lampek stołowych i wiszących kandelabrow, ale tu i ówdzie, tam, gdzie pootwierano okna, ziały ciemne puste miejsca. To ku nim wędrował wzrok w poszukiwaniu ukojenia. Przy stoliku obok otwartego okna siedziała sześćdziesięciokilkuletnia kobieta naprzeciw młodego, czarnoskórego mężczyzny. Delikatnie ocierał usta, a jego gałki oczne poruszały się jak para białych gołębi wystraszonych nagłym hałasem. Lecz ona przywoływała je do porządku, gestykulując dużymi, pulchnymi dłońmi. Starsza pani z niedokładnie ogolonym podbródkiem i obwisłymi pierśmiami podsuwała na talerz młodego człowieka kaski, kręcąc przy tym głową i nalegając, by zjadł. Podkarmiła go.

Podszedł kelner i wskazał bufet z owocami morza, którego lśniaca, różowa i mięsista zawartość przeplatała się z chrupiącą sałatą ułożoną na tacach z kostek lodu udekorowanych cząsteczkami cytryny. George głośno przełknął ślinę i ruszył jako pierwszy, z determinacją dobierając się do każdego srebrnego półmiska i nakładając sobie na talerz górę jedzenia, na które rzucił się natychmiast po zajęciu miejsca przy stole. Jadł szybko, nie odzywając się słowem. Annemieke odsunęła talerz i odczekała chwilę, nim uniosła kieliszek, mówiąc: *Sante*. George podniósł wzrok; rzadka szczecina wąsów połyskiwała od wilgoci.

- Na zdrowie - odparł. Dotknął łokcia Dorothy. -  
Jedź, moja droga.

Dorothy popatrzyła na talerz i raz czy dwa obróciła w palcach leżący na obrusie widelec.

- Ostrygi są wyśmienite, Dorothy. Próbowalas? -  
spytała Annemieke.

- **Nie.**

- A co wzięłaś?

- Nie wiem.

Wszyscy oderwali wzrok od stołu i utkwili w niej spojrzenie. George zareagował błyskawicznie, a jego głos niebezpiecznie zawisł na granicy złości.

- Przecież cholernie dobrze wiesz, co masz na talerzu.

- A jednak nie mogę sobie przypomnieć właściwego słowa. Nazwy - rzekła, a widelec tak mocno drżał jej w dłoni, że ponownie odłożyła go na blat stołu.

- Krewetki, twoje ulubione, wsuwaliśmy je co tydzień nad morzem - westchnął głośno i wykrzyknął

- O matko!

- Starzeję się.

Annemieke zerknęła na męża, ale nie napotkawszy jego wzroku, delikatnie otarła usta serwetką i powiedziała do Dorothy:

- A więc to wasz pierwszy pobyt na Karaibach?

- Tak.

- A nasz nie. Odwiedzaliśmy ten region wielokrotnie. Florida Keys, Meksyk, byliśmy też na St. Martin i w Trynidadzie, zanim stały się tak szalenie modne, zanim przekształciły się w to, czym są teraz... miejscami dla zorganizowanych grup turystów... Co rok wyjeżdżamy na wakacje w odległe rejony, czasem dwa razy do roku, nie licząc oczywiście krótkich wojaży po Europie. Ale tak, lubimy spędzać czas w ekskluzywnych kurortach, bo pobyt trwa tylko około tygodnia. Myślę, że zasłużyliśmy sobie

na te kilka tygodni w roku. Żałuję, że nie podróżowaliśmy częściej, nie zobaczyliśmy więcej. Ale praca Jana zawsze była na pierwszym miejscu. Wydaje mu się, że pracuje dla dobra ludzkości. Mówię mu, mój drogi, to tylko wypożyczanie samochodów. Moi synowie zwiedzili kawał świata i dostrzegam w nich różnicę. Uważam, że podróże służą człowiekowi, moralnie.

- To znaczy? - spytał George.

Annemieke przerwała i wypila łyk wina.

- Rozwijają zmysły, intelekt i... poszerzają kulturowe horyzonty, i tak dalej.

Jan napełnił wszystkim kieliszki i skinął głową.

- Bo ja wiem? - rzekł George. - My jesteśmy domatorami. Dobrze mi wśród swoich i myślę, że wszyscy lepiej byśmy wyszli, nie gnając z miejsca na miejsce, a trzymając się domu.

Annemieke znów posłała mężowi spojrzenie, lecz Jan, czując na sobie jej wzrok, nie podniósł głowy i zaczął rytmicznie i uporczywie przeżuwać kolejny kęs.

- Muszę przyznać - ciągnął George - że wspaniale wspominał pobyt we Włoszech podczas wojny. Ale były to szczególne okoliczności. Zwykłe zasady nie obowiązywały.

- Och, za świat pozbawiony codziennych zasad - wzniosła toast Annemieke.

- Muszą istnieć jakieś zasady, moja droga; one obowiązują nawet wtedy, kiedy niby ich nie ma, no i robi się tylko jeszcze większe zamieszanie. Lepiej być szczerym. Uczciwym.

- Zasady istnieją, można jednak zdecydować, czy chce się ich przestrzegać, czy nie... - zaczęła Dorothy. Ze zdumieniem dostrzegła, jak Belgijka rumieni się, jak jej uróżowane policzki pęcznią niczym drożdżowe ciasto, a usta wiotczą i opadają na widok zwałistego męż-

czyzny, który podszedł do stolika i się z nią przywitał. Uśmiechnął się do wszystkich i uklonił.

- Witam - rzekła Annemieke - miło znowu cię widzieć. Janie, to jest... przepraszam, zapomniałam twojego imienia.

- Bill Moloney - mężczyzna wyciągnął rękę do Jana, po czym podniósł ją w geście pozdrowienia skierowanego do George'a i Dorothy. - No, nie będę przeszkadzał - dodał.

Usiadł przy jednoosobowym stoliku tuż obok i gdy Annemieke obejrzała się, ponownie ją pozdrowił, później zaś, pochwycawszy jej zakłopotane spojrzenie, uniósł kieliszek i powiedział donośnym głosem:

- Wasze zdrowie!

Mężczyźni skwapliwie odpowiedzieli na toast.

- Powinien raczej zatroszczyć się o własne. Poznałam go przy recepcji. Wspominałam ci o nim, Janie. Zdaje się, że wpadłam mu w oko. Przepraszam - rzekła, wzruszywszy lekko ramionami.

- Seks. Nie liczy się nic więcej. Tylko seks - mamrotała Dorothy, jednak na tyle głośno, że wszyscy usłyszeli. Jan utkwił w niej spojrzenie, zastygł na moment z otwartymi ustami i podniesionym widelcem. George odchrząknął i pociągnął z kieliszka głośny łyk.

- Przyjechaliśmy tu dzięki wnuczce, która dała nam bilety w prezencie. Zrobiła nam niespodziankę. Nigdy dotąd nie byliśmy na tak beztrudnej eskapadzie. Ale nie możemy narzekać - powiedział, nieznacznie odchylając w tył głowę, gdy gazy w przewodzie pokarmowym podeszły mu do góry.

- Z nami jest podobnie - rzekł Jan. - Ten wyjazd to prezent. Od naszych synów.

- Janie, przyjechalibyśmy tak czy inaczej! - upomniała go Annemieke. - Ten rodzaj wakacji to dla nas chleb powszedni. Ale nasz starszy syn doskonale prosperuje.

Kupił dużą kamienicę w Brukseli; kosztowała coś koło miliona dwustu tysięcy euro. Nasz przyjaciel, makler giełdowy, twierdzi, że to doskonała inwestycja. Syn lubi rozpieszczać mamę; wydaje na mnie stanowczo za dużo. No, ale to szczególna sytuacja. Ostatnie wakacje. Mój mąż jest ciężko chory. Na raka.

Jan odłożył sztucce na talerz i na moment przymknął oczy.

Dorothy żałowała, że nie ma pod ręką szufelki i miotłki, by pozamiatać po Belgijce. Zauważyła, że kobieta upuszcza na podłogę drobne kawałeczki pieczywa, kiedy miętosi w rękach bułkę, wierci się na krześle, obraca, zerka przez ramię na Moloneya, a potem znów na męża i resztę towarzystwa.

## 8

Tamtego wieczoru Jan sporo wypił z George'em w barze, kobiety zostawiły ich samopas, a mimo to sen nie nadchodził. Wszystko przez lekarstwa.

Noc w noc leżał bezsennie, grzebiąc w przeszłości. Pozostały tylko nagie fakty. Jego wspólnik i dawny przyjaciel, André De Vries, oszukiwał go w ostatnich latach. Gdy choroba zmusiła Jana do wycofania się z interesów, wyparł go z dochodowych sektorów firmy - jak również ograbiał z żony i dzieci. Wyjeżdżali razem na wycieczki to tu, to tam, łapiąc słońce w deszczowe dni, podczas gdy on siedział zamknięty w czterech ścianach.

- On lubi się śmiać. Ja lubię się śmiać. Dzieci także potrzebują śmiechu - mówiła Annemieke gwoli wyjaśnienia, gdy po raz pierwszy wybrała się na niedzielny lunch do Brugii z André i chłopcami. Włożyła obcisły, kolorowy sweterek i długą spódnicę w stylu militarnym. Z rękawicami. Chwytał ją za ramię.

- Ten mężczyzna mnie okradł, a skoro mnie, to i ciebie, Annemieke.

- Potrafi to uzasadnić. Nie zawadziłoby, gdybyś czasem go posłuchał. Ma zamiar skapitalizować te, jak to się nazywa, środki płynne, no właśnie, gotówkę, a potem zamienić je na środki trwałe, nieruchomości i tak dalej, rozszerzy franszyzę, przekaze nam nasze udziały i tym sposobem nie będziesz musiał nawet kiwać palcem, Janie. Musisz zrozumieć, że to najlepsze wyjście. Nie popadaj w paranoję. Wszyscy się o ciebie troszczymy. Potrzebujesz wypoczynku - wyrzuciła z siebie te słowa z rozpędem. Zastanawiał się, czy uczyniła to z przejęcia, czy dlatego, że była już spóźniona. Zupełnie nie zwracała uwagi na jego dłoń na swoim ramieniu. - Muszę lecieć, Janie. Nie wysłuchasz go, prawda? Nie dasz mu szansy? To nie wina André, że masz raka. Cierpisz na manię prześladowczą.

- Sprawiasz wrażenie łatwej zdobyczy - powiedział jej. - Jesteś łatwa.

- Przestań - odparła - przestań. Poniżasz się. - Słowa wypowiedziane chłodnym tonem kazały mu natychmiast puścić jej ramię. W ich oczach, w oczach synów, pewnie robi z siebie idiotę. Myślą, że traci rozum, może to i prawda. Może błędnie rozumiał De Vriesa. Pracowali razem wiele lat, przyjaźnili się.

Jeden z chłopców zapukał do drzwi gabinetu. - Mamo? - zawołał, nie wchodząc do środka. Annemieke wyszła. Gdy Jan usłyszał, jak zamykają się za nimi kuchenne drzwi, krzyknął: Twoja matka jest kurwą, a mimo to ją kochasz. Potem dorzucił: A co ze mną? I tak zawstydzil się swych słów, że położył się na kanapie i rozplakał.

Częstokroć, kiedy wreszcie zaczynał morzyć go sen, widział optymistyczne czoło De Vriesa pochylone nad łatwymi i szybko zaspokajanymi ambicjami. Dręczyło go koszmarnie przeczucie, że w chwili śmierci ujrzy jedynie



twarz tego człowieka. Będzie musiał zdobyć się na wysiłek, by go odepchnąć, sięgnąć wzrokiem dalej, do przeszłości, do najszcześniejszego okresu jego życia; do dzieciństwa, skromnego i sielskiego, równie nijakiego i dobrego jak pudding ryżowy, prostego, nieskomplikowanego. Dni bez troski, łąki osychające w łagodnym słońcu, pełna ciepła i czuła matka, szykująca mu ubrania ogrzane wcześniej na wieszaku przy palenisku, zapach krowiego łajna, długie spacerowanie oraz ojciec, który poległ na wojnie. Czegóż jeszcze mógłby pragnąć chłopak? Żeby ona chroniła jego, a on ją.

Gdyby tak pamięć dała mu trochę wytchnienia, ale skądże, przenosiła go tam i z powrotem, wdzierając się w nieodległą przeszłość, przywoływała fotograficzne obrazy wakacji sprzed czasu choroby. Ich czworo; on, André, i ich żony, w luksusowych miejscach dla białych turystów z tanią, czarną siłą roboczą; Malediwy, Mauritius, wakacje, na które zaczęli jeździć, kiedy dzieci poszły do szkoły z internatem, mniej więcej dziesięć lat wstecz, gdy rzekomo złapali drugi oddech. Annemieke odkrywająca na nowo rozkosze seksu, ale wcale nie z nim, targująca się o drewniane rzeźby w taki sposób, jakby stawką było życie, triumfująca z powodu każdego utargowanego pensa, wcierająca w ciało emulsje na celulit za zamkniętymi drzwiami łazienki. Przypomniawszy sobie także żonę André, Lucie, siedzącą przy kolacji w coraz to nowych restauracjach, nieodzywającą się słowem; ich spojrzenia spotykały się od czasu do czasu, gdy pozwalali tamtym dwojgu wodzić rej przy stole. Odmieniali słowo „pić” we wszystkich osobach. Ja piję. Ty pijesz. On, ona, ono pije. Pijemy my wszyscy. Po usłyszeniu diagnozy zaniechał alkoholu na pewien czas, kiedy wierzył jeszcze uznanym kręgom medycznym. Mówili, że jego organizmowi trzeba dać szansę. Kazali poszukać innych metod relaksu. Sądził, że pomoże mu to prze-

zwyciężyć rozgoryczenie, a tymczasem stało się odwrotnie, był trzeźwy, ale i pełen urazy. Powinien walczyć nie z pićm, lecz ze swym wiecznym niezadowolaniem. To przez nie źle sypiał.

Leżąc bezsennie i tak rozmyślając, sięgnął pamięcią dalej w poszukiwaniu milszych wspomnień. Dzieci. Dwaj chłopcy, których wychowywaniu przyświecał cel uczynienia z nich ludzi mocnych na ciele i umyśle, i którzy zniecka stali się wyznawcami reżimu ustanowionego przez ich przyjaciół. Nastąpiła szybka utrata ciężaru moralnego. Utrata poglądów bądź przekonań. Obydwaj uznali cynizm za łatwe wyjście. Przepaść pokoleniowa, tłumaczono mu. Przesiadywanie we własnym pokoju z wciśniętymi na uszy słuchawkami i nogami opartymi o ścianę. Krótka euforia po powrocie z Brugii z parą nowych adidasów. Zamknięte drzwi do pokoju. Na wszystko jedna odpowiedź: „Gównu mnie to obchodzi”. Jak można z czymś takim polemizować? On tak nie potrafił. Zazdrościł im.

Musiał być niewzruszony, cofnąć się w jeszcze bardziej odległe czasy. Jako mali chłopcy dodawali mu skrzydeł. W weekendy i po pracy wysysali z niego wszystkie soki, ale i wprawiali w zachwyty. Ta wielka radość zakochiwania się codziennie od nowa. Bywały chwile, kiedy niemal płakał z wdzięczności za ofiarowaną mu szansę oglądania świata ich oczami. Ben siedzący w samochodzie, czteroletni mniej więcej brzdąc, wyliczający powody, dla których jest tego dnia szczęśliwy. Marcus, straszna szelma, który kazał tatusiowi schować się pod łóżkiem, a sam w najlepsze pałaszował na dole kolację. Ach, ci chłopcy, mogliby być... nie wiedział kim. Na dobranoc kiwał im głową krótko i stanowczo, by szybko opuścić ich sypialnię i nie poddać się uczuciom, które do nich żywił.

Przed nimi była Annemieke. Ale stała się, wedle jej własnych słów, więźniem jego przywar. Profesjonalną zakładniczką. Wychowywała się w powojennej Antwerpii - pośród przydających splendoru rodzinie historyjek matki, opowieści o wywlekaniu z domów żydowskiej społeczności, pomimo jej szlachetnych starań. Matka twierdziła, że w ich żyłach również płynie domieszka żydowskiej krwi. Ich rodzina także mogła wylądować w bydłęcych wagonach! Mówiła, że to cud, że ocaleni. Ojciec temu zaprzeczał. „Przesadzasz”, mawiał za każdym razem w obecności Jana. Najwcześniejsze wspomnienia żony, jak mu kiedyś wyznała, to nocne opowieści matki, które przeradzały się w niechciane zwierzenia i tajemnice. (Matka zdradziła jej, że gardzi ojcem, że jej życie skończyło się w chwili zamążpójścia.) „Jaki sens ma życie bez miłości!” - lamentowała. „Niech Bóg broni, by cię coś takiego spotkało. Miłość jest wszystkim”, wpajała córce.

Jan miał o jej matce równie niskie mniemanie jak ona o nim. Niedzielne odwiedziny raz w miesiącu mierzyły go. Ojciec umykał do swoich szklarni, zostawiając Annemieke, Jana i dzieci na pastwę rozjuszonej, starej kobiety, która perorowała na temat najnowszej porcji bzdur, jakie wyczytała poprzedniego tygodnia w gazetach i czasopismach specjalizujących się w mrozących krew w żyłach sensacjach. Matka Annemieke należała do tej kategorii osób, które czytają wystarczająco dużo, by stać się zmorą dla otoczenia. Używała naukowej terminologii na usprawiedliwienie wszystkich swoich uraz i animozji. Jan wolałby, żeby zamiast tego robiła na drutach. Kiedy ojciec legł w grobie, matka przeprowadziła się do ośrodka dla emerytów na wybrzeżu, zaledwie trzydzieści kilometrów dalej. Wkrótce stało się zwyczajem, że w każde niedzielne popołudnie obie kobiety zasiadały w nadmorskim apartamencie matki, dzieci opijały się napojami gazowanymi, one zaś dyskuto-

wały o „emocjonalnym klimacie” domu dzieciństwa Annemieke, jakby tylko to przetrwało. Jan obserwował je z balkonu z widokiem na morze, gdzie wychodził na cygaro. W owym czasie był wolny od nikotynowego nałogu, lecz wypalenie cygara wymagało czasu i przekonał sam siebie, że jest to jakiś rodzaj rekompensaty za wizytę. Wymieniając się co tydzień z Annemieke taśmami i książkami, matka podsyciała rosnące przywiązanie córki do wszelakich przemijających mód na poradniki. Karmiły się nostalgią za wyimaginowaną brutalnością, rozmawiały o sińcach i bliznach z konspiracyjnymi uśmieszkami i westchnieniami.

Zmęczony tym wszystkim Jan zapytał Annemieke w obecności matki i dzieci, czy ojciec faktycznie się nad nimi pastwił. Z miejsca wtrąciła się matka:

- Janie, można spowodować uraz fizyczny i uraz psychiczny, a któż ma ocenić, który z nich jest gorszy?

- Ale czy faktycznie was bił? - spytał Jan, gdy wracali swoim BMW do domu.

- Och, ona przesadza - odparła Annemieke; a potem, niefrasobliwie wcielając się w postać własnego ojca, narzekała na matkę.

Jan sugerował, by poszukała sobie pracy, ale nie mogła znaleźć niczego stosownego, wszystko wydawało się głupie, bez znaczenia. Nie potrafiła żyć tak jak on, wozić po całym kraju samochody i czerpać z tego zysk. Ona zajmowała się dziećmi, domem, matką i poświęcała czas rozmaitym stowarzyszeniom kobiecym. Na wieczornych spotkaniach grup w dni powszednie zbierała komunały zaczerpnięte z kilku filozofii, które akurat jej odpowiadały, od Freuda do feminizmu, łykała je w całości. Prawiła frazesy w rodzaju: „Kobieta to posługaczka świata”.

Gdy poznał ją jako młodą kobietę, była bystra i ze wszech miar błyskotliwa - zwykle dowcipna. Z upływem lat coraz bardziej posepniała, rozchmurzała się tylko za

sprawą drobnych komplementów. Bynajmniej nie z jego ust, te bowiem były dyskredytowane natychmiast.

Jeszcze nim zachorował, nocami, nie wiadomo dlaczego, zwłaszcza po przyjęciach, rozważał czasem pomysł zastrzelenia ich obojga w łóżku.

Twój rak to spełnienie życzeń, powiedziała mu Anne-mieke.

Był to pomysł z drugiej ręki. André podzielił się z Janem tą myślą w pracy; pięć dni później żona powtórzyła mu hipotezę swego kochanka.

## 9

George'a suszyło po przebudzeniu z powodu trzech czy czterech szklaneczek szkockiej, które wypił z Janem w barze, gdy panie udały się na spoczynek. Dorothy kręciła się po pokoju, skradając się, schylając i wzdychając, jej nocna koszula wyglądała jak budyń rozpięty na namiotowych linkach. Krzątała się przy czajniku z gotującą się wodą i parzyła dla obojga herbatę. Mieli w lodówce mały dzbanuszek mleka; wymieniano go codziennie. „A gdzie tu krowy?“, spytał dziewczyny, która sprzątała ich pokój, ona zaś spojrzała na niego osłupiałym wzrokiem. Zamuczał raz czy dwa i pokazał na migi, jak się doi. Dziewczyna wycofała się z pokoju, kręcąc głową i mamrocząc coś pod nosem.

Usiedli razem na balkonie, popijając herbatę, mocną i cierpką jak blask nowego dnia. Westchnął z szacunku dla herbaty.

- Mógłbym się tu zadomowić - dodał.

Żona nie odezwała się słowem. Wytłumaczył sobie, że zaczyna mieć kłopoty ze słuchem, w rzeczywistości chodziło jednak o to, że lubiła zachowywać swoje myśli dla siebie, o ile tylko było to możliwe. Wymusił na niej odpowiedź.

- Powiedziałem, że mógłbym się tu zadowoić.
- Nie miałyby to większego sensu, prawda?
- Tak tylko mi się powiedziało.

Milczała.

Po chwili odezwał się znowu.

- Miły gość z tego Jana. Ucieliśmy sobie wieczorem pogawędkę, rozmawialiśmy pewnie dobrą godzinę...

- Mało mu uszy nie odpadły, co?

George dopił herbatę i podziwiał widok na morze.

- Na szczęście nie wszyscy mają o mnie tak złe zdanie jak ty.

Wstał, by odnieść filiżankę do pokoju, lecz zatrzymał się w progu z pytaniem:

- Jeszcze herbaty?

Kręciła przecząco głową o wiele za długo. Wydawała się zmagać z własnymi ustami, by ułożyć szczęki w wygodnej pozycji. Miał rację, starzała się. Widział to, ale na szczęście nie dostrzegał tych objawów u siebie. Uniósł brew, spojrzął na swe odbicie w lustrze nad kredensem i odstawił filiżankę w miejsce, w którym Dorothy będzie mogła znaleźć ją bez trudu i umyć.

Nie mógł zasnąć, myślał bowiem o rozmowie, którą odbył z Janem. Biedaczysko, jest już na wylocie, a przecież, jak zauważył George, on sam może pierwszy kopnąć w kalendarz. Choć w gruncie rzeczy wcale w to nie wierzył, a Jan w zasadzie utwierdził go w tym przekonaniu:

- Wyglądasz na niezniszczalnego, George. Tacy jak ty żyją wiecznie.

- Wiesz co, specjalnie się tym nie przejmuję - rzekł - nie o swoje życie się martwię. Martwię się o rodzinę, ale gdybyś zapytał, czy miałem dobre życie, odparłbym, że tak. Głównie dzięki wojnie. Czuję się uprzywilejowany, że brałem w niej udział. Jak by nie spojrzeć, walczyliśmy

w słusznej sprawie. Ilu ludzi może coś takiego o sobie powiedzieć?

Wziął czapkę i oznajmił Dorothy, że idzie zrobić przed śniadaniem rundkę dookoła ośrodka. Może na niego poczekać albo zejść na dół sama.

- Nie jestem głodna - stwierdziła - zaczekam do lunchu i zobaczę, czy dam radę coś przelknąć. Może kawałek *quiche* albo coś lekkiego.

- Jak chcesz, moja droga - powiedział, unosząc brew. Ostatnimi czasy niemal we wszystkim, co mówił bądź robił miał na względzie własne dobro. Nie pocałował jej, lecz wymknął się z pokoju z uczuciem przyjemności.

Gdy wyszedł z głównego holu na alejkę, minąwszy restaurację, zobaczył personel rozrzucony po całym obiekcie i doglądający terenu. Mężczyzna w słomkowym kapeluszu marszczył brwi, zmagając się z krzewem róży, który chciał przymocować do długiego palika. George przystanął i obserwował go, póki mężczyzna nie zdjął kapelusza i nie otarł czoła, obróciwszy się w stronę George'a.

- Ciężko hodować je w takim skwarze - zagadnęła George.

Mężczyzna roześmiał się.

- Tutaj dzień w dzień tak samo - powiedział. - To nie Piccadilly, to nie stary, wiecznie deszczowy Londyn.

George również się roześmiał.

- Byłem w Afryce podczas wojny - rzekł. - Tam to dopiero panował upał.

Mężczyzna spoważniał i zamilkł. Choć nie wyglądał na młodzika, George uświadomił sobie nagle, że prawdopodobnie nie pamięta wojennych czasów. Jan był uprzejmy. Bo kogo obchodziła jeszcze wojna?

Spacerowym krokiem minął odkryty basen i przycisnął twarz do chłodnych szyb, rekreacyjnej części kompleksu. Może ktoś bierze dzisiaj masaż. Ten facet z Połu-

dniowej Afryki mówiący z irlandzkim akcentem, był w barze, całkiem wesoły gość, bardzo sobie chwalił. Nazywał masaż „ugniataniem”. Zabawny chłopina, z tupe-tem, za kołnierz nie wylewa.

Z boku części rekreacyjnej dobudowywano aneks, trwały prace, obszar był odgradzony. George'a zaskoczył widok samotnej męskiej postaci z nagim torsem, kłęzącej pośrodku wyłożonej do połowy płytkami podłogi, z palcami rozczapierzonymi na czarno-białych, świeżo przyklejonych kaflach. Mężczyzna był opalony, miał włosy związane w kucyk i czapkę założoną daszkiem do tyłu. Jego plecy zdobił tatuaż, słoń z koroną na głowie i wieloma łapami. George wyteżył wzrok. Okno było otwarte, słyszał, jak mężczyzna mówi coś do siebie, dodając sobie animuszu.

- Niezła robota - ośmielił się zagadnąć George.

Mężczyzna obrócił się, był jednym wielkim kłębkim mięśni, młodziutki. Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Dzięki - odparł.

- Jak na nowicjusza.

-Widać?

- Trochę krzywo, masz źle wyrównane podłoże. Czego używasz, kleju do płytek?

- Tak, z akrylem. Podłoga pod spodem jest nierówna.

- Twoim zadaniem jest ją wyrównać, no wiesz, poprawić. Bierz klej. Kładłem w życiu płytki raz czy dwa; żaden ze mnie fachura, ale pomogę ci, jeśli chcesz.

Młody mężczyzna rozejrzał się.

- Kierownictwo nie byłoby zachwycone.

George pokiwał głową.

- Mam skończyć do dziesiątej.

George pokręcił głową.

- Żadnych szans. Zostało ci jeszcze jakieś sześć metrów kwadratowych.



- No to, zgoda!

George zdjął buty. Wszedł do nowego pomieszczenia bocznymi drzwiami i skradał się ostrożnie wzdłuż krawędzi, potem powlókł się na czworakach na środek, krzywiąc się przy tym i kilkakrotnie pokrzykując.

- W porządku? - spytał chłopak.

- Tak, póki nie wstanę - odparł George. - Widzisz, mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Tu boli, tam strzyka, koniec świata, ale tli się jeszcze we mnie życie. - Wyciągnął dłoń do młodego człowieka. - George Davis.

- Adam - przedstawił się mężczyzna.

- Z Londynu, co?

- Urodzony i wychowany w Hackney.

- Dobra, znaczy wiesz, co to ciężka praca. Na razie jesteśmy na środku, ale najgorsza mordęga to docinanie płytek do krawędzi, zgadza się? Kradnie najwięcej czasu. Ty weź się za cięcie, bo mnie wzrok już nie służy, ja zajmę się środkami.

- Brzmi nie najgorzej - rzekł chłopak i obydwaj przystąpili do pracy. Przed dziesiątą byli już za półmetkiem.

- Jeśli krzyż mi wytrzyma, uwiniemy się do jedenastej - powiedział George, prostując plecy z głośnym stęknieniem. Przez okna zobaczył żonę Jana w *jacuzzi* i pomachał do niej ręką. Nie zauważyła. Była pochłonięta rozmową z Moloneyem. Wyglądała na poirytowaną.

## 10

Kiedy Bill Moloney zanurzył się w *jacuzzi*, woda chlupnęła jak pomyje z wiadra, rozbryzgując się na brzegu basenu i pozostawiając ciemnoszare półkole na okolicznych płytkach. Przysunął się bliżej i usiadł obok Anne-mieke. Wydał się jej wyjątkowo mało pociągający, gdy

ochlapywał ciało wodą, tą samą nasyconą środkami bakteriobójczymi wodą, która tak bardzo szkodziła utrzymaniu prawidłowego poziomu nawilżenia jej skóry. Oplukał pachy, a potem założył ręce za głowę, prezentując pasma mokrych włosów, które zwisały niczym wodorosty z zagłębień przebarwionej skóry.

- Rozglądałem się za tobą - powiedział.

Zastanawiała się nad opuszczeniem *jacuzzi*, nie miała jednak ochoty wystawiać na pokaz swoich ud i pośladków przy wychodzeniu z basenu. Jej sarong został na leżaku; kiedy przyszła tu z Janem, basen świecił pustkami. Wydobyła z siebie krótki, gardłowy śmiech, jak kot, który wypluwa kłębek sierści.

- Doprawdy? - odparła, dotykając grubej złotej oprawki okularów przeciwsłonecznych.

- Słyszałaś dowcip o pandach spółkujących w zoo? Na tabliczce przed klatką samca, która zresztą doprowadzała panie pandy do wściekłości, widniał napis: „Je, tryska i znika”. Nie chciałbym, żebyś uważała mnie za ten rodzaj zwierzęcia.

Zamknęła oczy.

- W porządku.

- Zjesz ze mną lunch?

- Nie, dziękuję.

- Och, daj spokój...

Błyskawicznym ruchem uniosła okulary, oczy zaboląły od oślepiającego blasku słońca.

- Słuchaj - rzekła — zapewne zauważyłeś wczoraj wieczorem, że towarzyszy mi mąż.

- O tak. Wygląda na miłego faceta. Nie martw się, jestem na swój sposób bardzo delikatnym mężczyzną, jeśli o mnie chodzi, nie puszcze pary z ust.

- Nie. Nie zaszło nic poufnego. Nie zaszło nic. Absolutnie nic.

- N i c ?

- Dla mnie zupełnie nic.

- A mnie wydawało się, że jednak coś.

- Darujesz sobie ten temat czy będziesz się czepiać?

- Nie ma powodu się nabzdyczać - powiedział. Po-  
tem zaś, gdy sądziła, że wreszcie się obraził, jego okrągła  
jak księżyc twarz - zaczerwieniona po części wskutek  
alergicznego reakcji na wodę w basenie, słońce, alkohol  
czy Bóg wie co jeszcze - rozpromieniła się w serdecznym  
uśmiechu.

- Mój mąż jest śmiertelnie chory - rzekła - umiera na  
raka. Nie chcę, żeby się denerwował.

- Coś mi się zdaje, że to ty się denerwujesz.

- Myśl, co chcesz. Mało mnie to obchodzi.

Zanurzył ręce w wodzie, oparł dłonie na kolanach  
i spojrzął jej prosto w oczy.

- Naiwniak ze mnie, to fakt, ale żeby taka urocza dama  
robiła rzeczy, które nie dają jej potem spokoju? Po co?

Cóż za miejsce na tego rodzaju rozmowę, pomyślała.  
Choć pragnęła wydostać się na neutralny grunt, a jeszcze  
lepiej wykąpać w orzeźwiającej wodzie basenu, utknęła  
tam jak homar w garnku, zanurzona po szyję w gorącym  
*jacuzzi*.

- Słuchaj, nie jestem z tych, którzy różną, co popad-  
nie - uśmiechnął się, zacisnął powieki, jak gdyby chcąc  
wymazać swoje słowa i zaczął od początku. - To zna-  
czy, chciałem powiedzieć, że wiem, co to walka z ziem-  
skimi żądzami. Wystarczy na mnie spojrzeć; od razu wi-  
dać, co bierze we mnie górę. Raczej nie żelazna wola,  
prawda? Jesteśmy tylko dwojgiem ludzi, nawet się nie  
znamy. Stało się - podniósł rękę, by mu nie przerywała  
- stało się i już, nie da się tego cofnąć, i nie będę prote-  
stował, gdy powtórzysz, że z twojego punktu widzenia  
nie zaszło kompletnie nic. Dodam jednak, że w to nie

wierzę. Och, zmierzam do tego, że nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia z powodu tego, co się wydarzyło. Nie stałaś się przez to kimś podłym. Przynajmniej nie do końca.

- Wiem o tym, dziękuję.

- Mam na myśli uprawianie seksu z nieznajomym...

- Proszę...

- Mimo że jesteś mężatką. A twój mąż miewa się nie najlepiej. - Szybko wyszczerzył zęby, a zaraz potem rozciągnął dolną wargę w przepraszającym uśmiechu od ucha do ucha. - Zdarzają się gorsze rzeczy. Wiem. Sam jestem straszliwą kanalią.

- Proszę, panie Moloney - rzekła, cedząc słowa, siląc się na fałszywy uśmiech i odkrywając, że nie ma już tak ciętego języka jak kiedyś - niechże zostawi mnie pan w spokoju.

Podniósł obie ręce.

- Zostawię - odparł - ale będę sobie powtarzał, że ta piękna kobieta cierpi, a to strasznie smutne cierpienie w miejscu zbliżonym do raju. Człowiek zastanawia się - dodał, uniósłszy znamiennie palec - gdzie jest niebo, a gdzie piekło. W środku czy na zewnątrz?

- Nie do wiary - powiedziała, kręcąc głową.

Wstała i poślizgnęła się w pośpiechu. Jeszcze raz podciągnęła nogę, a wówczas dół od bikini mało subtelnie wcisnął się w dzielący pośladki rowek. Rozgrzana, świadoma faktu, że właśnie wystawia na pokaz pocięty czerwonymi żyłkami zadek, zakłęła.

- Pomóc? - spytał, wstając znienacka, ona zaś poczuła, jak cień rzucany przez jego zwaliste cielsko przesłania jej słońce.

Pokręciła przecząco głową i tym razem wydostała się z basenu, podeszła do sarongu, szybko owinęła ciało, mokre włosy opadły jej na twarz.

## 11

Gdy Jan zszedł do baru, George siedział ze swym nowym towarzyszem Adamem przed połyskliwymi szklanekami piwa i opróżnionym do połowy talerzem pizzy. Mogło być najwyżej południe, lecz na dole zgromadził się już mały tłumek, co rusz wyciągający do popielniczek dłonie z papierosami, a dalej, po przeciwnej stronie baru, grupka Amerykanów z determinacją odwracała od palaczy głowy, zajęta oglądaniem swoich turystycznych akcesoriów. Jedna z kobiet krążyła między nimi, rozdając z koszyka sztuczne słodziki. Wyjaśniła, że musiała przynieść je z restauracji.

- Nigdy nie mają ich w barze. - Pozostali przyznali, że to doprawdy dziwny zwyczaj. - Poprosiłam wczoraj, żeby zostawili je w barze, ale zanieśli wszystkie z powrotem do restauracji.

- Więcej lodu, jeśli łaska - powiedział młody, opalony Amerykanin, podsuwając wysoką szklankę, a pięcioro jego przyjaciół cofnęło się o krok, wymieniając znaczące spojrzenia i tłumiąc śmiech, gdy barman podał w szczypcach pojedynczą kostkę lodu.

- No właśnie, ostrożnie z tą zamrożoną wodą, młody człowieku - zażartował ktoś inny z boku.

George i Jan znajdowali się w newralgicznym punkcie baru, pomiędzy dwoma frakcjami.

- Amerykanie nie lubią dymu „z drugiej ręki” - zauważył Adam, wskazawszy grupkę ruchem głowy.

- Dla nich wszystko musi być nowe - westchnął George, ocierając czoło barmańską ściereczką. Ucieszył się na widok Jana, wstał ze stołka i przesunął się odrobinę, robiąc dla niego miejsce. Konspiracyjnym szeptem zrelacjonował poranną pracę, rzucając przy tym podejrzliwe spojrzenia w stronę barmana i innych gości.

- Nie chcę wsypać tego młodego człowieka - powiedział do Jana półgłosem - wiesz, musiałem mu pomóc, bo inaczej nigdy nie uporałby się z robotą.

Zaróżowiony na twarzy i zadowolony George uniósł brwi w udawanym oburzeniu, gdy Adam raczył ich opowieścią o swoim niedowierzaniu na widok starszego gościa, który ściąga buty i zakasuje rękawy.

- Nie mogłem za nim nadążyć - śmiał się - i cały czas tak sobie myślę: przecież ten starszy facio musi mieć przynajmniej sześć dych na karku!

- O, dobrze sobie radzisz, synu - rzekł George, ocierając dłonią brodę - daleko zajdziesz. Ale nie w układaniu płytek. Czyja kolej? - spytał.

Jan zamówił następne trzy piwa i wszyscy stuknęli się szklankami.

- Zdrówko.

- Na zdrowie.

- Na wasze zdrowie.

- Ty także przyjechałeś na pracowite wakacje, Janie? - zapytał młody człowiek, mrużąc w słońcu oczy.

Z blond włosami, zakrywającymi jedną brew, i igrającym na ustach wyrazem subtelnego samozadowolenia, przypominał Janowi ich młodszego syna. Jan pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się, zapomniawszy już, o co go pytano.

- Bo wcisnęli mi na popołudnie jakąś małą robótkę w jednej z łazienek, pomyślałem więc, że może uda mi się namówić szanownych panów na pomoc.

George potrząsnął głową.

- Widzisz, że mnie bardziej brygadzista niż robotnik. W każdym razie nabrałeś już trochę wprawy. A co do Jana, cóż, on jest białym kołnierzykiem w ścisłym znaczeniu tego słowa.

- Co takiego?
- Biuro. Kierownictwo.

Jan zaczerwienił się i wydał policzki, z powagą kręcąc głową.

- Nie, nie, nie. Wcale nie. Wychowywałem się na farmie, a zajmuję się wynajmem samochodów, na początku sam wykonywałem prace mechaniczne, naprawy. Przez ostatnie piętnaście lat siedziałem za biurkiem, to fakt, ale nie było tak zawsze.

Zauważył, że George wydawał się usatysfakcjonowany jego odpowiedzią, obracał swe czerwone oblicze od jednego znajomego do drugiego; było między nimi jakieś pokrewieństwo.

- Jak trafiłeś do tej pracy? - Jan zapytał Adama, pochylając się w przód i opierając przedramiona o mokry kontuar. Miał tak skupioną minę, że Adam odniósł przez chwilę wrażenie, jakby uczestniczył w rozmowie kwalifikacyjnej. Poprawił się na barowym stolku i przełożył łydkę przez udo.

- Poszedłem na uniwersytet. Dość gówniany. Studiowałem zarządzanie. Nie mam pojęcia, dlaczego, pewnie ze względu na starego. Ale, wiecie, nie mogłem wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu dla pracy w korporacjach. Łaziłem na rozmowy w mnóstwie różnych firm, lecz zawsze w którymś momencie zawałałem sprawę. Niektóre z rozmów trwały kilka dni, aranżowano jakąś sytuację, jak w konkursie. Ja w końcu robiłem sobie jaja, nabijałem się, byłem trochę arogancki. Pewnie powinienem był respektować fakt, że przeprowadzający rekrutację traktowali rzecz poważnie, lecz ja zjawiałem się tam tylko ze względu na starego. Pomyslałem więc, pieprzyć to, muszę się wyrwać, pouklądać sobie w głowie, no i włóczę się tak od paru lat. Azja, Afryka, teraz Karaiby. Kolejny przystanek to Ameryka Środkowa.

- Na mój gust - piękna sprawa - skonstatował George.  
- Wiele się od ciebie nie różniłem. Miałem zamiłowanie do

podróży. Wsiadałem na motor i spytałem do Brighton albo do Yarmouth. Nigdy jednak nie mieliśmy okazji podróżować tak jak ty, chociaż podczas wojny można było zobaczyć kawałek świata. Ale obowiązki domowe wzywały do powrotu, większość z nas była żonata albo zaręczona, miała dzieci. - I dodał z grymasem: - W tamtych czasach nie było pigułki.

- Ale co będziesz robił? Dokąd zawiodły cię przemyslenia? - dociekał Jan.

Adam pokręcił głową.

- Doszedłem dopiero do połowy drogi. Na razie trudno powiedzieć.

- Skąd wiesz, że to połowa?

- Ponieważ to jeszcze nie koniec.

- Ale jaki w tym sens?

Adam spojrzał na niego nieruchomymi niebieskimi oczami i uśmiechając się, pociągnął duży haust piwa. Westchnął i opróżnił szklankę do dna.

- Wino, kobiety i śpiew. No ale koniec bujania w obłokach. Muszę lecieć, panowie, robota czeka. - Ucisnęła im dłonie, kładąc drugą rękę na ramieniu każdego z nich. - Dzięki, George - powiedział. - Bardzo, bardzo. Jestem twoim dłużnikiem. I dzięki za browar. Jesteś superkoles.

George skinął głową.

Obaj mężczyźni patrzyli za Adamem, jak wolnym krokiem zmierza w stronę głównego budynku hotelowego, jak wystają mu pięty z przydeptanych tenisówek, jak rozwiązuje zakrywającą biodra zieloną służbową koszulę i wkłada ją na grzbiet przed wejściem do budynku.

- Czasy się zmieniły - powiedział Jan, wyczytując z twarzy George'a czysty podziw.

- Zmieniły, ale ludzie się nie zmieniają, co? Patrzę na takiego młodzika i widzę siebie. Nie mówię o kucyku i tatuażach, to jasne, ale o stosunku do życia. Zabawny



gość. Zawsze chciałem mieć syna. Mówili o mnie: nieodrodny syn swojego ojca, a jak się na to mój staruszek uśmiechał! Mawiał, pokazując na mnie: oto całe moje bogactwo, dzięki niemu jestem bogatszy od bogaczy. To nie rzeczy są dla nas siłą napędową, prawda? Tylko dzieci. Żałuję, że nie urodził mi się syn.

Jan podsunął George'owi menu, rzucili nań okiem i zdecydowali się na kolejną pizzę, rozważając różne jej warianty. George z ponurą miną zaaprobował sugestie Jana.

- Kielbasa w porządku. Papryka też, ale potem się odbija. Grzyby. Mogą być.

Jan zamówił butelkę białego stołowego wina. Po dwóch dniach pobytu rozpoznawał już w barze kilka osób i kłaniał się, gdy napotykał czyjś wzrok.

Po zjedzeniu swojej połowy pizzy George beknął i podsunął Janowi ostatni kawałek.

- To dla ciebie, kolego. Co twoje, to twoje. Ja zjadłem swoją część. - Ponieważ Jan się nie kwapił, George wpakował sobie do ust ostatni trójkącik, żeby pizza się nie zmarnowała.

- Szkoda, żeby wylądowała w kubie.

Zgodzili się co do tego, że chociaż miło wyjechać na wakacje w towarzystwie pań, mają szczęście, że udało im się wyrwać, wrzucić coś na ząb, napić się i „porozmawiać od serca”, jak wyraził się George.

- Widzisz, przez lata zadawałem sobie pytanie, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy się rozwiedli, czy bylibyśmy wtedy szczęśliwsi - rzeki George cichym głosem. - W naszych czasach takich rzeczy się nie robiło. Nie to co dziś. Pamiętam, jak w naszej wiosce ludzie szeptali o pewnej kobiecie: „Patrz, idzie taka a taka, to rozwódka”. Dzisiaj te sprawy wyglądają śmiesznie, a nie? Moja najstarsza córka wzięła i się rozwiodła, a teraz myśli o powtórnym zamążpójściu. Ty nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

Jan milczał.

- Przepraszam, nie chciałem być wścibski.

- Jesteśmy katolikami. I w tym sęk. Myślę jednak, że chodzi o coś więcej, ponieważ od wielu lat nie przestrzegam nakazów religii. Sądzę, że poszedłem za tradycją, za przykładem. Chociaż mój ojciec zginął na wojnie, w rodzinach, które szanowałem, małżonkowie pozostawali z sobą do końca życia. Wspólnie pracowali na farmie albo prowadzili sklep, byli, można rzec, współnikami, i myślę, że to stanowiło o różnicy.

- Święta prawda. Kiedyś było inaczej. Rodzina przypominała firmę, a jakże. Mama trzymała stery. Panie na wysokości, jak ona pilnowała odliczania pensów z wypłaty ojca, to na to, to na tamto, i z mojej, kiedy byłem starszy, odkładała określone sumy na konkretne potrzeby. I w gruncie rzeczy nie wynikało to z religii, rzadko chadzaliśmy do kościoła. Nigdy nie byłem szczególnie religijny. Wierzę, w co wierzę, a im więcej przybywa mi lat, tym mocniej wierzę, ale prawda jest taka, że zrobiłem w życiu kilka rzeczy, których powinienem się wstydić. Latanie do kościoła i robienie głupot jakoś do siebie nie pasowało.

- Wszyscy robiliśmy głupstwa.

- Tak, ale - George pochylił się tak blisko rozmówcy, że Jan poczuł przemieszane z sobą zapachy białego wina, czosnku i piwa - ja działałem na dwóch frontach. Miewałem romanse. - Odbiło mu się delikatnie, a wtedy do mieszaniny zapachów dołączyła woń kielbasy.

- Aha - skwitował Jan.

- To i owo się robiło, o innych rzeczach tylko się myślało. Bez wprowadzania w czyn. Czasem zastanawiam się, czy ten żal nie jest najgorszy. Przede wszystkim Dorothy była od samego początku na drugim planie. Taka prawda. Przed nią była inna kobieta, nazywała się Milli-

cent. Millie. Cudowna. Tancerka. Nie zawodowa, ale kochała taniec. Mówi do mnie kiedyś: „George, zacznij ze mną tańczyć, weź najpierw kilka lekcji, wskoczysz na odpowiedni poziom, co ty na to?” A ja mówię - nie. Siedziałem w domu i tak sobie główkowałem: jeśli dostatecznie mnie lubi, zmieni zdanie, porzuci taniec. Tak potwarzała mi mamusia. Ale stało się inaczej. Dobre pięć lat później dostałem od niej list, zdobyła mój adres przez starego przyjaciela. Zadała sobie niemało trudu, ponieważ ten mój przyjaciel, Arthur, przeprowadzał się z rodziną dwukrotnie z powodu bombardowania. „Nie miałbyś ochoty jeszcze raz spróbować tańca?”, pyta mnie w tym liście. „Zafunduję ci lekcje”. Kompletnie zbiła mnie z pantafelów. Bo zdążyłem się już chajtnąć. No i urodziły się dzieci. Było już po wojnie. Często się zastanawiałem. Myślałem sobie, cóż, skoro ona wciąż o mnie pamięta po pięciu latach, nie będzie nic niewłaściwego w odpisaniu jej po pięciu latach, po dziesięciu. Nawet teraz myślę czasem, czy do niej nie napisać, a minęło już z górą pięćdziesiąt lat.

Delikatnie dotknął mostka okularów.

- Pewnie już nie żyje. Koniec końców - nie odpisałem. Nie było sensu. Ale często o niej myślałem. Nie powiem, że codziennie. Są takie dni, kiedy budzisz się z okropną chandrą, ale żeby nie pogarszać sprawy, wtedy o niej nie myślałem, za to wyobrażałem sobie nas w Europie, sączących piwo z kufli. I takie tam.

Jan uśmiechnął się.

- To nie jest powód, by robić sobie wyrzuty, George.

- Nie, nie, wiem. Postąpiłem wobec Dorothy i dziewczynkę jak należy. W wiosce mieszkała kobieta, z którą trochę flirtowałem. Była wdową. Widywali się od czasu do czasu, w zasadzie po to, żeby się rozerwać, zabrać. Nic więcej. Była typem ponuraka, pewnie przy-

gnębiało ją wychowywanie trojga dzieci i utrzymywanie rodziny z wdowiej renty. Nigdy nie zdjąłbym jej choćby bluzki. Mawiałem, ile ich tam masz, trzy sztuki? Bogiem a prawdą, nigdy mi na niej specjalnie nie zależało.

Bill Moloney stał po drugiej stronie z ręcznikiem przerzuconym przez kark. Na ich widok uniósł pełną szklankę, a po chwili odwrócił się do jakiejś Chinki, która stała przy barze i grzebała w portfelu.

## 12

Koniuszki palców pachnące emulsją do opalania zasłoniły George'owi oczy.

- Hm, to nie moja pani - powiedział - ale czuję, jak obrączka stukła w szkła okularów. To cudza żonka. Twoja, Janie?

- Tak - odparła Annemieke, strojąc miny do Jana. - To ja.

- Witaj - rzekł Jan, mając lekkie zawroty głowy po wypiciu na słońcu trzech piw i dwóch butelek wina na spółkę z George'em.

- Dołącz do nas na drinka - zaproponował George, dając znak barmanowi, który uniósł brew i bez słowa podszedł ich obsłużyć. Pomimo wysiłków George'a zachowywał chłodną rezerwę.

- Nie macie dość? - spytała Annemieke, a George wyraźnie się wzdrygnął i spojrzał na Jana.

- I tak, i nie - odparł z zuchwałym uśmiechem. Oczy szklity się od alkoholu, wydawały się lekko wylupiaсте, jakby lepkie.

Annemieke przemówiła do Jana we własnym języku, George przymknął jedno oko i zachwiał się nieznacznie na barowym stołku, rozważając, czy zawrzeć kolejną znajomość przy barze i pić dalej, czy może lepiej wrócić

do pokoju. Dorothy pewnie zachodzi w głowę, gdzie on się podziwia. Lepiej sprawdzić, czy zjadła coś na lunch.

Młody znajomy, Adam, mijając bar, przystanął poklepać George'a po ramieniu, bardzo delikatnie, lecz stary omal nie spadł ze stołka. Odzyskał równowagę, gwałtownie chwytając się oburącz barowej lady i wyciągając przed siebie nogi.

- Ostrożnie - powiedział.

- Kurczę blade, George, tkwiłeś tu przez cały czas?

George obrócił się do swego napastnika.

- Przymusił mnie ten oto džentelmen. Jak idzie kładzenie płytek? Potrzebujesz pomocy?

- Nie, dzięki. Dobrze się czujesz?

- Cudownie.

- No to w porządku, uważaj na siebie. Idę na sjęstę. Czołem.

I podniósłszy jedno ramię w geście pozdrowienia, który trwał, póki nie stracili go z oczu, Adam zniknął za tarasem i ruszył w stronę morskiego brzegu.

- Kto to był? - spytała Annemieke, przyjmując zaproszenie na lampkę wina.

- Młody mężczyzna, który tutaj pracuje, kładzie płytki. Brytyjczyk. Jego rodak przybył mu dziś rano w sukurs.

- Serio? Przez myśl by mi nie przeszło, że w tym wieku dajesz jeszcze radę, George.

- Och, zdziwiłabyś się widząc, na co jeszcze mnie stać, moja droga - rzekł George, przewrotnie kiwając głową i uśmiechając się do Jana. - Póki tli się życie, **póty** nadzieja - dodał i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, Jan zaś rozlał resztę wina do trzech kieliszków.

- Wypijmy za nadzieję - powiedział.

George wychylił kieliszek jednym haustem.

- Młodzian napomknął coś o sjęście. Chyba skoczę do pokoju na małą drzemkę. Bawcie się dobrze.

Leki, które zażywał na raka, niemal uniemożliwiały Janowi picie. Połączenie ich z alkoholem wywoływało natychmiastowe nudności. Przestał je przyjmować tego ranka. Niepotrzebne zawracanie głowy. W razie konieczności weźmie morfinę, a od tej pory będzie pił. Będzie postępował głupio, podjął już decyzję. Miał dość chorowania, to zajęcie bez perspektyw. Na błaznowanie nie jest jeszcze za późno. A George jest do tego idealnym kompanem.

Wino wypalało dziurę w jego smutku, słońce czyniło to samo z plecami.

- Poparzysz się, jeśli nie założysz koszuli - stwierdziła Annemieke, dostrzegając z lekkim ukłuciem zazdrości, że Jan ma piękny na swój sposób korpus, wciąż smukłe i jędrne ciało. Zaskoczył ją widok Jana siedzącego na słońcu bez koszuli, jak zwykły robotnik, z przygarbionymi ramionami i pijackim uśmiechem na twarzy.

- Miło spędzasz czas? - zapytał żonę, objął ją w tali ramieniem i kiwnął na kelnera, wskazując kartę win.

Annemieke poprawiła sarong i podciągnęła na karku sznurek od bikini. Jej piersi miały miękką konsystencję lejącego się, rzadkiego ciasta. Uraczyła go swoim promiennym, anonimowym uśmiechem.

- Cóż, odpowiem w twoim stylu: i tak, i nie.  
- Przecież to twoje wyobrażenie raj.  
- Co chcesz przez to powiedzieć?  
- Lubisz takie miejsca. Eleganckie towarzystwo.  
- Jeśli wydaje ci się, że bawi mnie fakt wyjazdu na ostatnie wspólne wakacje, to grubo się mylisz. To był pomysł chłopców, nie mój.

- Jesteś rozgoryczona. A przecież to mnie przypadło w udziale umieranie.

Odepchnęła kieliszek z winem.

- Dobrze, że mi przypomniałeś!

Spojrzał na własne ciało. Przekonał się, że powolne umieranie to paskudna postać śmierci.

- Przepraszam.

- Och, nie mów takich rzeczy, Janie. Tylko pogarszasz sprawę.

Cóż, skoro właśnie tak myślał. Przelknął wino i ściągnął wzrokiem barmana, pokazując jedną whisky, po chwili zmienił zdanie i zamówił dwie. Nie zaprotestowała.

- Musimy porozmawiać - wyjaśnił, gdy barman szykował szklanki. Czekał na odpowiedni moment. Ujmie jej dłoń i powie: cofnijmy się do samego początku, bądźmy znów dwojgiem ludzi bez przeszłości, którą sobie zgotowaliśmy, bądźmy przyjaciółmi. Zrobmy razem coś głupiego, póki zostało trochę czasu.

Tymczasem barman się ociągał, żona błędziła wzrokiem po pozostałych gościach, zaczął więc mówić od razu, bez zwłoki.

- Wiesz, dawno nie byłem tak pijany.

- Tak, to prawda.

- Jestem ci winien przeprosiny. Jak wiesz, nie wybrałem sobie sam własnego losu, nie powinienem jednak dać się tak całkowicie pokonać.

Wzięła oddech i sięgnęła po whisky.

- Nie wybrałeś. Ja też nie, ani dzieci. Jednak spadło to na nas i musimy się z tym uporać.

- Wstyd mi, Annemieke - w tym momencie wziął ją za rękę - żałuję, że nie byłem lepszym, silniejszym mężczyzną. Od umierania człowiek nie staje się szlachetniejszy. Nic nie zmienia nas na lepsze, nawet życie, którego tak pragniemy, nawet sukces. - Obejrzał się na Amerykanów. Jakiś mężczyzna sprawdzał zegarek z czasem wskazywanym przez duży zegar nad barem, jego żona pocierała czubkiem palca wewnętrzną krawędź oka. Spojrzał poza

nich, zobaczył kołyszące się kielichy kwiatów, kształty zamazujące się i stapiające z sobą nawzajem przed jego zdeorientowanym, nieobecny wzrokiem.

- Usiądziesz? - zapytał. Pokręciła przecząco głową.

- Przez ostatnie lata byłem dla ciebie kiepskim towarzyszem. Przepraszam.

Nie chciała, żeby przeproszał. Przeprosiny wymagałyby od niej uczynienia tego samego, przecież dlatego ludzie przepraszają, ona zaś czuła się do tego niezdolna.

- Nie przejmuj się.

Odnosiła jednak wrażenie, że Jan czegoś od niej chce, jak Bill Moloney, że wywiera na nią presję.

- Nie przejmuję się. Postanowiłem się nie martwić, właśnie w tym rzecz, mam zamiar się wyluzować.

Bill Moloney zjawił się na drugim końcu baru, odsuwając jednego z Amerykanów na bok, łagodnie i ze słowami przeprosin.

Roześmiała się, odrzuciwszy w tył głowę.

- Za dużo wypiliśmy, Jańciu, jutro znowu będziesz sobą!

Uraził go sposób, w jaki go wykpiła. Odparł ze złością:

- No tak, zapomniałem, przecież ty wiesz, jak żyć.

- Ja się nie usprawiedliwiam, nie udaję kogoś, kim nie jestem.

Jan spostrzegł na drugim końcu baru wycofującego się raptownie Moloneya i nabrał pewności, że byli obserwowani. Poczul, że to hańba zabierać na wakacje taki bezmiar nieszczęścia, mimo że czyniło tak wielu ludzi. I wówczas znenawidził również wakacje.

- Nie tak głośno - powiedział. Zauważył, że skończyła drinka i podawała opróżnioną szklankę barmanowi.

- Nie tak głośno - przedrzeźniała - nie tak głośno. W domu słyszeliśmy tylko to. Miałaś taką obsesję na punkcie formalnej strony własnego życia, że nie przeżyłaś go wcale.



- Na szczęście nie można powiedzieć tego samego o tobie. Wysłałaś De Vriesowi pocztówkę?

Odwróciła się do niego i położyła mu ręce na ramionach. Pochyliła głowę, by ich spojrzenia znalazły się na tym samym poziomie.

- Słuchaj, Jan, czego ty chcesz? To nędzny koniec nędznego małżeństwa. Mam dodać coś jeszcze? Mam się zmienić, wyszlachetnić tylko dlatego, że umierasz? Na sześć lat? W duszy czuję się młodo. Jak osiemnastolatka. Ja nie umieram. I tak okradłeś mnie ze zbyt wielu lat, mam ci to za złe, mam dość. Zawsze byłam z tobą szczerą.

Już to słyszał, to ostatnie zdanie. To nie było odpowiednie miejsce na tego rodzaju rozmowy, wszędzie dookoła ludzie, nie przeszkadzało jej to jednak zniweczyć jego nadziei, osądzić i sklasyfikować jego życie, teraz zaś uczyni to samo ze śmiercią. Musiał zareagować.

- Annemieke, twoja szczerłość jest przygnębiająca. Brutalna. To szczerłość, która nie obnaża żadnej prawdy, jedynie pozwala ci na folgowanie samej sobie. - Przerwał, ponieważ złość zaczynała brać nad nim górę, a wreszcie trzasnął ręką w bar, aż podskoczyły szklanki i dodał: - Jest bardzo wygodna!

- Nie jestem filozofem. Jakież masz szczęście, że potrafisz dostrzec prawdę. Dopisz kolejną notatkę w swoim notesie.

Poczuł się przez nią zdeklasowany, a mimo to był nadal pewien, nawet po tak wielu wspólnych latach, że racja leży po jego stronie. Ujął szklankę w obie dłonie i popijał whisky jak zupę z kubka.

- T o . . . okropne - powiedział. Miał worki pod oczami; wydawał się jej zarazem smętny i nachalny.

Drażnił ją sam jego widok.

- Wiesz - powiedział - kiedy myślę o Annemieke z dawnych czasów, tęsknię za tobą. Od początku wiedziałem, że wiele nas różni, że mamy swoje problemy.

Ale kiedyś byłaś mi przyjaciółką. Teraz wydaje się, że nie zostało już nic, nie ma bezpiecznego miejsca. Myślałem... - postawił pustą szklankę na barze, ślizgała się po mokrej powierzchni, póki nie przytrzymał jej ręką. Wreszcie zamknął usta i umilkł.

Annemieke ścisnęła swoją szklankę między piersiami, odwróciła wzrok. Rozmyślała o dniach po jego śmierci, o cichym domu, pudłach na podłodze, synach parzących kawę w kuchni, dotykających jej pleców, gdy klęka, nagłym ożywym dźwięku brzęczącego telefonu.

Odchrząknął i ciągnął dalej, mamrocząc żałośnie pod nosem:

- Nikt nie musi wygrać. Nikt nie musi mieć racji. Temu, kto wygrywa, na nas nie zależy. Wiesz, miałem pomysł, jak to zrobić.

Usłyszała, jak łamie mu się głos i szybko obrzuciła go wzrokiem, ujrzała w nim swego młodszego syna, Bena, sposób, w jaki na nią patrzył, przyznawszy się, że ma znowu debet na koncie. Wbrew chłodnemu i zatwardzialemu umysłowi jej matczyne serce zakreśliło luk niczym jaskółka zataczająca krąg na niebie przed zimowym odlotem na południe.

## 13

George trzykrotnie wsuwał plastikową kartę w szczelinę mechanizmu zamkowego w drzwiach ich pokoju, lecz za każdym razem okazywał się zbyt niecierpliwy i naciskał klamkę, zanim zapaliła się zielona lampka. Zapukał i zawołał.

- Dorothy, to ja, wpuść mnie, nie udało mi się otworzyć kartą.

Czekał, oblizywał wargi, wyschło mu w ustach, na pieprz. Kiedy myślał o Dorothy, z miejsca wyobrażał so-

bie przygotowaną dla niego cudowną filiżankę herbaty. Delikatnie kopnął w drzwi.

- No, moja droga, weź się w garść, rusz się z miejsca.

Jeszcze raz wypróbował kartę, tym razem bez pośpiechu, i wtoczył się do pokoju, w którym obracające się gwałtownie skrzydła wentylatorów wprawiały w ruch powietrze. Cała podłoga zasłana była kartkami z hotelowych broszur. Zawołał ponownie i wyszedł na balkon. Ani śladu Dorothy. Pewnie wyskoczyła na mały lunch. Zegarek wskazywał trzecią. Łóżka były pościelone, schludne jak sterta świeżo ściętego drewna. Czekając na nią, położył się na chwilkę, pozwolił odpocząć oczom.

## 14

Drobna starsza kobieta - córki nazywały ją „Panią Tycią Myszką” - nie zwróciła na siebie większej uwagi, gdy przekraczała główną bramę kompleksu hotelowego. Być może parę osób spośród personelu zdumiało się, widząc, że włożyła płaszcz mimo piekielnej spiekoty. Nikt nie zauważył, jak przez dobry kwadrans stała naprzeciw bramy, jak nieznajomy przechodzień, który szuka tematu do rysunku. Zaczęła iść przed siebie prawą stroną drogi. Z zadowoleniem stwierdziła, że nie ma na niej ruchu.

Przez lata Dorothy zdarzyło się kilka razy podejść do drzwi, wziąć torebkę, kapelusz i płaszcz, i zapiąć guziki z zamiarem opuszczenia ich wszystkich. Zapinanie guzików wydawało się trwać w nieskończoność, przez cały czas poruszała przy tym żuchwą, mieląc swoje żale. Raz czy dwa dotarła do końca ulicy i sterczała na przystanku autobusowym, mrugając powiekami, oddychając ciężko z powodu zalegającej w płucach flegmy. Za każdym razem autobus nadjeżdżał i odjeżdżał, ona nie wsiadała

i wracała do domu. Powrót był równie trudny, jak wyjście za próg.

Przed nią rozciągała się długa, łagodna pochyłość, pagórek, który zapowiadał dotarcie na płaskowyż. Widziała w oddali szeleszczące łodygi trzciny cukrowej, potrząsające krzaczastymi czuprynymi. Panował nieznośny upał. Nie miała pojęcia, która jest godzina, ponieważ zostawiła zegarek w hotelu. Szła powoli i z wysiłkiem. Była stara i do niczego, dokładnie tak, jak wszyscy jej powtarzali, jaki jednak sens denerwować się z tego powodu. Gdy doszła do płaskowyżu i ujrzała złociste, szlachetne pola trzciny rozpościerające się i przed nią, i na lewo, i na prawo, dalej zaś, na ich obrzeżach, błękit, który mógł być zarówno ziemią, jak i morzem, zdjęła płaszcz, złożyła starannie, a następnie wetknęła go pod wysoki żywopłot.

Pociągnęła łyk wody z małej butelki, którą z sobą zabrała, przepłukała nią wyschnięte usta, przednie zęby, czując ulgę przy dziąsłach. Odciągnęła materiał przylegający do skóry pod pachami i ruszyła dalej.

Powinna była jakoś ich ostrzec, George'a i córki, o swojej przypadłości, nie używając słów; nie chciała, by ktokolwiek wpadł w popłoch. Wiedziała, że to coś, jakkolwiek się nazywa, zbliża się, jeszcze zanim zorientował się lekarz. Co za heca, nie mogła przypomnieć sobie nazwy! Koń by się uśmieł. Nie brakowało jej piątej klepki, była niegdyś błyskotliwą młodą istotą, czytała wszystko, co wpadło jej w ręce, zawsze w bibliotece, zawsze ubiegała George'a. Pamiętała bibliotekę w najdrobniejszych szczegółach, pamiętała zapachy, wykaz obowiązujących zasad, małe granatowe karty katalogowe, tytuły wypisane wielkimi literami, nazwiska autorów małymi, obiecujący zapach stęchlizny między rzędami regałów, książki zalatujące drożdżami oraz woń konwalii rozsiewaną przez główną bibliotekarkę, gdy szło się podbić

kartę. Wyobrażała sobie kiedyś, że tak właśnie będzie u bram niebios, uprzejmie, acz stanowczo, z aromatem kwiatów dokoła. To wszystko stało jej przed oczami jak żywe, podobnie jak obszerne fragmenty dzieciństwa, nie potrafiła za to przypomnieć sobie nazwy własnej choroby! Wiele słów po prostu się ulotniło, zniknęło. Jej świat się zamykał. Za każdym razem, gdy docierała do jakiegoś zakamarka swojego umysłu, co pochłaniało sporo czasu, napotykała wywieszkę „Zamknięte”. Przed ich wyjazdem na wakacje zdarzyło się jej nie wiedzieć, jaki jest dzień tygodnia.

Postanowiła porozmawiać o tym z George'em. Był wtedy na dole, w szopie na narzędzia, zeszła do niego, stanęła w progu, a on przywitał ją słowami: „Jeszcze w nocnej koszuli? Więc nie idziesz dzisiaj do Madge?”. No i stała tak w kapiach obsypanych trocinami, zamiatając długą koszulą drewniany pył, i miała na końcu języka tekst, który sobie przygotowała. „Posłuchaj”, zamierzała powiedzieć, „coś dzieje się w mojej głowie, coś jest ze mną nie w porządku, ale proszę, wytrzymaj, nie zdradź mnie przed córkami i nie mieszaj do tego lekarzy. Proszę cię, po prostu się mną zaopiekuj”. Lecz zamiast tego spytała: „Kto to jest Madge?”, czując, że powinna o to zapytać, i to pilnie, miała bowiem okropne przeczucie, że to ktoś, kogo zna doskonale, może siostrzenica albo siostra, a nawet któraś z jej córek. „Przede mną się nie zgrywaj”, odparł, „idź się ubrać, odwozę cię, teraz na pewno spóźnisz się na autobus”. Dotknęła jego ramienia, włosy na skórze wyglądały jak drut topikowy, w tym miejscu zawsze były rudawe, on zaś strząsnął jej dłoń, nawet na nią nie patrząc, i ponaglił ją ostrym tonem, „Pospiesz się”. Głos ochrypl mu w identyczny sposób wtedy, gdy najstarsza córka powiedziała, że straciła dziecko.

„Kto to jest Madge?“, powtórzyła, wycofawszy się do ogrodu, wyczuwając pod stopami sprężynujące wióry z heblowanych desek, które George wymiółł na zewnątrz. Patrzyła, jak kuśtyka w stronę wielokwiatowej fasoli i przyzmy kompostowej, ale nie usłyszał jej i nie odpowiedział, wróciła zatem do domu. Kiedy wszedł później do środka i zastał ją siedzącą w pokoju od frontu, nie wspominał nic o wyprowadzeniu samochodu z garażu.

Powiedziała więc George'owi i córkom tylko tyle:

- Kiedy przyjdzie na mnie czas, odejdę bez żalu.

Oni zaś droczyli się:

- Och, a kiedy to nastąpi, mamó, wtajemnicz nas, dobrze?

Nie potrafiła zdobyć się na nic więcej. Przynajmniej wiedzieli, że cierpi.

Schodząc ze wzgórza po drugiej stronie, dostrzegła małą wioskę, skupisko skleconych byle jak domów, wzniesionych nieznacznie nad gruntem na czterech kłocowatych, drewnianych nogach. Gdy do nich dotrze, wypije następny łyk wody. Długie ogrodzenie z siatki po lewej stronie drogi prowadziło do pierwszego z zabudowań. Po wybiegu chodziły kury i małpy. Na schodkach domu stała kobieta o naburmuszonej twarzy z włosami nawiniętymi na szmaciane papiloty, w efektownych, choć mocno znoszonych kapciach, trzymała dziecko na biodrze. Omiotła Dorothy surowym spojrzeniem. U jej stóp leżał zwinięty w kłębek długi, płowy kundel, który zadarł łeb, popatrzył i powrócił do przerwanej drzemki. Kobieta skinęła głową, Dorothy odwzajemniła ukłon i powiedziała:

- Dzień dobry.

Kobieta błysnęła uśmiechem.

- I jak tam? - spytała.

- Dobrze, dziękuję. Piękny dzień.

- Skoro pani tak mówi... - miała głęboki, śpiewny głos. Potem usiadła, kręcąc głową pochyloną nad dzieckiem i roześmiała się, szczerze ubawiona.

Przed innym domem jakiś chłopiec stał na pedałach roweru, starając się utrzymać równowagę napiętymi mięśniami nóg, gotów na wszelkie niespodzianki. Na jej widok wyszczerzył się w uśmiechu i zawołał kolegów, a wtedy wyłoniła się gromadka dzieciaków, by także się jej przyjrzeć, ich matki stały w drzwiach osłoniętych koronkowymi firankami, które leniwie powiewały poruszone lekką bryzą. Kilku starych mężczyzn, którzy siedzieli, paląc, oparci plecami o zużyte opony, krzyknęło coś do niej i uniosło ręce w geście pozdrowienia. Poczuli się tak, jakby szła na czele karnawałowej parady i w całkowicie naturalny sposób również podniosła dłoń w odpowiedzi na powitanie. Nikt się do niej nie zbliżył; pozwolili temu ulotnemu dziwadłu pójść swoją drogą.

Dwie nastolatki, także z włosami nakręconymi na papiloty, siedziały ze złączonymi kolanami na stopniach pomalowanego na niebiesko budynku przykrytego blaszanym dachem. W różowych i żółtych sukienkach tworzyły na tle domu urokliwy obrazek. Jeśli tak wygląda ubóstwo, to ma ono swój koloryt, pomyślała, oraz leniwy luz, który nie sugeruje głodu. Musiał być wczesny wieczór, ludzie odpoczywali, nie potrzebując do tego żadnych rozrywek. Wszyscy przysiedli, jak gdyby czemuś się przyglądali, tyle że nie było czemu się przyglądać.

- Cudownie - powiedziała.

Mogła zajrzeć do kilku domów i obejrzeć wnętrze. W każdym oknie wisiały firanki, a w wielu pomieszczeniach na stołach i krzesłach leżały ozdobne serwetki z materiału i koronki. Budynki były pomalowane na od-

cienie, które można znaleźć w pudełkach z kolorową kredą: głębokie błękity, czerwienie, pomarańcze, róże i żółcienie. Umeblowanie było funkcjonalne; widziała w środku te same przedmioty, z powodu których jej własne dzieci wyśmiewały jej pokolenie: plastikowe artykuły gospodarstwa domowego i praktyczne ochraniacze. Gdy wiatr rozwiewał firanki, dostrzegła tu i ówdzie sam koniec nóg albo fragment pleców, odwracającą się głowę, wyciągnięte ramię. Żałowała, że nie było jej dane życie, które wiedziono za tymi oknami.

Bieda! - pomyślała, wyrzucając z siebie to słowo. Nie mają telewizji i tyle! Żachnęła się. „Nie myśl sobie, że ci ludzie są dobrzy, Dorothy”, przestrzegała samą siebie, „żaden człowiek nie jest albo dobry, albo zły, bez względu na to, co zrobił lub czego nie zrobił...” Lecz czy nie łatwiej być dobrym, kiedy człowieka nie przytłacza nadmiar zmartwień, czy wtedy najzwyczajniej w świecie nie jest łatwiej? Czyż niegdyś ludzie nie byli lepsi? Nie zamykali drzwi, cieszyli się drobiazgami. Córki stwierdziły, że to bzdurny świat zza różowych okularów.

- Wtedy też zdarzały się zbrodnie, mamó - wytykały. Wnuczka tłumaczyła jej, jak media robią to i owo, jak policja przedstawia to i tamto, i jak wszystko różni się, a zarazem jest takie samo.

- Szkoda, że nie mogę porwać sama siebie - rzekła, przystając, by wygrzebać z dna torebki miętówkę. Znalazłszy cukierek, wyprostowała się, ssąc go jak kaczką łykająca łąpczywie kawałki chleba.

## 15

Jan czuwał. Był wieczór, położyli się zdrzemnąć, pijani, przed zachodem słońca, uzgodniwszy, że wstaną na kola-



cję. Żona spała obok cicho i mocno, poruszana przez wentylator drobna zmarszczka na białym prześcieradle drgała ponad usianym piegami ramieniem. Trzymał głowę na poduszce, ale położył się na boku, by móc czuć, dość wyraźnie, pulsowanie tętnicy na szyi. Czuł je i słyszał. Przypominało tykanie zegarka. Dawało mu to więcej, niż mogła dać samotna myśl, czekał więc, aż zaspokoi swą potrzebę, a następnie odwrócił się i spojrzął na żonę. Jej policzek przecinała wąziutka strużka śliny, znał ten zapach, martwego oddechu wypełniającego pod przykrywką cieczy.

Szczerze pragnął rozejmu. W trakcie ich wspólnego życia nazywał ją oszustką, tchórzem, kłamcą i wiedział, że wszystkie te epitety mogą równie dobrze odnosić się do niego. Nie było sensu obrzucać ją tymi wyzwiskami, przecież nadal byli razem, leżał tuż obok. Byli współwinni. Każdego spędzonego z nią dnia gromadził dowody, by wykazać, że jest od niej lepszy, umieranie zaś dało mu do ręki jeszcze jedną kartę. Tak wyglądała prawda. Był głupcem.

Wstał z zamiarem zapalenia na balkonie papierosa. W zeszłym miesiącu powrócił do nałogu. Wyjął piwo z lodówki i usiadł na balkonie w nieruchomym upale zmierzchu, zostawiwszy otwarte drzwi, nie dbając o to, że klimatyzowane powietrze ulatnia się na zewnątrz, a ciepłe wkrada do środka. Chciał, by poczuła dym; chciał, by zwróciła na niego uwagę.

Zauważył przy kolacji, że Annemieke wywarła na George'u duże wrażenie. Gdy się postarzała, jej twarz ozdobiły ślady silnych uczuć, niczym bożonarodzeniową choinkę starej panny, przeładowaną, gniewną, w każdej chwili gotową coś strącić. Miała nadwyrężone oczy, tusz ciężko oblepiał rzęsy, lecz mimo to ciągle była atrakcyjna. Wyglądała lepiej bez makijażu. Jej oczy miały szarą barwę Morza Północnego, na które wielokroć spoglądała

z apartamentu matki w Blankenberge. Zawsze kojarzyły mu się z kroplą atramentu na papierze do akwareli, najpierw ciemną, blednącą ku zewnętrznym krawędziom.

Oczywiście starem George'owi Annemieke podobała się. Mężczyźni ją lubili, ponieważ wyglądała na kobietę, która potrafi zapewnić rozrywkę. Inne Holenderki lub Belgijki nosiły poważne, stwarzające dystans ubrania drogich marek w barwach ciemnej zieleni, brązu i granatu. Annemieke zgromadziła całą masę strojnych, bogato zdobionych ubrań, które nie dawały się składać i buntowały się w szafach. Tu i ówdzie jakiś rękaw ciągnął się z półki w stronę wieszaka, oblepiony robionymi na szydełku wisienkami, gdzie indziej przykuwał uwagę nadmiar zamków błyskawicznych i guzików do mankietów w kształcie kotwic lub serc.

Na początku uważał, że kładzenie się do łóżka w pełnym makijażu oczu to uroczy nawyk zapożyczony z typowych dla lat sześćdziesiątych rubryk porad, które zamieszczały wszystkie magazyny - a być może wynikało to z niechlujstwa i lenistwa, i ta druga myśl chyba bardziej do niego przemawiała. Pewnego wieczoru w pierwszych latach małżeństwa, jeszcze przed narodzinami dzieci, spostrzegł, że kolor jej cienia do powiek zmienił się z zielonego na połyskliwy perłowobiały, harmonizujący z koszulą nocną. Poczul się osaczony. Kiedy jednak przestała nosić w łóżku makijaż, ogarnęło go przygnębienie. Przypadkiem natknął się w jej szufladzie na tubki z kosmetykami; wciąż je przechowywała, budząc jego zazdrość. Wtedy był już tylko lokatorem w jej łóżku, czerpiącym korzyści z jej sprawnie funkcjonującego układu krążenia.

Zajrzał do pokoju, zobaczył, że przekręca się na łóżku, kopiąc prześcieradło. Bolały ją nie tylko oczy, ale i stopy. Wcisnęła je w zbyt wąskie buty na zbyt wysokim obcasie, nakleiła plastry na pęcherze, obtarła zaczerwienione miejsca na skórze, zamieniając je w otwarte rany.

Gdy natknął się w łazience na maszynkę do usuwania zrogowaciałego naskórka, na *carpaccio* ze stwardniałej skóry pięt w bidencie, zrobiło mu się niedobrze. Nie mogła znieść dotyku prześcieradeł na stopach; czerwone pletwy cierpienia poruszały się w mroku wieczoru.

Zgasił papierosa i wrócił do pokoju. Włączył lampkę po swojej stronie łóżka i wziął do ręki książkę. Wiedział, że światło wyrwie ją ze snu. Przebudziła się, zmarszczyła czoło, zadarła głowę.

- Czuję papierosowy dym.
- Przepraszam.
- Nie możesz spać?
- Nie. Cierpię na bezsenność.
- Dlaczego czegoś nie zażyjesz?

Odwróciła się i ponownie wtuliła głowę w poduszkę, widział, jak rozluźniają się jej ramiona. Nim na powrót zapadła w sen, przyłożył usta do zagłębienia między łopatkami i pocałował jej skórę.

Zabrzączał telefon. Dzwonił George.

## 16

Był to jego pierwszy poważny hotel. Steve Burns miał trzydzieści pięć lat, był kawalerem oddanym swej nowej pracy. Kompleks wypoczynkowy należał do sieci luksusowych ośrodków wakacyjnych, które reklamowały się sloganem - „Dobry smak i elegancja w zaskakujących miejscach”. „Dobry smak i elegancja” oznaczały ciemne tekowe drewno i jednolicie białe dodatki. „Zaskakujące miejsca” były wynikiem tego, że najbardziej ekskluzywne nieruchomości w każdym popularnym kurorcie zostały wykupione na pniu już dawno temu.

Opis obowiązków menedżera brzmiał dość niekonwencjonalnie, był bliski klimatowi New Age. Instruowa-

no go tłustym drukiem, by „zapewniał gościom przeży-  
cia, które umożliwią im ponowne połączenie ze swoim  
wewnętrznym ja w luksusowym otoczeniu”. A przecież  
pochodził z Manchesteru. Steve Burns. Mocno stąpają-  
cy po ziemi. Bawił go tytuł służbowy: Menedżer do  
spraw całokształtu doznań”. Pokazał go znajomym  
w porze lunchu, gdy otrzymał korespondencję, czerwony  
na twarzy bynajmniej nie z powodu rozpiekającej go  
dumy, lecz wskutek kilku piw wypitych w dusznym lo-  
kalnym pubie jedyne upalne dnia w ciągu całego  
roku. Przyjaciele zasypali go pytaniami. Był  
menedżerem hotelu, teraz jednak ma się stać prawdzi-  
wym guru, to niewątpliwy awans. Tak jak zostać z chło-  
pa dziedzicem.

- Słuchajcie - mówił - sadzacie siedemdziesiąt parę  
tłustych cielsk z klasy średniej dookoła basenu w pięk-  
nym słońcu, namawiacie ich, by dawali w szyję, a potem  
wleciecie ich na stół do masażu, by wypocili z siebie wła-  
ne w gardło procenty; po czymś takim bez trudu złączą  
się ze swoim ja. Z całą pewnością przekonają się, że ich  
prawdziwe ja, ich wewnętrzne dziecko, jest dokładnie  
tym samym, czym było, zanim wyjechali z domu: skoń-  
czonym chciwym sukinsynem.

— Ty to masz szczęście - jęknęli przyjaciele i przeszli  
do pytań o taryfy zniżkowe. Czas się ewakuować.

A teraz siedział w spodniach khaki, białej koszuli,  
srebrnym łańcuchu na szyi, skórzanych, brązowych mo-  
kasynach, z których wystawały owłosione kostki, na rogu  
wielkiego biurka z ciemnego drewna, w które go wypo-  
sażono. Nad jego głową obracał się wentylator z ciemne-  
go drewna ozdobiony mosiężnymi detalami, wzorowany  
na stylu kolonialnym. Przedstawiono go tutaj jako skrzy-  
żowanie Wernera Erharda z Ernestem Hemingwayem.  
I w zasadzie nadawał się do tej roli doskonale, syn Man-

chesteru, z dłońmi lepkiemi od potu, wdzięczny losowi za szansę obcowania z klasami posiadającymi.

Odbył już codzienny *briefing* z personelem wyższego szczebla, teraz zaś, na zakończenie całodziennych obowiązków, omawiał te same sprawy z Abnerem i Emmą, menedżerem od gastronomii i szefową hotelowej służby. Stwierdził, że karaibski personel jest na swój sposób solidny, spodziewał się pociągania rumu z butelki, popalania trawki, stereotypu wodoleja-obiboka. Lecz ta wyspa należała do najbardziej pobożnych miejsc na kuli ziemskiej. Znalezienie ludzi do obsługi gości w niedzielne poranki graniczyło z cudem. Zawarłszy sprytny pakt z siłami ciemności, organizował co tydzień imprezę pod hasłem Gorączka Sobotniej Nocy, poświęconą miłym wspomnieniom szkolnych dyskotek, i dawał gościom odpowiedni wycisk, by mieć pewność, że nikt nie zerwie się z łóżka bladym świtem. W ten sposób śniadanie przestawało być problemem, lunch zaś mógł ograniczać się do zaserwowania omlotu z ziemniakami, by goście wrzucili coś na rozstrojony żołądek, zanim zalegną w kiblu, temu więc mogły podolać dwie lub trzy osoby w kuchni.

Wyjaśniał Abnerowi i Emmie, że ich zadania są pochodną jego roli, co zgodnie z jego interpretacją oznaczało „wspomaganie konsumpcji alkoholu”.

- Kiedy zalegają spici jak bela wokół basenu, to nie sprawiają kłopotu, tak czy nie? - mówił. Ale Emma ukończyła *college* i rozprawiała na temat zwiększenia wydatków na dodatkowe atrakcje - pakiety odnowy biologicznej, wycieczki - a nawet napiwków.

- Brytyjczycy nie będą dawać napiwków - powiedział rzeczowo, rozważając w myślach jej pozostałe sugestie. Lubił przedstawiać siebie jako osobę, która stoi po stronie prostego człowieka - i jego upodobania do kieliszka.

Sam też nie gardził kuflem piwa. Tłumaczył sobie, że lepiej nie doić klientów, za to mieć pewność, że wrócą.

Za dwuskrzydłowymi drzwiami z matowego szkła, prowadzącymi do jego biura, wybuchło jakieś zamieszanie i do środka wtargnął starszy mężczyzna w siatkowym podkoszulku, spodniach i szelkach.

- Witam, witam - powiedział. - Czym mogę służyć, sir?

- Zgubiłem żonę - odparł starszy mężczyzna.

- To niezupełnie zła wiadomość - powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha. Abner i Emma popatrzyli na niego zszokowani i przestraszeni zarazem. (Och, starsza pani się znajdzie; pewnie jest w *spa*).

- Chodzi o panią Davies, prawda? - ciągnął. Odrobił zadanie domowe; zapoznał się z nazwiskami i profilami wszystkich gości na bieżący tydzień. Tę parę zapamiętał z uwagi na ich wiek. Mógł się spodziewać, że wypłyną jakieś „kwestie”. Przekonał się na własnej skórze, że ze starymi ramolami więcej kłopotu niż pożytku. Takie samo zawracanie głowy z rodzicami małych dzieci, koszmarna upierdliwość, wydaje im się, że wszyscy dookoła powinni cierpieć tak jak oni, w swym świętym oburzeniu nie mogą przeboleć faktu, że Bóg albo biologia wycieli im taki numer, to znaczy zesłali na nich przewlekły gościec-bachora.

- A więc kiedy widział pan panią Davis po raz ostatni?

George pocierał swoim wielkim łapskiem raz lewy, raz prawy policzek.

- Rano.

- Wybrała się gdzieś na cały dzień, może na jakąś wycieczkę?

- Nie - odparł George i jego twarz przybrała nagle żaloszny wyraz. - Zostawiłem ją w pokoju i trochę zamarudzilem na dole, zjadłem na dworze lunch z nowym

znajomym, wypilem kilka drinków, wróciłem po południu do pokoju, dość późno, i chyba przysnąłem.

Steve ponownie spojrzął na zegarek; właśnie minęła dwudziesta pierwsza trzydzieści.

- Obudziłem się dopiero przed chwilą - wyjaśnił starszy mężczyzna.

- Rozumiem. W takim razie może jej nie być od dłuższego czasu, sir - rzekł Steve.

- Tak. To samo mówiłem pańskiej recepcjonistce i hotelowym boyom. Pytałem, czy ją widzieli, a oni powtarzali, żebym zwrócił się z tym do pana. Dlaczego nie mogą po prostu odpowiedzieć?

Cały personel zmienił się o piątą, myślał Steve. Trzeba będzie zadzwonić do kilku osób. Do wielu. Ale najpierw należy przeszukać cały teren.

- Nie ma się o co martwić, sir, wszystkim się zajmemy, zorganizujemy dokładne poszukiwania, a równocześnie - przerwał, wahając się przez moment nad wybranym słowem, które okazało się jednak trafne - przepytamy cały personel, który dzisiaj dyżurował. - Abner i Emma siedzieli z buziami otwartymi ze strachu i zaskoczenia.

- Ile ma lat? - Emma spytała George'a, obracając się na krześle.

- Osiemdziesiąt dwa.

Emma pokręciła głową i jęknęła:

- Taka wiekowa, a dzisiaj straszny upał.

- Dziękuję, Emmo - powiedział Steve. - Panie Davis, opracujmy plan działania. Myślę, że dobrze by panu zrobiło, gdyby poczekał pan przy barze, przekąsił coś na kolację, może talerz zupy.

- Nie dyryguj mną, synu. Bierz dupę w troki i dopilnuj, by zjawiała się tu zaraz policja.

## 17

W jadalni Adam dotknął ramienia Jana. Belgijska para siedziała samotnie przy czteroosobowym stoliku w pobliżu drzwi. Widząc czujne spojrzenie Adama, omiatające całą salę, Jan wytarł usta i odłożył serwetkę na talerz, odsunawszy go na bok. Annemieke położyła nóż i widelec, i zakryła twarz dłońmi, gdy Adam wyjaśnił, że podobno zaginęła żona George'a.

- Tak, George już mi o tym powiedział.

Adam pokręcił głową.

- Biedny staruszek, na pewno z niepokoju odchodzi od zmysłów. Pomyślałem, że może spróbowalibyśmy jakoś razem mu pomóc.

- Ależ oczywiście - rzekł Jan, odsuwając krzesło od stołu. - Czekam na niego, mamy się tu spotkać po jego wizycie u menedżera. Minęło już trochę czasu.

- Straszne! - odezwała się głośno Annemieke. Kilkoro gości popatrzyło w ich stronę. - To starsza kobieta. A jest już wieczór! Robi się późno! Muszą ją znaleźć.

Jan przyłożył palec do ust.

- Im więcej osób będzie o tym wiedziało, tym więcej chętnych do poszukiwań - rzekł, rozglądając się dookoła.

Adam spojrział na Annemieke i wzruszył ramionami. Jan wstał.

- Zorientuję się, co można zrobić.

- Zaczekam na was przy barze - zapowiedziała, również podnosząc się z krzesła.

Było coś komicznego w zachowaniu personelu kuchennego, który kręcił się po całym obiekcie, zaglądając w miejsca, gdzie w sposób oczywisty nie mogłaby się zmieścić żadna ludzka istota, i pytając scenicznym szeptem: „Pani



Davis, jest pani tam?". Polecono im nie niepokoić gości. Grupka trzech mężczyzn wyszła z sauny, a jeden z nich w stroju szefa kuchni przekręcił klucz w zamku, potrząsając przecząco głową i wskazując na szopy z narzędziami jako następne miejsce, które należy sprawdzić.

George stał przy basenie, lustrując oddział w akcji i przygryzając dolną wargę, którą przytrzymał palcem.

Kiedy Jan i Adam do niego dołączyli, pokręcił głową i powiedział:

- Gdzie ona się do diabła podziewa?

- Przeszukali plażę? - spytał Jan.

- Właśnie tam są - odrzekł George - ja też już byłem. Rozglądają się wszędzie, ale ona nie mogła zejść daleko, kiepski z niej piechur, nogi bolą ją już po dojściu na przystanek autobusowy.

- Umie prowadzić wóz? - zainteresował się Adam.

George pokręcił głową.

- Może pojechała na wycieczkę?

- Zostawiłaby wiadomość, a w pokoju nie ma żadnej kartki, kompletnie nic.

- Powinieneś poprosić recepcję, żeby ewentualne telefony do ciebie przełączano na biuro menedżera - zasugerował Jan. George pokiwał głową, ale bez przekonania.

- Nie potrafiłaby skorzystać z automatu telefonicznego.

- Ona nie, ale inni ludzie tak.

- Tak, ktoś może zadzwonić z żądaniem okupu. Mogła zostać porwana, chodzą mi po głowie różne takie straszne myśli, nie powinienem być zostawiać jej samej...

- Nie, nie, mam na myśli życzliwą pomoc, ktoś mógłby zatelefonować w jej imieniu.

George znowu pokręcił głową.

- Zniknęła, a ja nie wiem, gdzie jej szukać. To chyba pierwszy raz od pięćdziesięciu z górą lat, kiedy nie wiem, gdzie ona się podziewa. Dziwne.

Adam położył George'owi dłoń na ramieniu, gdy menedżer i grupka mężczyzn wyłonili się od strony plaży. Ten pierwszy nie mógł złapać tchu. Pochylił się w przód z rękoma wspartymi na biodrach, podniósł głowę i potrząsnął nią, spoglądając na George'a. Z obu skroni spływały mu drobne kropelki potu i wsiąkały w bawełnianą koszulę. Otarł czoło rękawem.

- Co z policją? - zapytał George.

Menedżer wpatrywał się przez chwilę w Adama i Jana stojących po obu bokach George'a.

- To nasz następny krok.

- Następny? Prosiłem o to już w biurze. - George zerknął na Jana. - To było godzinę temu.

- Ale oni niewiele mogą pomóc; działanie lokalnej policji pozostawia wiele do życzenia. Widzi pan, nie chciałem przesadnie reagować, póki dokładnie nie rozejrzymy się po ośrodku.

- Kiedy gubi się starsza kobieta, żadna reakcja nie jest przesadą - wtrącił Jan.

Menedżer rodem z Manchesteru zauważył teraz, że Jan jest zapięty pod samą szyję i mówi z rwącym się, północnoeuropejskim akcentem, holenderskim albo niemieckim, i natychmiast go znieubił. Wiedział, że będzie mu solą w oku. „No dobra, Hans”, powiedział sobie w duchu.

- Proszę mi wierzyć, sir, poruszamy niebo i ziemię. W chwili obecnej mój personel wciąż przeczesuje teren i dopilnuję, by rozszerzono poszukiwania na obszary przyległe. Obdzwaniamy ludzi. Musi pan zrozumieć, sir, w jaki sposób funkcjonuje lokalna społeczność, ażeby pojąć, że powiadomienie policji nie jest pierwszą rzeczą, jaką należy uczynić w zaistniałej sytuacji. Tutaj wieści rozchodzą się z ust do ust.

- Myślę, że opowiada pan bzdury - rzekł Jan - broni własnych interesów. Boi się pan złej reklamy i tyle.

George gorączkowo przenośli wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Adam z dłonią wciąż jeszcze spoczywającą na ramieniu George'a zabrał głos:

- Wezwijmy policję, to na pewno nie zaszkodzi.

Menedżer wyraził zgodę.

- Oczywiście. Nikt nie próbuje chronić własnej skóry.

- Posłał spojrzenie Adamowi.

## 18

Ostatnie kolibry kończyły całodzienną aktywność, wsuwając swe perfekcyjne trąbki do ukształtowanych jak flakon kielichów hibiskusa, unosząc się nad nimi i z przyjemnością trzepocząc skrzydełkami. W powietrzu było gęsto od woni arystokratycznych kwiatów, które zadawała wyłącznie dobrze nawodniona ziemia. Zrasczce podrygiwały i świergotały, rozpylając jedwabiste kropelki na płatki kwiatów. A bezwstydne czerwone hibiskusy jakby korzyły się, byle tylko dostać wodę - nieprzyzwoite, z wystawionymi jęzoremami.

Annemieke poszła do baru w chińskim szalu, czarno-czerwono-złotym, udrapowanym na ramieniu i spływającym na rękę. Pospieszne kroki w butach na wysokich obcasach rozbrzmiewały na ścieżce przenikliwym dźwiękiem.

W barze zebrało się towarzystwo, które nie poszło jeszcze na kolację. Zauważyła, że w ciągu kilku ostatnich dni połączyło się w paczkę, tworząc rodzaj hotelowej arystokracji. Byli to ludzie, którzy nosili na przegubach roleksy i zostawiali przy basenie akcesoria plażowe marki Cartier, okulary przeciwsłoneczne i torby. Gdy ktokolwiek z nich wybierał się do baru, nie omieszkiał pytać pozostałych, czy mają na coś ochotę, a ta galanteria i uprzejmość uchodziła za dowód przynależności do grupy. Dziś rano ją również zapytano, czy czegoś się napije. Podniosła wzrok znad

książki i odmówiła z przeciągłym uśmiechem, patrząc na żonę mężczyzny, blondynkę z lekko haczykowatym nosem, która lubiła bawić się wyzywająco górą od bikini. (Ściągała ją błyskawicznym ruchem, kiedy opalała plecy i nakładała bliźniacze trój kąciki na podobne do sadzonych jajek piersi, gdy opalała przód. Zawiazywała sznureczki tylko wtedy, kiedy znajdowała się w ruchu.)

To samo małżeństwo „podejmowało” właśnie trzy inne pary, wszystkie po czterdziestce, do których starała się zbliżyć pewna angielska para. Annemieke i fan poznali tych dwoje, Harry'ego i Maxine z Surrey, poprzedniego wieczoru w barze. Anglicy pomachali do niej, zapraszając do kręgu, manifestując coś więcej niż prawo przynależności do grupy przez fakt wprowadzenia do niej Annemieke, i zawołali z przesadną poufałością:

- Annie, skarbie, gin z tonikiem, zgadza się?

- Dziękuję, kieliszek białego wina - odparła, udając, że dopiero ich spostrzegła, wystrojonych w biel i złoto, rozsiewających opary wody po goleniu, które zażarcie walczyły z perfumami o powietrze i przestrzeń. Powiedziała całej grupie „dobry wieczór”.

- Jason Ryder - przedstawił się Amerykanin, który rano proponował jej drinka. - Missy Ryder - dodał i usunął się na bok, by odsłonić żonę.

- Jakie dziś żarcie? - zapytał Harry, zerkając porozumiewawczo na męża blondyny o haczykowatym nosie i mrugając do niego znacząco w nawiązaniu do, jak można by przypuszczać, jakiejś wcześniejszej rozmowy

- Z pewnością odbiega od standardów nowojorskich - rzekła Maxine - no ale tam macie absolutnie wszystko, prawda? Szczęściarze. - Mężczyzna o imieniu Jason zareagował z pewną niechęcią, wymigał się od jasnej odpowiedzi i opuścił dłoń na plecach żony.

Annemieke rzekła:

- Prawdę mówiąc, nie mogłam nic przełknąć, Harry.  
- Panie obróciły się ku niej natychmiast. Określona kategoria kobiet, jak doskonale orientowała się Annemieke, gotowa wyleźć ze skóry, byle tylko okazać się najsympatyczniejszą osobą w towarzystwie. - Zaginęła jedna turystka goszcząca w tym hotelu. Mogła zostać porwana, uprowadzona. Od jej zniknięcia minęły już dwadzieścia cztery godziny, nikt nie robi sobie zbyt dużych nadziei na jej odnalezienie.

Zaskoczenie, jakie wywołała ta demonstracyjna wypowiedź, przekroczyła oczekiwania.

- Żartujesz - powiedział Harry.

- Nie wierzę - dodała jego żona, patrząc szeroko otwartymi oczami. Objął ją ramieniem i przyciągnął. Nie odrywali wzroku od Annemieke. Starła się zachować powagę. Czasem trochę ją ponosiło.

- Uznałam, że powinnam ostrzec was wszystkich, żebyście byli ostrożni. Obawiam się, że trzeba być przygotowanym na najgorsze.

Amerykańska para spojrzała po sobie.

- Co robią w tej sprawie? Mam na myśli dyrekcję - spytał Jason Ryder.

- Czy chodzi o panią, która jada kolacje w towarzystwie tego młodego...? - zaczęła jego żona.

- Nie, nie o nią, tak się składa, że to żona naszego przyjaciela i dlatego jestem mocno wytrącona z równowagi, to dobrzy ludzie, więc... - rozejrzała się dookoła - porządni, prości ludzie.

Kobiety pokręciły głowami.

- Starsza para - powiedziała żona Jasona, kiwając głową - widziałam was razem przy stoliku. Ludzie z krwi i kości.

- Muszą być chyba po osiemdziesiątce - dorzucił inny mężczyzna.

- No, trzeba zbadać, co możemy zrobić - rzekł Jason, odwracając się do swych amerykańskich przyjaciół.

Noc spowiła już bar, więc barman rozstawiał świece w kloszach, zgodnie z zaleceniami menedżera. „Pomyśl o doznaniach”, kładziono mu do głowy, blask świec jest w dobrym guście, w przeciwieństwie do oświetlenia ze ściemniaczem; jest tandetne, a w dodatku można je regulować wedle czyjegoś widzimisię. „Pomyśl o romantyzmie”. Poprzedniego barmana świerzbiły ręce, to przygaszał światła, to rozjaśniał tak, że aż oślepiały, kierował się przy tym wyłącznie własnymi kapryсами. Nowy barman nie popełniłby takiego błędu. Goście stali odwróceny plecami do baru, patrzyli na podświetloną błękitną wodę sadzawki, sączyli drinki, rozmawiali z sobą przyciszonymi głosami. Tylko Annemieke zwróciła twarz ku ogrodowi na tyłach baru. Jej rysy wydobywał z mroku blask świec. Można było dostrzec na jej obliczu zatroskanie, lecz poza tym wydawało się spokojne jak znieruchomiałe kwiaty, których nie nawiedzają ani pszczoły, ani motyle, ani kolibry.

## 19

Jan zabrał George'a do baru na kawę, zamówił jedną czarną, jedną z mlekiem, i stanął z dala od grupy. Czekali na menedżera, który miał przekazać najświeższe wiadomości. Powiedział, że spotkają się o dziesiątej.

Annemieke przeprosiła towarzystwo i podeszła do dwóch mężczyzn.

- Coś wiadomo?

Pokręcili głowami. Jan wyjaśnił, że George złożył pełne zeznania komisarzowi policji, który przybył wraz z dwoma policjantami.

- Wygląda na to, że traktują sprawę rzeczywiście poważnie. - Powiedział to ze względu na George'a, przypominając sobie, że komisarz był zmuszony mocno przyciskać długopis do samokopiującego notesu, gdy zapisywał najważniejsze informacje, jedynym zaś celem obecności dwóch pozostałych funkcjonariuszy zdawało się wyrażanie zaniepokojenia oplakany stanem długopisu przełożonego. Komisarz zapewnił George'a, że uczynią, co w ich mocy.

- To niewielka wyspa, sir - rzekł do George'a - wszyscy się tu znają.

- Cóż, chyba rzeczywiście robią, co mogą - powiedziała Annemieke, muskając dłoń George'a.

George zgrzytał zębami i wpatrywał się w ogrrody, przenikając wzrokiem mrok za barem. Pokiwał głową.

- Gdzie Adam? - spytała Jana.

- Wrócił do siebie.

Annemieke uniosła brew i głośno cmoknęła.

- Poszedł dowiedzieć się, czy możemy skorzystać dziś wieczorem z samochodu jego gospodarza.

- W jakim celu, co planujecie?

- Mamy zamiar rozejrzeć się po wyspie i poszukać jej na własną rękę.

- Czy to rozsądne?

- Nie możemy siedzieć z założonymi rękami - odparł spokojnie Jan. - Postaw się na jego miejscu.

- Zmierzałam do tego, że wolelibyśmy nie stracić dwóch kolejnych osób. Nie jesteście już młodzikami - wyszeptala, patrząc nieufnie, jak gdyby zdradzała jakiś sekret.

- Nie bądź śmieszna.

Amerykanie, którzy przysunęli się bliżej i jak dotąd cierpliwie stali w pogotowiu, zdawszy sobie sprawę z bliskiego kontaktu tych trojga z epicentrum wydarzeń, zaczęli przypuszczać szturm.

- Przepraszam - wtrącił się Jason - ale zorientowaliśmy się, że macie problem i chcielibyśmy zaoferować pomoc.

Jan obrócił się do niego i potrząsnął głową. Annemieke pomyślała, że z tą swoją mięsistą górną wargą i poważną miną zbitego psa, Jan wygląda jak stara, schorowana krowa, która odmawia przyjęcia garści paszy.

- Bardzo miło z waszej strony - odparła, a odwróciwszy się do Jana, wyjaśniła - opowiedziałam panu Ryderowi i jego przyjacielom, co zaszło. Pomyślałam, że przyda się każda pomoc.

George zdawał się nie słuchać; stał przy barze z rozczapierzonymi na blacie palcami, wspierając górną część tułowia na nadgarstkach.

Jason zaczął tłumaczyć, że konsulat amerykański na wyspie może okazać się przydatny, a z pewnością ma dostęp do środków specjalnych.

- Zobaczą, że sprawa dotyczy również przebywających w hotelu obywateli amerykańskich i podejmą działania, mogę o tym zapewnić.

Jan ostentacyjnie odwrócił wzrok.

- Bądźmy szczerzy, sytuacja nie pozostaje bez wpływu na społeczność zgromadzoną w tym ośrodku. Jest potencjalnym zagrożeniem. Dla nas wszystkich. Dla naszych żon. Kierownictwo powinno było ostrzec nas od razu. To sprawa każdego z nas - powiedział Jason, marszcząc czoło. Jan zachowywał kamienną twarz, pozostawał niewzruszony. George nawet się nie obrócił. Annemieke ściągnęła brwi i przytakiwała, patrząc ze zrozumieniem.

- Nie jestem zachwycony tutejszym kierownictwem. Całkowicie umywają ręce, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. No bo gdzie jest szef tego interesu, kiedy go potrzebujecie? Na nieustających wakacjach. Moglibyśmy trochę go przycisnąć. U siebie w kraju grywam w golfa z prezesem grupy, która jest właścicielem tych hoteli.



- To jest myśl - stwierdziła Annemieke.

Jason wyjął z kieszeni telefon komórkowy i odszedł kilka kroków dalej, mówiąc:

- Nie ma sprawy, zaraz się tym zajmimy.

W tym momencie podszedł do grupy Bill Moloney, spieczony słońcem do tego stopnia, że było to wyraźnie widoczne nawet w mroku, i stanął wyczekująco na tyłach. Sprawiał wrażenie, że ma zamiar się odezwać, dostrzegając jednak Jana odwróconego do wszystkich plecami, z dłonią na ramieniu George'a, zrobił zwrot w tył. Annemieke była zadowolona. Powiedziała sobie w duchu: „Guzik go to obchodzi, skończony dureń”.

Stojąc z boku i wpatrując się w jednolitą czerń morza, łądu i nieba, George mówił do Jana:

- Pewnie ze strachu odchodzi od zmysłów, zwłaszcza teraz, kiedy się ściemniło. Co ona wie o ciemnościach, przed dziewiątą zazwyczaj smacznie już śpimy. Będzie zmęczona.

- Ktoś pomoże jej tu wrócić.

- A jeśli ją porwano? Słyszałem, jak te Amerykanki mówiły, że też tak przypuszczają.

- Och, nonsens, jak często się to zdarza?

- Nie wiem.

- Nierzęsto. Te wyspy żyją z turystyki; każdy tutejszy mieszkaniec utrzymuje się właśnie z turystów. Wyspa jest zbyt mała, George.

- Ale przecież nas ostrzeżono. Tamci z grupy mówili już pierwszego wieczoru, żeby nie wychodzić poza hotel. Są tu pewnie nie pierwszy raz.

- Podobnie jak ja, przynajmniej w tym regionie, i wiem, że to bzdura.

- Jan, myślisz, że ona żyje? - spytał, wpatrując się we własne dłonie i wypuszczając powietrze przez nos.

- Tak. Oczywiście.

Poczuł czyjąś rękę na plecach i z miejsca zirytował się, biorąc to za zapowiedź kolejnych deklaracji pomocy ze strony amerykańskich znajomych Annemieke. Obrócił się i ujrzał za sobą Adama z włosami do ramion związanymi w koński ogon.

- Możemy ruszać, kiedy zechcecie - rzekł, pokazując pęk kluczyków.

- Dobrze się spisałeś - pochwalił George.

- Mój gospodarz akurat potrzebował furgonetki, ale ten zwalisty facet, chyba Irlandczyk, pozwolił mi skorzystać ze swojego auta z wypożyczalni. Usłyszał, jak pytam w recepcji o jakiś wolny samochód, którym mógłbym obwieźć was po wyspie, i wręczył mi kluczyki. Twierdzi, że bak jest pełny.

- Żadnych wieści - oznajmił Burns, zbliżając się do baru.

- W takim razie od razu wsiadamy i jedziemy - odparł Jan.

- Znaćcie drogę? Pojechałbym z wami, ale lepiej będzie, jak zostanę na miejscu, by odbierać wszystkie informacje i telefony.

- Oczywiście. Mamy przewodnika - Jan popatrzył na Adama - i samochód.

- Och, świetnie. Zaproponowałbym któryś z naszych wozów służbowych, ale kierowcy skończyli pracę, poza tym nie mamy ubezpieczenia...

- Wreszcie przybywa szef we własnej osobie - przerwał Jason, robiąc krok naprzód. - Panie Burns, chcę mieć pewność, chcę mieć pańskie słowo, że firma podjęła wszelkie możliwe działania, by rozwiązać problem. Jestem osobistym przyjacielem prezesa, pana Cohena, i wiem, że życzyłby sobie, by poruszył pan niebo i ziemię, i znalazł tę starszą panią. Oczywiście wielu osób zwrócone są na pana - dodał.

- Ważnych osób - wtrącił brązowowłosy mężczyzna.
- Dokładam wszelkich starań, sir - rzekł Steve. - Zaginęła kobieta. Na tym fakcie skupia się cała moja uwaga.

Potem przyszło mu do głowy wiele innych, bardziej adekwatnych rzeczy, które mógł zamiast tego powiedzieć i które lepiej zmanifestowałyby jego godność własną. Nie mógł sobie darować, że użył słowa „sir”, pluł sobie z tego powodu w brodę. Można było użyć go wobec Anglika, dla którego jest zrozumiały tkwiący w nim sarkazm, ale Amerykanin z pewnością potraktował je dosłownie. Każdy z nas nosi w sobie specyficzną zarozumiałość, zakłamanie, które pozwala nam wykonywać swoje obowiązki, ale Steve Burns nie był niczym sługusem, ani korporacyjnym li-zusem, tylko panem samego siebie.

## 20

Wioski na wyspie były rozrzucone w odległości około dziesięciu minut jazdy jedna od drugiej. Wszędzie w centrum był dach z blachy falistej i kilka stolików okupowanych przez pijących mężczyzn. W wiosce rybackiej grupa mężczyzn szorowała drewniane kloce używane do patroszenia złowionych ryb, kobiety zaś siedziały, dyndając nogami, na stołach, które wyczyszczono wcześniej, fan patrzył przez otwarte okno samochodu. Kobiety kręciły się między domami i zadaszeniem w centrum. Popijano piwo z butelek, często grano w gry planszowe przy lampach naftowych bądź zwieszanej z belki pojedynczej żarówce. Słysząc było muzykę, śmiech i przekomarzania, głośne oskarżenia oraz riposty rzucone podniesionym głosem. Byli zmuszeni zwalniać, ponieważ mężczyźni w jadących przed nimi samochodach wyciągali dłonie do przechodniów i klepali ich po rękach albo zatrzymywali się bez ostrzeżenia, by zamienić słowo ze znajomym.

Kilku mężczyzn w barze rozpoznało kierowcę jednego z aut na przedzie i dowcipkowało sobie z niego, wyzywając od „pieprzonych kretynów”, a jego odpowiedzi kwitowano głośnym rechotem i pomnożeniem wyzwisk.

Trzej mężczyźni siedzieli i czekali.

Prowadził Adam, George siedział obok, Jan z tyłu. Adam raz po raz zatrzymywał wóz, sadził wielkimi susami w stronę baru, pozdrawiając klientów beztróskim: „Jak leci?”. Choć był dla nich obcy, witali go uśmiechem. Pewnie za sprawą długich włosów, pomyślał Jan. I tatuży. W dzisiejszych czasach człowiek może wędrować po świecie i spotykać się z powszechną sympatią. W młodości przeżył chwilowe zauroczenie kulturą hipisów, a potem poleciało już z górki, wypadało nosić lepsze ubrania niż rodzice. W obecnej dobie okres dojrzewania mógł trwać bez końca. Jednak ubrania synów były z pewnością droższe niż jego. Ewolucyjna troska Armaniego o następne pokolenia. Uśmiechnął się.

Adam przyjmował właśnie zaproszenie na piwo, przekazując językiem ciała podziękowania oraz wyjaśniając presję czasu ciężącą na jego zadaniu. Janowi wydało się, że koszula z przypinanym na guziki kołnierzykiem owija mu szyję jak całun. Wsunął dwa palce za kołnierzyk i odciągnął materiał od skóry.

Adam usiadł na stołku barowym w szerokim rozkroku, wyjaśniając bywalcom knajpy, gdzie pracuje i co robi; kiedy zdobył już ich przychyłność, częstując się ich papierosem, przedstawił sytuację. Grupka mężczyzn z baru wyciągnęła szyje i popatrzyła w stronę samochodu. George i Jan siedzieli w środku i obserwowali. Jan poczuł brzemień swojej smutnej i poważnej twarzy.

- Żałuję tego, co powiedziałem wcześniej, o ile sobie przypominasz - rzeki George. Ponieważ siedział na przednim siedzeniu, w dodatku po ciemku, Jan nie mógł

dostrzec jego twarzy, jedynie błysk okularów we wstecznym lusterku.

- O czym? Och, o innych kobietach?

- Tak. Mam wyrzuty sumienia. Ja tu gadu-gadu, a w międzyczasie zaginęła Dorothy.

- George... - powiedział tonem łagodnej i niosącej pocieszenie reprimendy, nie mając na jej poparcie żadnych istotnych argumentów.

- Człowiek się gubi. Błądzi, póki coś nie zmusi go do uporządkowania swojego życia, usatkwienia się.

- T a k .

- Póki nie wydarzy się coś, co pozwoli przejrzeć na oczy.

- To prawda.

- Pewnie sobie pomyślałeś, co za cholerny stary du-reń! Założę się, że ty widzisz wszystko jasno. Masz umysł zaprzątnięty chorobą, i tak dalej. Ja w moim wieku też powinienem mieć jasność. Prawda? Modłę się, żeby ceną za rozjaśnienie w głowie nie była utrata Dorothy. Bo wtedy nie miałbym już z tego żadnego pożytku.

Jan milczał. Siedzieli przez chwilę w ciszy i ciepłe nocy. Odrobinę zmęczony Jan poczuł, że zaczyna się odprężyć i niemal zapomniał o celu ich eskapady, póki Adam nie wskoczył za kierownicę, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

- Nici - powiedział. - Jedziemy dalej. Zostawiłem im numer do hotelu. Będą mieli oczy i uszy otwarte. Wyglądali na przyzwoitych gości. Myślę, że rozpytają się w okolicy.

Włączył silnik.

## 21

Minęła północ, gdy dotarli do stolicy wyspy, miasta liczącego może dwieście tysięcy mieszkańców, z niewiel-

kim centrum, w którym wznosiło się zaledwie osiem czy dziewięć budynków powyżej dziesięciu pięter. Miasto ciągnęło się wzdłuż morskiej odnogi na odcinku kilku mil, a potem się rozłaziło. Życie było skupione wokół centrum handlowego - tam rozlokowały się sklepy wolnocłowe i czynne całą dobę salony gier. Również tam znajdowało się centrum historyczne: niezbyt okazały gmach parlamentu z początku XVIII wieku z przyległym kościołem. W ciasnych, mrocznych salkach w pobliżu salonów gier mieściły się główne bary stolicy, Adam zaproponował przechadzkę dwoma czy trzema bocznymi uliczkami. Ostatni wałęsający się po mieście turyści zmierzali już, z lekka rozczarowani, ku hotelom lub statkom wycieczkowym, mieszkańcy zaś sadowili się odpocząć, obsłużony z obojętną miną przybyszów, zaserwowawszy im jadło i napoje.

Jan zaproponował, że przejdą się z George'em jedną z uliczek.

- Zostań tu z nim - powiedział Adam. - Sam migiem oblecę okolicę.

George siedział nieruchomo, z wyciągniętą przed siebie lewą ręką, utkwivszy wzrok w ślubnej obrączce, na którą padało światło ulicznej latarni.

- Za mojej młodości nikt nie nosił obrączek, w każdym razie - nigdy mężczyźni. Nie myślałem, że się z tego wyłamię, ale Dorothy kupiła mi ją w prezencie z okazji którejś tam rocznicy ślubu, po wielu latach małżeństwa, i od tamtej pory jej nie zdejmuję. Trzydzieści z górą lat, kto by pomyślał.

Zwiesił ramiona. Wydawało się, że nie może oderwać wzroku od swej dłoni.

- Wrócę w te pędy - zapowiedział Adam, wsadzając głowę przez okno, dwukrotnie klepnął w dach samochodu i odwrócił się na pięcie.

- Nie ma sprawy - odparł Jan.

- Miała bardzo suche dłonie, znaczy - moja żona. Używa kremu do rąk. Jest fioletowy i perfumowany, rozsmarowuje go zawsze, nie ściągając obrączki, robi tak od lat, złoto od tego zmatowiało. Widzę, jak wykręca ręce, by w pełni wykorzystać dobroczynne działanie kremu. Jakby dbała o dobre zakonserwowanie swych narzędzi, bo nie robi tego w żadnym innym celu. Nie jest próżna. Jeśli zostaje trochę emulsji, rozprowadza ją aż do łokci. - Zaśmiał się. - Zawiera w swym składzie jakiś tłuszcz zwierzęcy czy coś w tym rodzaju. Nie można nazwać jej filigranową. Kiedy ją poznałem, była cycata, miała zgrabną figurę. Teraz co nieco zramolała, podpira ciało tym i owym. Przekłęte gorsety! Ma już swoje lata. Ale potrafi zwinnie się poruszać. Żwawo idzie do furki przywitać listonosza. Kiedy dzwoni telefon, potrafi przemierzyć cały ogródek niemal półbiegiem. Prawdę mówiąc, prowadzimy z sobą małą rywalizację, człowiek wdaje się w takie zabawy, jak spędził z kimś niemal całe życie, prawda? Zawsze staram się ją wyprzedzić. Jeśli mi się uda, patrzy na mnie krzywym okiem, słowo daję.

Zamilkł na chwilę, śledząc grupę nastoletnich chłopców kopiących puszkę pod latarnią na małym skwerku przed gmachem parlamentu. Podniosła się wrzawa, gdy jeden z chłopców, ściskając puszkę między kostkami, skoczył w bok, podrzucił ją w powietrzu, po czym kopnął w stronę kubła na śmieci, który ustawili pośrodku.

- Nie miała łatwego życia. Zawsze, przez wszystkie wspólne lata pracowaliśmy do późna, oboje.

Jan pomacał własną obrączkę; jak na przedmiot wykonany z metalu, była dość miękka w dotyku, wytarta przez upływ czasu.

- Cudownie gotuje.

- T a k ?

- T a k .

Chłopcy przybijali teraz piątki, zbierali nylonowe bluzy od dresów, podkoszulki i rozchodzili się w różne strony. Po namyśle jeden z nich w podskokach wrócił na skwer i odstawił kosz z powrotem pod latarnię, kładąc ostrożnie puszkę na stercie odpadków.

- Tak. Solidna angielska kuchnia.

- Czy coś takiego w ogóle istnieje?

- A jakże. Mięso duszone z cynaderkami? Zapiekanka z mięsa i ziemniaków? Potrawka z mielonego mięsa z ziemniakami? *Lasagne*?

- *Lasagne* jest włoska.

- Wcale nie.

- Ależ tak.

- Nie i już. - George był w tej kwestii niewzruszony. Znowu zapadła cisza.

- Nigdy nie jadłem we Włoszech *lasagne* - powiedział wreszcie George. - Jedna Dorothy potrafi tak ją przyrzędzić. Dobry z niej człowiek, Janie.

Jan nie odpowiedział.

- Wiesz, co mam na myśli?

- Prawdę mówiąc, George, cierpię chyba na pewną ułomność, bo nieczęsto dostrzegam w ludziach dobro. Może dlatego, że wydaje mi się, że wszyscy są podobni do mnie. - Jan zaśmiał się gorzko.

George odwrócił się na fotelu, choć kosztowało go to niemało wysiłku, plecy zeszywniały mu bowiem od siedzenia w jednej pozycji, i spojrzał Janowi prosto w oczy.

- Co za stek bzdur, człowieku. A któż inny jak nie ty siedzi na tylnym siedzeniu wynajętego auta i słucha, jak jakiś stary dziad, jakiś głupi męczycyduś, plecie, co mu ślina na język przyniesie, w dodatku w samym środku nocy?



Gdy George podniósł w półmroku głowę, Jan dostrzegł obwisłą skórę pod oczami, policzkami i brodą staroego. Zamrugał powiekami i przełknął ślinę.

- Odzyskasz tę swoją Dorothy.

- T a k , ale czy na pewno? Widzisz... widzisz... - fan usłyszał zgrzytanie zębów.

- O co chodzi?

- fest coś jeszcze, z czym się nie zdradziłem. Pod pewnym względem nie odzyskam jej już nigdy. Odeszła na dobre. Posłuchaj. Moja żona... z jej głową jest trochę nie w porządku, przynajmniej od czasu do czasu. Staje się nieobecna i powraca. Dziwnie się zachowuje. Zawsze była trochę skryta, nie zwracałem więc na to większej uwagi. Wiecznie coś chowała, gdy wchodziłem do pokoju. Ze wszystkiego robi tajemnicę.

- Cóż, ja też taki jestem. A ty nie? Gdy przybywa nam lat...

- Któregoś dnia zobaczyłem, jak wpycha coś pod poduchę sofy, mówię więc sobie, co ona u licha ma przede mną do ukrycia, wywabię ją z pokoju i sprawdzę. No i mówię do niej, że przy furtce czeka pani H. z naszej ulicy, ona wyskakuje z pokoju, a podczas jej nieobecności ja zaglądam pod poduchę i, niech mnie diabli, widzę cholerną paczkę chipsów. Po co je schowała?

- Może bała się, że je zjesz.

- Nie. Nie lubię chipsów, włożą mi w dziąsła. Od lat była zapominalska, droczyliśmy się z tego powodu, sytuacja pogarszała się coraz bardziej, zaczęły mieszać się jej słowa, czasem zapomina jakiegoś wyrazu i wpada z tego powodu w zabawny popłoch. Nie może sobie przypomnieć najprostszych rzeczy i strasznie się na nas złości, kiedy próbujemy przyjść jej w sukurs. Zaczyna wrzeszczeć, wykrzykuje nieprzyjemne rzeczy, czasem okropne, wywleka jakieś zadawnione historie z zamierzchłej przeszłości i ob-

raca je... No, w każdym razie rozmawiałem o tym z lekarzem przy okazji własnych badań, a on kazał mi ją przyprowadzić. Powiedziałem, że odmówi, zasugerował wtedy, żebym namówił ją na wizytę ogólną, bo trzeba zaktualizować kartę pacjenta. Oczywiście - nie poszła. Lekarz dzwoni do mnie kilka tygodni później, porządny z niego chłop, pyta, co u niej, a ja odpowiadam, że zabawne, że dzwoni akurat dzisiaj, bo mieliśmy okropny dzień. Wybrała się na zakupy, jak zwykle w czwartki, a przepadła na kilka godzin. Starszy gość, który prowadzi pocztę, zobaczył ją, jak siedzi na ławce, a ona mu powiedziała, że czuje się strasznie skrępowana, bo zapomniała drogi do domu. Pokonywała tę trasę przez piętnaście lat. „George”, mówi lekarz, „powiem ci bez ogródek, to mi wygląda na alzheimera”. No i przesłał mi kilka broszur, które przeczytałem i przekazałem jej. Odłożyła je na bok, Bóg jeden wie, gdzie, proszę ją o nie, bo chcę pokazać córkom, ale ona zapomniała, gdzie są. Jasny gwint. Ciągłe powtarza: po prostu się starzeję. Pozwól mi się zestarzeć w spokoju, dobrze? No i tak zrobiłem. A teraz to.

- George, tak mi przykro.

- Nie chciałem spojrzeć prawdzie w oczy, Janie, ponieważ wtedy trzeba by podjąć jakieś działania. Już nigdy nie będzie tak, jak dawniej.

- Tak - rzekł Jan - rozumiem.

Do samochodu wrócił Adam i wsadził głowę przez otwarte okno.

- Facet w ostatnim barze, do jakiego zaszedłem, twierdzi, że jego kuzynka spotkała podobno jakąś miłą starszą panią, Angielkę, która wydawała się odrobinę zagubiona. Podał mi adres tej kuzynki. Powiedział, że policja też o tym wie, jego brat jest policjantem, mówił mu to samo.

Popatrzyli po sobie. Adam miał duże oczy i szczerze spojrzenie, stał ze schyloną głową, widzieli więc nawzajem

swoje twarze; światło latarni tworzyło aureolę wokół skołtunionych jasnych włosów, które wysmyknęły się spod gumki podczas jazdy. Zwrócił się ku nim z zatroskanym uśmiechem. Jan odniósł wrażenie, że w mniemaniu Adama istoty ludzkie są w najwyższym stopniu nieszkodliwe, można zatem pozwolić sobie na powszechną serdeczność. Jan był jego przeciwieństwem, co właśnie sobie uświadomił, odpychał ludzi w takim samym stopniu, w jakim ten młody człowiek sobie ich zjednywał, wszędzie był obcy, podczas gdy Adam czuł się jak we własnym domu, gdziekolwiek się pojawił, w jakimkolwiek kraju.

- Poprosił, żebyśmy podskoczyli do domu tej kobiety raczej z rana, nie teraz, bo ma czworo małych dzieci — wyjaśnił Adam.

- Czy Dorothy jest z nią?

- Na to wygląda. Nie orientował się zbyt dobrze, wiedział tylko, że kuzynka, ma na imię Charlotte, prosiła brata o powiadomienie policji, ale tak się złożyło, że policja go ubiegła. Kazali przekazać, że zajrzą tam z rana. Tu mam adres. - Podał George'owi karteczkę.

- Gdzie to jest?

- Około pięć mil od hotelu, w głąb wyspy. To nawet nie jest wioska, tylko skupisko kilku domów. Można powiedzieć: osada.

- Musiała się oddalić - powiedział George. - Do cholery, zrobiła to. Poszła w siną dal.

- Uszy do góry - rzeki Adam - już wkrótce znowu będzie z tobą. Powinniśmy wracać teraz do hotelu, a o świcie podskoczyć do Charlotte. Jak uważasz, Janie? - zapytał, opierając prawą rękę za fotelem George'a podczas cofania auta.

- Tak, tak - odparł Jan - dobry pomysł. Jak się rozwidni, z samego rana.

Zakręcił szybę i wyglądał przez okno, gdy mijali wioski i miasta, ledwo oświetlone o tak późnej porze.

W pamięci przewijała mu się pewna scena. Stoi w piżamie na progu sypialni, przytrzymuje uchylone drzwi i ryczy na całe gardło, żeby przekrzyczeć heavymetalową muzykę. Musiało to mieć miejsce ponad cztery lata temu, zanim zaczął jeździć w samotne podróże.

- Ścisz muzykę - wrzeszczał raz po raz, póki muzyka nie umilkła całkowicie, jak gdyby za naciśnięciem wyłącznika, a młodszy syn nie wynurzył się z salonu.

- O co ci chodzi?

- Usiłuję zasnąć.

- Jest czwarta po południu.

- Powiedziałem: staram się zasnąć. Ja tu umieram! - krzyknął.

Annemieke cmoknęła z niesmakiem, przechodząc obok, on tymczasem sięgnął do półek z książkami, chwycił pierwszą z brzegu i cisnął nią w ślad za żoną. Wypadła zakładka, polaroidowe zdjęcie zrobione w latach siedemdziesiątych na wakacjach w Hiszpanii. Odłożył je, ujrawszy, co przedstawia.

Na fotografii Annemieke w bikini leżała na hotelowym łóżku, a na całym jej ciele parkowały autka i traktory chłopców. Jan stanął w drzwiach, zauważył synów jeżdżących po niej małymi plastikowymi samochodzikami w górę i w dół, i powiedział: „Czekajcie, ja też chcę się pobawić”, najpierw jednak zanurzył traktor w napoju z lodem i przejechał nim po jej brzuchu, potem zamoczył go raz jeszcze i poprowadził w górę po wewnętrznej stronie uda. Wymienili głębokie, pełne determinacji spojrzenie, on uniósł brwi i błyskawicznie przeniósł wzrok na swe krocze. Annemieke zakryła usta dłonią, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. „Nie mogą

wyść i pobawić się na ulicy?", jęknął i zwałił się na łóżko, szepcząc jej do ucha: „Zdążę się zestarzeć, nim wreszcie będę mógł wziąć cię po południu”.

## 22

Miała zwyczaj wypijać co rano filiżankę wyśmienitej kawy, czasem z cukrem, tego jednak ranka wypła aż trzy. Jan zadzwonił przed siódmą i poinformował, że para starszków znowu jest razem i że wszyscy są w drodze do domu. Nim wybiła ósma, od mówienia zdążyło zaschnąć jej w gardle. Missy oraz brązowowłosa Amerykanka, Beverly, siedziały po obu jej stronach. Ich mężowie stali przy drzwiach zewnętrznych i rozmawiali przez telefony komórkowe. Angielskie małżeństwo, Harry i Maxine, poszło zagrać w tenisa.

- Cholerna głupota - stwierdził Harry przed udaniem się na kort - i pomyśleć, że można było całej tej historii z łatwością zapobiec.

- Ale mogło też być niebezpiecznie - dodała Maxine, Harry kiwnął głową, a oczy rozbłysły mu na widok bufetu śniadaniowego. - Skarbie, jeśli idziesz na górę, weź jeszcze jedną babeczkę z jagodami.

- Alzheimer - mówiła Missy - to dla rodziny straszna udręka. Choć to trudna decyzja, trzeba umieścić chorego w domu spokojnej starości, w przeciwnym razie po prostu zawładnie całym naszym światem, prawdziwy dramat.

- Rzeczywiście, dramat - przyznała Beverly - tego właśnie panicznie się boję, że postradam zmysły.

- Całą resztę można naprawić, ale nie rozum - dodała Missy z uśmiechem.

- No i tak mają się sprawy - zakończyła Annemieke, gestem rąk sygnalizując finał opowieści.

- Cóż, brawa dla twojego męża i tego młodego człowieka za jej odnalezienie — zaczęła Beverly.

- Pewnie - podchwyciła Missy, wypiuwszy łyk kawy bezkofeinowej, którą właśnie jej podano. - Nie służy mi nadmierne pobudzenie - wyjaśniła, mieląc w ustach ostatnie słowo, jak gdyby było jakimś wyjątkowo niebezpiecznym eufemizmem.

- Jestem dumna z męża - orzekła Annemieke, składając serwetkę - z mojego Jana. Ma poważne kłopoty ze zdrowiem. Był bardzo dzielny. Dla niego zarywanie nocy to ogromne poświęcenie, w jego chorobie tak trudno o sen. Mam nadzieję, że George to docenia.

- Cierpi na bezsenność? Strasznie ciężko się z tym żyje - stwierdziła Missy.

Annemieke przywoździła ją spojrzeniem.

- Umiera na raka. Zostało mu zaledwie kilka tygodni życia, tak mówią lekarze.

- O Boże.

- O Boże.

Annemieke wstała i uśmiechnęła się krzywo, półgębkiem. Przeniosła spojrzenie na ogrody za oknami i głęboko zaczerpnęła powietrza.

- To nasze ostatnie wakacje - podsumowała.

## 23

Charlotte okazała się bardzo wysoką kobietą o wysmukłych kończynach, pewną siebie. Nosiła włosy odgarnięte z twarzy. Zaśmiała się w odpowiedzi na coś, co powiedział Adam, szła przed nimi zamaszystym krokiem, wprowadziła ich za furtkę z metalowej siatki, odganiając dzieci i wachlując się ręką dla ochłody. Od wczesnego ranka panowała piekota; jej dom stał na szczycie wznie-

sienia, na pozbawionej trawy działce, naprzeciw pól trzciny cukrowej.

- Dorothy - zawołała po wejściu do domu, jakby zwracała się do dziecka, które po zabawie zostało na nocleg, i informowała je o przybyciu rodziców.

Dorothy trzymała kubek z herbatą, na jej twarzy błędził uśmiech, gdy stanęła na zalanym światłem słonecznym ganku. George objął ją ramieniem i przytulił, razem z kubkiem.

- Nie wsiadaj na mnie, George - powiedziała głosem stłumionym przez bliskość jego ciała, tak że nikt inny jej nie słyszał. - Choć raz nic nie mów, proszę. Ten jeden jedyny raz.

- Dobrze, dobrze - powtarzał - już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Wystraszyłaś mnie, wystraszyłaś śmiertelnie. Bałem się, że mogę cię już nigdy więcej nie zobaczyć.

- Tak dobrze to nie ma - odparła Dorothy, odsuwając się od niego i odstawiając kubek z herbatą. Ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała go w usta.

- Nie chcę cię stracić, mimo że piekielne z tobą utrapienie.

Pozostali odwrócili wzrok.

Charlotte wzięła kubek z herbatą i gestykując, zapytała obu mężczyzn:

- Napijcie się?

Pokręcili głowami. Stali na porośniętym niskimi krzewami podwórzu, mała dziewczynka wyciągała w stronę Jana rękę z wymamlaną przez psa żółtą piłką, którą w końcu odważył się wziąć. Ociekała. Długouchy kundel łypał na Jana okiem, nieznacznie merdając przy tym ogonem, z pyska ciekła mu ślina. Zza drzwi frontowych wyłonili się dwaj chłopcy, ciekawi, co Jan robi z piłką.

- Zdaje się, że chce, żebyś zagrał - powiedział Adam, usiłując powstrzymać śmiech.

- Jasne, jasne - odparł Jan, przytrzymując piłkę między koniuszkiem palca wskazującego i kciukiem.

## 24

- Musimy skończyć z tymi spotkaniami - wysapał Bill Moloney, zanurzając się w *jacuzzi*, krzywiąc się i klnąc na wysoką temperaturę wody.

Spodziewała się go, mogła również oczekiwać, że powie coś w tym rodzaju. Annemieke oddzieliła jedną wilgotną kartkę czasopisma od drugiej i natknęła się na wizerunek kobiety niby to pogrążonej we śnie na leżaku, ubranej w długi, gabardynowy płaszcz i sznurowane botki. Czas pomyśleć o sezonie jesiennym. Tej jesieni postąpi tak, jak podpowiadają magazyny, zacznij od rzeczy niezbędnych - których było wiele.

- Ciekawe pismo?

Kiwnęła głową.

- A więc znaleźli starszą panią?

Kiwnęła ponownie i nie odezwała się słowem. Niech się męczy.

- Dooooobrze - skwitował, rozciągając głoski i z powrotem wystawił twarz do słońca. Miał na sobie okulary narciarskie z lustrzanymi szklami w czarnej gumowej oprawie, które przyklejały do głowy pokiereszowane w rozgrywkach rugby uszy. - Prawdę mówiąc, słyszałem już nowinę. Ten facio, menedżer, powiedział mi dziś rano przy śniadaniu. Bogu dzięki, co?

- Podziękowania należą się mojemu mężowi i temu młodemu człowiekowi. Szukali jej przez całą noc. Podczas gdy pozostali obecni tu mężczyźni smacznie spali.



- Ty też się nie wyspałaś? - spytał, pochylając się do przodu.

Widziała swe pomniejszone odbicie w szklach jego okularów.

- Nie - odparła - w zasadzie nie.

- Przykro mi to słyszeć. No i skoro twój mąż jest tak chory, trudno się dziwić, że jesteś rozdrażniona. Przypuszczam jednak, że chciał pojechać.

- Tak, oczywiście.

- Rozmyślałem nad tym, co mówiłaś mi któregoś dnia i chciałem powiedzieć, jak bardzo ci współczuję. Wiem, że uważasz mnie za wielkiego, tłustego ciula...

- Co to znaczy?

- Dureń, palant, imbecyl...

- Tak, tak, rozumiem, zmylił mnie twój akcent, trudno się połapać.

- Pochodzę z Irlandii. Z północy. Ale przez długie lata mieszkałem w Południowej Afryce, wyszedł więc z tego groch z kapustą. Kompletny miszmasz. Co to ja mówiłem?

- Że jesteś wielkim tłustym kretynem.

Parsknął donośnym śmiechem, wręcz zaniósł się od niego. Annemieke rozchmurzyła się.

- No wiesz? Przestań - zaprotestował - niczego podobnego nie mówiłem. Powiedziałem, że to ty uważasz mnie za kogoś takiego. Słuchaj, mam ci to i owo do powiedzenia. To są rzeczy istotne. Muszę o nich powiedzieć. - Z trudem ściągnął okulary, spod których wychyłała biała skóra pokryta maleńkimi kropelkami potu. Miał jasnyniebieskie oczy, duże, obramowane króciutkimi jasnymi rzęsami, bezradnie mrugał powiekami. Odłożył okulary za siebie i odwrócił się do Annemieke, złożwszy razem dłonie w błagalnym, modlitewnym geście, dotykając koniuszkami palców nosa.

Annemieke zauważyła, jak na drugim planie Beverly wychyla się na leżaku.

- Posłuchaj mnie - zaczął - jak przyjaciel przyjaciele. Jak siostra brata. Wiem, jak to jest. Byłem taki jak ty. Jestem taki. Kiedy człowiek staje przyparty do muru własnego ja, tego ja, którego nie lubi, i kiedy nie stać go na zmianę siebie, tudzież kiedy nie potrafi wymienić się na doskonalszy model, szuka ratunku w zmianie swojego partnera. Nie raz, wiele razy. To jest cudzołóstwo, ślepy zaulek. Wiem, ponieważ sam mam je na sumieniu. Chciałbym zapytać, co poczniesz, kiedy po jego śmierci będziesz musiała zmierzyć się z faktem, że nie chodziło o niego, bo tak naprawdę nie lubisz samej siebie?

Annemieke milczała, lecz jej pierś uniosła się w ciężkim westchnieniu, gdy usiłowała zapanować nad irytacją.

- Słuchaj, ta psychologiczna amatorszczyzna...

- Pozwól mi mówić dalej - poprosił.

- Jakie to typowe dla mężczyzny, nie dostrzegać oczywistej alternatywy! Że kobieta może mieć taki sam stosunek do seksu jak mężczyzna.

- Słuchaj, jeśli mowa o figlach w wyrku, to nie jestem raczej twoim wymarzonego typem. Powiedz, co cię w mnie pociągało: oponka tłuszczu wokół brzucha, włochate plecy czy potrójny podbródek?

Annemieke utkwiała w nim spojrzenie.

- Nie szukam pomocy.

- Szukasz. Jesteś mężatką, a mimo to miałaś intymną przygodę z kimś zupełnie nieznanym. To krzyk rozpaczy: „Ratunku! Jestem tutaj!”.

- Jest pan szalenie staroświecki, panie Moloney. Niemal z pana romantyk.

- Nie, to ty jesteś romantyczna! - odparł, podnosząc głos, a następnie ścisząc, gdy Annemieke przyłożyła

ostrzegawczo palec do ust. Beverly siedziała na skraju basenu odwrócona do nich plecami, ale w zasięgu ich głosu.

- Oto, kim jestem - rzekł ochrypłym szeptem, pedantycznie cedząc słowa, a Annemieke przypomniała sobie, że zna ten akcent z filmu o terrorystach, który kiedyś oglądała - wychodzącym z nałogu alkoholikiem z własnym zbiorem zasad zachowywania trzeźwości, który nawrócił się, ponieważ umarła mu żona. To jest realizm. Romantyk to ten, kto wierzy, że może go wyzwolić drugi człowiek. Ja w to nie wierzę, bo wiem, że to niemożliwe. Nie mogła mi pomóc. Wiedziała o tym ona, wiedziałem ja. Nie ma na tym świecie żadnej ludzkiej istoty, która mogłaby nas uratować. Ale tobie wydaje się inaczej, dlatego to zrobiłaś.

Pokręciła przecząco głową.

- Skoro tak, dlaczego się nie masturbować?

- Bez osobistych przytyków.

- Wybacz - powiedział już innym tonem, głosem opanowanym, opierając się wygodniej w *jacuzzi* - lecz to nie wina twojego mężczyzny, że nie był w stanie odmienić twojego życia, siebie samej. Powinnaś o tym wiedzieć. Zważywszy na fakt, że on umiera. Przez wzgląd na niego i przez wzgląd na własne dobro. Może będziecie chcieli sobie wybaczyć.

- Raz już powiedziałeś: nie tobie prawić kazania.

- To prawda - roześmiał się - jestem oportunistą, poszukującym zgiełku zabawy, wyluskanym z tłumu przez światło boskich reflektorów. Zwyczajnie się pogubiłem, taka jest prawda.

Uśmiechnęła się słabo, prostując plecy, by pociągnąć przez słomkę łyk wody sodowej z limetą.

- Potrafisz dobierać słowa.

Po chwili zebrał szklanki z brzegu *jacuzzi*, podciągnął się, wyszedł i wskoczył do basenu pływackiego, uderza-

jąc brzuchem o taflę wody, rozbryzgując krople na gazety grupki Amerykanów i prowokując Harry'ego do okrzyku: „Ostrożnie!”.

Patrzyła, jak z determinacją i werwą pokonuje kilka długości basenu, prychając jak zwierzę przy każdym nawrocie.

## 25

By nie narażać Dorothy na kontakt z całym towarzystwem, George zaproponował, że zejdzie do baru i przyniesie pizzę do pokoju.

Zostawił Dorothy na balkonie zupełnie samą, zatopioną w lekturze. Czytała książkę dla kobiet. Romans historyczny, tak to się chyba nazywało, jakieś banialuki; naciągane emocje i niepotrzebne zmartwienia. Z nudów wziął kiedyś do ręki którąś z jej książek, Dorothy przytaknęła jego wyborowi, informując: „historyczna”, lecz ich poglądy na to, czym jest historia, zasadniczo się różniły. „Widzisz”, mówił, „historia to konkrety, coś się dzieje, pociąga za sobą inne wydarzenie, ważne postaci, ktoś popełnia błąd i usiłuje go zatuszować, kto inny błędnie interpretuje jego poczynania i dochodzi do incydentu, na przykład do wojny. Potem gdzieś jakiś kraj otrzymuje po raz kolejny nową nazwę, choć miał ich już kilka. To jest historia. A nie, że jakaś dzierlatka zalicza wpadkę z młodym paniczem”.

Dorothy przekonywała, że mimo wszystko jest to rodzaj historii - nazywała ją „historią społeczną”, która dotyczy zwyczajnych ludzi. „Kogo obchodzą zwykli ludzie?”, mawiał, „mamy dość zgryzot i bez przejmowania się losem zwykłych ludzi, jakichś typków, których wcale nie znamy i którzy w ogóle się nie liczą”. Pomysł podsunęła jej wnuczka. Starał się sprowadzić ją na właściwe

tory, ale reagowała dziwnie. Wciąż powtarzała, że tak czy owak jej takie książki się podobają.

Kiedy była całkowicie pewna, że wyszedł, rozluźniła się, położyła książkę na kolanach i przymknęła oczy. Pod powiekami ujrzała dwie kałuże żółci, dwa rozlane żółtka.

„Siej spustoszenie, słoneczna tarczo, niewiele już ze mnie zostało”, rzekła Dorothy. Podciągnęła spódnicę za kolana, uśmiechając się prosto w pałace promienie.

Książka była obłożona plastikową folią, pochodziła z wypożyczalni, nagrzała się od słońca. Dorothy powąchała ją i pomyślała sobie o niezliczonych wałówkach na piknik, które przez długie lata przygotowywała dla George'a, dzieci i wnuków, o tamtych szczęśliwych czasach. Lubiła smak sera i pomidorów zawiniętych w folię spożywczą i pozostawionych na słońcu, ten smak ożywia wspomnienia, no a zapach jajka ugotowanego na twardo dzień wcześniej, wprost niebiański! Wystarczył ślad tego jajecznego aromatu, a oczyma wyobraźni widziała George'a biegającego tam i z powrotem z dziewczynkami - łowili ryby, puszczała latawce, on nosił je na barana. Był w swoim żywiole, człowiek czynu.

Lepiej układałoby się jej w życiu z myślicielem, no ale cóż, każdy jest kowalem swego losu. Kiedy oświadczyła mamie, że ma zamiar poślubić George'a, usłyszała: „Powie ci, co powtarzała mi moja mama - jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”. Wtedy nie miało to żadnego sensu, a potem było już za późno. Za miodu nie słucha się nikogo. Na starość we wszystkim, co jej mówiono, dostrzegała jakąś rację. „Z wiekiem człowiek staje się dużo bardziej otwarty”, pomyślała. Tyle że jej otwarty umysł przypominał raczej sito, wkrótce dziury wezmą górę nad metalową siatką. Nie umiała zatrzymać się dłu-

żej nad jedną myślą, umykały jej nawet istotne sprawy. Wspomnienia czy statystyki, daty, liczby, co było ważniejsze? To, że matka uderzyła ją warzachwią, kiedy przypaliła owsiankę na śniadanie, czy że mieszkali przy 42 Seaview Avenue w Bexhill-on-Sea, TN40 6BI? A numer telefonu? Czy był cenniejszy niż wspomnienie twarzy George'a siedzącego z tyłu autokaru w spodniach utyłanych krowim łajnem, gdy wracali z całodziennej wycieczki na wieś w dniu, kiedy doszło do ich pierwszego pocałunku? Co było jej bardziej potrzebne?

Dorothy wzruszyła ramionami i przyciągnęła książkę do piersi.

George był o nią wiecznie zazdrosny w zabawny, pedantyczny sposób. Nie było w tym romantyzmu. Starał się zniechęcić ją do czytania. Nie mógł tego znieść. Naprzykrzał się, wisiał jej nad głową, nie dawał spokoju. Zawsze potrafił podać powód, dlaczego coś, co ona robi, jest głupie. Odwodził ją od wszelkich zamiarów. W ich wspólnym domu poukrywała tak wiele rzeczy, że już sama nie potrafiła ich znaleźć. Dojdą do wniosku, że była dziecinniałą starą wariatką, gdy przyjdą uprzątnąć po niej rzeczy. Książki, listy, czekoladowe batony, rozmaite drobiazgi. Pragnęła zostać sama, by nikt jej nie przeszkadzał.

- Jestem w pełni gotowa - powiedziała na głos.

Prawda była taka, że on nie cierpiał, kiedy przebywała gdzie indziej, skoro mogła być obok i słuchać, co ma do powiedzenia. Kiedyś wkurzał się, kiedy wychodziła do miasta albo siedziała z nosem w książce, teraz zaś oboje nie mieli pojęcia, dokąd znika od czasu do czasu. Tylko On jeden, tam w górze, wiedział, dokąd zmierzała krok po kroku. Kawalek po kawalku.

Spojrzała na swój stary zegarek marki Timex. Piętnaście po dwunastej. George zaraz wróci.

- Nie wychodź - przestrzegł ją przed wyjściem i, bałwan jeden, położył jej buty wysoko na szafce łazienkowej, tam, gdzie nie mogła dosięgnąć.

## 26

Każdy dzień w hotelu był przyjemny, zgodny z urlopowymi wymogami, po części za sprawą Boga, po części, dzięki ludzkiej krzątaninie. Słońce świeciło, wiała lekka bryza, kwitły kwiaty, basen był czysty. Śniadanie przyrządzone, nakrycia stołowe naszykowane, pościel zmieniona, podłogi wyszorowane, sztuńce wypolerowane, resztki kolacji starte z kafli, plamy po lepkich drinkach wytarte z barowego blatu, kubły opróżnione, śmieci wyniesione i wyspane do ukrytych, cuchnących kontenerów, przy których muchy wariowały z podniecenia, to wszystko działo się jednak przed głównym aktem bądź za kulisami. Blisko setka mężczyzn i kobiet ściągała w jedno miejsce, by cały obiekt funkcjonował nienagannie dla około czterdziestu osób, które okupowały ten raj przez tydzień lub dwa, i powtarzała rytuał każdego tygodnia, nawet poza sezonem, kiedy na miejscu bywało o połowę mniej gości. Od Burnsa wymagano świadczenia usług niezbędnych do zachowania równowagi.

„Podstawą dobrej obsługi jest to, że w ogóle jej nie widać. Taką wyznają teorię” - oznajmił Steve Burns na jednym z pierwszych cotygodniowych spotkań załogi. Nie była to jego osobista teoria, w sensie praw autorskich, lecz pogląd, który wyznawał z jakimś przekonaniem. Interpretował ją na swój własny, indywidualny sposób. Świadczyły o tym okulary w przesadnie grubej oprawce. Za każdym razem, gdy je wkładał, wiedział, kim jest. Wyglądał jak naukowiec z lat sześćdziesiątych. Ten styl był dość popularny wśród muzyków, studentów, w tego rodzaju środowiskach.

Tutejszy personel obsługiwał gości z dość pogrzebowymi minami.

„Tego nie sposób nauczyć”, myślał sobie w duchu; tego dowcipnego, ironizującego, pełnego niedopowiedzeń stylu bycia personelu *crème de la crème* w restauracjach i hotelach na całym świecie. To specyfika Europy. Powrót do Europy lat trzydziestych - uniesione brwi, oschły śmiech, sugestia, że wyniosłość nie jest zarezerwowana wyłącznie dla tych, którzy korzystają z płatnych usług.

Obserwował Benjamina, jednego z barmanów, pochylającego się, by podać holenderskiej damie drinka do *jacuzzi*. Wyglądał jak dziesięć nieszczęść.

- Nawiąż choć minimalny kontakt - poinstruował, gdy Benjamin wrócił do baru z pustą tacą. - Popatrz, jak ja to robię.

Grupka Amerykanów już wałęsała się w okolicach baru, choć dochodziło dopiero wpół do dwunastej, rozglądając się za „niskokalorycznymi” napojami, które dozowali sobie od świtu do zmierzchu. Dietetyczne to, dietetyczne tamto. Ciekawe, czy mają pojęcie, jakie spustoszenie sięją w ich organizmach zawarte tam związki chemiczne? Wydawali się niespokojni, przepychali się delikatnie, dzieląc się informacjami na temat odnalezienia starszej pani.

- Lepiej by panu zrobił porządny drink - rzekł Steve, szczerząc zęby do wysokiego blondyna, który chwalił się wcześniej znajomością z prezesem sieci. - Podam piwo albo kieliszek dobrego wina. Na koszt firmy.

- Nie, dziękuję - odparł szorstkim tonem Jason, poprawiając pasek spodenek kąpielowych i krzyżując ramiona. - A więc problem się rozwiązał.

- Słucham? Trzy dietetyczne cole. Ma pan na myśli starszą panią? Naszą zagubioną owieczkę? Tak, tak, są już w drodze.

- Z pewnością panu ulżyło.



- A jakże. Z lodem i cytryną? Dla wszystkich?

Jason kiwnął głową.

- Uhm, uhm - powiedział, jakby coś odliczał, jakby starał się zapanować nad emocjami. - To się pan nie przemęczył. A wręcz - wyspał.

Steve zrobił głupią minę. Jasne, że się wyspał, a co miał niby robić, dreptać nerwowo tam i z powrotem?

- Niewiele więcej mogłem zdziałać, sir, poza tym, co zrobiłem. - Przez twarz przemknął mu uśmiech.

- Duńczyk okazał się bohaterem.

- Kto? A tak. Holender. No i nasz młody pracownik, Adam.

- Wiedział pan, że ten mężczyzna jest poważnie chory? - Jason wziął jedną ze szklanek i pokazał żonie, która wstała z leżaka przy basenie i do nich podeszła. - Mówię o tym Duńczyku. Choruje. A spędził całą noc na poszukiwaniu jednego z pańskich gości.

- Nie wiedziałem, sir. Nic a nic.

- Dzielny facet. - Jason pociągnął łyk napoju i spojrzał na Steve'a spod przymrużonych powiek. - Są tacy, którzy potrafią zadać sobie nieco trudu.

- Tak - rzekł Steve, nalewając szklankę wody.

- Zasluguje na podziękowanie ze strony hotelu.

- Trudno uwierzyć, że po tym, co wydarzyło się wczoraj w nocy, wszystko toczy się tu normalnym rytmem. Myślę, że ludzie czują... że oczekują jakichś wyrazów wdzięczności, rozumie pan - wtrąciła chłodno jego żona.

- Osobiście dopilnuję, by ten pan oraz jego żona zostali otoczeni przez nasz personel troskliwą opieką, dając słowo.

- Tak jak zapewniał pan, że osobiście poszuka zaginionej. - Missy ścisnęła ramię Jasona i rzuciła mu spojrzenie, które można było wziąć albo za wyrzut, albo za

kokieteryjne zaproszenie do łóżka. Trudno było jednoznacznie rozstrzygnąć.

- Wiem, wiem. - Tak go uczono. Zapewnić, że wszystko do niego dotarło i mieć nadzieję, że się odpięprzą.

- Był pan zorientowany, że ta staruszka cierpi na chorobę Alzheimerera? - spytała Missy.

- Doprawdy? - zdziwił się Steve. - Nic o tym nie wiedziałem. - Głupi zramolały palant! Żeby przywozić żonę do hotelu, mając świadomość, że stara może w każdej chwili dać drapak! Dlaczego go nie uprzedzono?

- A więc wyrażicie jakoś swoje uznanie, zorganizujecie przyjęcie albo ogólne spotkanie? - nie ustępowała żona Amerykanina.

- Prawdę mówiąc, planowałem przyjęcie dzisiaj po kolacji - odparł, gdy amerykańska para oddalała się od baru, facet z łapskiem na gołym tyłku żony. Dopiero kiedy kobieta odwróciła się, zauważył, że za cały jej strój służy cienki skrawek tkaniny między pośladkami.

Steve spojrział na Benjaminą. Barman wyszczerzył zęby od ucha do ucha, a zaraz potem przeprosił.

## 27

Po lunchu w barze i popołudniu spędzonym na leżeniu przy basenie z zamkniętymi oczyma, nocne wypadki wydawały się nierzeczywiste. Janowi było niewygodnie, ale znużenie nie pozwalało mu na podjęcie jakichkolwiek kroków. Przesuwał się. Głowa przywarła do płóciennego pokrowca materaca. Przesuwał ją w lewo i prawo, czując, jak słońce wymierza mu złociste policzki, w którąkolwiek stronę się obracał. Znowu ujrzał George'a i Dorothy, jak stali razem na ganku u Charlotte.

- Niczego nie rozumiem - powiedział do siebie - poza tym, że wszyscy wydają się bliżsi prawdy niż ja. - Usiadł, opuścił stopy i wsunął je w japonki ustawione po obu stronach. Obserwował, jak krople potu spływają strużkami z piersi do centralnego kanału zakończonego małą kałużą w pępku.

Po przekątnej jakaś Chinka rozkładała ręcznik na wolnym leżaku. Nie widział jej tu wcześniej. Miała na sobie czarny kostium kąpielowy z wyraźnymi cięciami. Nim zajęła miejsce, stała z klamrą do włosów w zębach, odgarniając z twarzy czarne włosy do ramion, i spięła je w koński ogon. Pochyliła się do przodu, jak osoba bardzo wysportowana, nie ugiąwszy nóg, i wyjęła książkę w miękkiej okładce z dość pretensjonalnej torebki; z zamka błyskawicznego zwisało nieporęczne złote logo zakrywające pół torby, kiedy jednak torebka się przewróciła, kobieta spojrzała tylko w dół, lecz nie ruszyła się z miejsca, by ją postawić. Ułożywszy się na leżaku, zgięła nogę w kolanie i poszukała dłonią okularów przeciwsłonecznych, czarno-złoty, podobnie jak torebka. Zanim wsadziła je na nos, dostrzegła coś na szklach i zaczęła wycierać je koniuszkiem ręcznika. Wtedy właśnie zauważyła, że Jan się jej przygląda i odstłoniła w uśmiechu zęby.

Poszedł popływać, głównie po to, by obserwować ją niepostrzeżenie. Jego głowa to zanurzała się, to wynurzała z wody. Z każdym rzutem oka coraz bardziej umacniał się w przeświadczeniu, że jest w niej coś hollywoodzkiego. Jej uśmiech przywodził na myśl boginie ekranu uwiecznione w kronice filmowej, którą oglądał jako dziecko w kinie w Brugii. Unosiły dłoń, pozdrawiając tłumy ze stopni parowozu - uprzejme, cierpliwe, pewne siebie.

Powróciwszy na leżak, zobaczył, że Annemieke wyszła już z *jacuzzi* i udała się do pokoju na popołudniową sje-

stę. Przez cały ranek uskarżała się na zmęczenie. Chciała odświeżyć się i wypocząć przed kolacją. Nie przebywać zbyt długo na słońcu. Postanowiła zadbać na tych wakacjach o siebie, tak mu powiedziała.

Zamknął oczy i znalazł się w próżni. Nic nie absorboowało jego zmysłów, umysł błądził, fabrykując marzenia, łącząc w całość wspomnienia. Był w nich wolnym mężczyzną, bez żony, bez dzieci, bez przeszłości, po prostu sobą. Skręcał za róg letnim wieczorem w jakimś dużym mieście, Brukseli, Paryżu, Londynie, może Nowym Jorku, spotykał siebie oraz tę Chinkę, siedzących razem przy stoliku na dworze, w pobliżu hałaśliwego wyciągu kuchennego zamontowanego na zewnętrznej ścianie budynku. Czuł się lekki, miał wyostrzoną percepcję. Mógł tańczyć, nie odrywając stóp od ziemi, mógł powiedzieć, co zechce, wybrać prawdę bądź ją ukrywać. Stawanie się obcym dla samego siebie było czystą radością; ta kobieta miała nad tą nową osobą władzę. Tworzyła go, istniał dzięki jej uznaniu. Jeśli się jej spodoba, będzie żył. Nagle zatrzęsło nim jak statkiem uderzającym o nabrzeże. Siedzieli we dwoje ściśnięci między innymi parami przy stolikach krzywo ustawionych na bruku. Widział ludzi sączących drinki, na które wcale nie mieli ochoty (był sobotni wieczór), wypowiadających słowa, na które nie mogli sobie pozwolić (było późno). Żałował, że zwrócił na nich uwagę. Teraz postrzegał siebie ich oczyma, stoik w średnim wieku, o surowej twarzy, wyniszczony przez nowe uzależnienie, odurzony stworzonym przez siebie samego problemem. Cóż bardziej upojnego niż problem, który się kreuje, ponieważ wszystkie inne już się opatrzyły?

Spojrząwszy kolejny raz na tę scenę, ujrzał, że jego ciało się odwraca, w wyrazie twarzy zaś zauważył przygnębienie, które dopada człowieka, gdy uzmysławia sobie, że potrzebuje pomocy, choćby tylko ze strony kelne-

ra. Czegoś brakowało, czy to możliwe, by do naprawienia wszystkiego wystarczył zwykły drink? Zadrzała mu ręka, ale jej nie podniósł. Zjawił się kelner i wieczór rozpoczął się na dobre. Chińska gwiazdka siedziała w milczeniu, równie nieprzenikniona jak afisz. Miała nową, kosztowną torebkę, podobnie drogie były buty i sukienka. Rozmazana szminka była jedyną oznaką, że być może wkradła się gdzieś tandeta. A komplement, którym postanowił ją obdarzyć, był bezcenny. Taki, który mówi się jednej, może dwóm osobom w życiu. Nie, nigdy by sobie na to nie pozwolił! Katolickie wychowanie uniemożliwiało porzucenie Annemieke bez względu na okoliczności. Absurdalne, żeby poświęcać tyle czasu tej kobiecie, mówić o miłości z bolesną szczerością.

Gdy tylko tak pomyślał, pożałował.

Kobieta znikła, stała się fikcją, równie dobrze mogło nie być jej wcale. Prawie nie istniała. Jej oczy penetrowały powoli nowe terytorium, dopiero co zdobyte; spokojnie taksowała je wzrokiem. Bez uśmiechu.

Otworzył oczy i ujrzał Chinę leżącą płasko na plecach z książką zwisającą w dłoni.

Może powinien był powiedzieć: „Jestem sam. Zapomnij o wszystkim innym. Przychodzę do ciebie po pomoc”.

Wiedział jednak, że prawda jednego człowieka - nawet jeśli jest jej pewien, nawet jeśli wypowiada ją wraz z ostatnim tchnieniem - dla drugiego będzie niczym więcej jak tylko narzucaniem się.

## 28

Dorothy wyczuła zdenerwowanie George'a w związku ze wspólnym pójściem na kolację; już kiedy mył się

w łazience, wiedziała, że przemawia sam do siebie dla dodania sobie animuszu. Wszedł i donośnie klasnął w dłoń, aż podskoczyła. Bycie starszą panią nie jest tak trudne jak bycie starszym panem. Jej wolno było się zestarzeć, lecz George jako mężczyzna musiał trzymać fason do końca. W drodze na kolację nie odezwał się ani słowem, szedł z zaciśniętymi zębami. Jak na pocziwego człeka przystało, wziął ją pod ramię i położył wolną rękę na jej dłoni.

- Nie dam się wciągnąć w rozmowy na ten temat - zapowiedział po lunchu - ludzie będą ciągnąć nas za język. Niektórzy pewnie faktycznie się przejęli. Ale inni są zwyczajnie wścibscy. Dlatego będziemy zachowywać się, jak gdyby nigdy nic.

- To znaczy ty i ja? - spytała. Pokiwał głową, zaabsorbowany własnymi zmartwieniami.

Zajęli miejsca przy stole i nie wiadomo dlaczego przysiadło się do nich amerykańskie małżeństwo. Na początku wyskoczyli z jakimiś bredniami o „przygodzie” oraz o tym, jak to ogromnie się cieszą, że „wszystko ułożyło się szczęśliwie”, po czym zeszli na temat znajomości męża z prezesem grupy, do której należy hotel. Po kilku kieliszkach wyznali, jak nieudolnie, ich zdaniem, menedżer poradził sobie z zaistniałą sytuacją. Jason rozwodził się nad największą w jego wyobrażeniu krzywdą, to znaczy nad nadszarpnięciem wiary George'a w siebie, Missy zaś nad uczuciami Dorothy. Przez tę jej nieustanną paplaninę Dorothy nie słyszała, co mówią mężczyźni. Ciekawiło ją, co działo się podczas jej nieobecności, bo to tak, jakby być świadkiem własnego pogrzebu. Z zachwytem słuchała, jak to jej George zorganizował poszukiwania, wziął sprawy w swoje ręce, dwoił się i troił. To właśnie pragnęła usłyszeć, tymczasem Amerykance nie zamykały się usta.

Była atrakcyjna. Jednak Dorothy uważała, że to nieprzyzwoitość siedzieć tak półnago, z niemal obnażonymi piersiami, w białej bluzce, przez którą prześwitywały brodawki. Jak to mówili jej żydowscy znajomi z Londynu? Takie - byle co. Dorothy miała podobne zdanie i teraz nie podobało się jej to tak samo jak wówczas, kiedy była młodą dziewczyną o świeżym liczku.

Podchodzili do nich inni ludzie, prawili miłe rzeczy, i tych znosiła, ale Amerykanka działała jej na nerwy. Wstydziała się tej swojej zwierzęcej nienawiści. Jediną różnicą pomiędzy Dorothy z czasów młodości a obecną Dorothy było to, że teraz mogła otwarcie przyznać się przed sobą do tej animozji, nie musiała wymyślać dla niej innych określeń czy też na siłę doszukiwać się w tej kobiecie wad, których nie miała. Mimo to czuła się niešťczęśliwa.

Podchodzili do nich inni Amerykanie powodowani dobrymi intencjami. Opowiadali o znajomych Anglikach albo o jakimś mieście w Anglii, które zwiedzili osobiście, bądź które znali z relacji przyjaciół, przez cały czas strzelali oczami w takim tempie, w jakim poruszały się ręce służących zamieniających nieład w porządek; wyrabiali sobie opinię na późniejszy użytek.

- Sądę, że tego rodzaju wypadki, sytuacje zagrożenia, niosą wiele pożytku. Pomagają uzmysłwić sobie, co jest w życiu ważne - stwierdziła Missy. - Mieliśmy ogromne perypetie z siostrzenicą Jasona. Zaczęła brać narkotyki, jej rodzice czuli się całkowicie bezradni, rozumiecie, ale udało się nam do niej dotrzeć we właściwym momencie i wyciągnęliśmy ją z nałogu. Ból, zgryzota, to wszystko, tłumaczę Jasonowi, ma swój sens, sprawia, że zaczynamy doceniać to, co zostało nam dane. Cierpienie, zmartwienia - upiła łyk wina i ciężko westchnęła, dając do zrozumienia, że jedno i drugie

nie jest jej obce - potworność. Trzeba jednak umieć stawić im czoło. A tak wielu ludzi przed tym ucieka. Smutne.

Wszystko to miało sens, mówiła rzeczy wyważone i trafnie podsumowane, przemyślane, nie nawiązywała do niczego, co wykraczało poza jej kompetencje i percepcję. I uznawała je za uniwersalną prawdę. Nie można było jej nie lubić, czy raczej nie dawała ku temu powodów, lecz wypowiadała się w sposób szorstki i ostateczny.

- Mój własny ojciec był alkoholikiem, który porzucił rodzinę. Wrócił oczywiście, kiedy brałam ślub z Jasonem i chciał się pogodzić. Godne politowania.

Dorothy nigdy wcześniej nie słyszała, by ktoś używał wyrażenia „godne politowania” w taki sposób, w jaki używała go Amerykanka. Jakież to okropne, sprowadzić miłosierne uczucie litości do synonimu odrazy. W dzisiejszych czasach to nie Brytyjczycy zadzierają nosa, pomyślała w windzie, patrząc na nieogolony profil George'a, tylko Amerykanie. Wydali się jej dumni i zadufani w sobie. Inni cierpieli otwarcie; jak ryba dyndająca w powietrzu z wbitym w pyszczek haczykiem, która ledwie dycha.

- W porządku, skarbie? - spytał George, gdy otworzyły się drzwi.

- Tak, tak - odparła.

- Zmęczona?

- T a k .

- A nie wybierasz się na dyskotekę? Wymyślili ją na twoją cześć.

- Och, nie - rzekła poważnie - to nie dla mnie, tańce zorganizowano dla nich. Dla młodych.

- Smaczna kolacja - skonstatował, przeciągając kartą i czekając, aż zapali się zielone światelko.

- Tak. - Wysunęła umęczone i piekące stopy z butów i poczuła pod nimi chłodne marmurowe płytki.



- Mili ludzie - powiedział, zmierzając w stronę balkonu.

- Tak, bardzo - przyznała i ujrzała, jak rozluźniają mu się wreszcie ramiona. Otworzył dwuskrzydłowe drzwi i odetchnął głęboko nocnym powietrzem.

## 29

Steve Burns miał na dole pełne ręce roboty. Ustawienie sprzętu grającego i świateł w drugiej restauracji i sali balowej wymagało sporego nakładu pracy. Nie mogli znaleźć wzmacniacza. Okazało się, że Abner zabrał go do domu na weekend. Burns krążył pomiędzy gośćmi z dłonią zwiniętą w trąbkę i wrzeszczał im do ucha wyjaśnienia, że to całe zamieszanie zorganizowano dla uczczenia szczęśliwego końca wypadków zeszłej nocy.

Amerykane kiwali kolejno głowami, obróceni twarzą w stronę parkietu. Jason odparł z oficjalną uprzejmością, że to „dobry pomysł”. Steve był usatysfakcjonowany. W kulminacyjnym punkcie wieczoru zastanawiał się, czy nie powinien osobiście poprowadzić starszej pani na parkiet, okazało się jednak, że małżeństwo udało się już na spoczynek. Miejmy nadzieję, że stary zamknie drzwi na łańcuch, pomyślał Burns.

Jan skrzywił się, gdy menedżer po raz trzeci klepnął go w plecy, mijając ich stolik w drodze do sali tanecznej. Burns nic nie mówił, tylko raz zatrzymał się, by mocno przesadzonym gestem wyrzucić w górę kciuki, innym razem puszczał oko i mówił bezgłośnie: „Chłop na schwał”. Kiedy Adam przestąpił próg, Burns podbiegł do niego, wziął pod łokieć i wprowadził na salę, jak gdyby zapowiadał jakiś zabawny numer. Ustawił Adama obok Jana, zaklaskał w dłonie.

Jan zwinął dłoń przy ustach i pochylił się ku Annemie-  
ke, która opuściła głowę, chcąc usłyszeć, co mówi.

- Czy ten facet jest pijany?

Odwróciła się, osłoniła ręką ucho i odparła:

- Chyba chodzi mu o to, że dobrze się spisaliście.

Jan zmarszczył czoło i pokazał na migi, że przyniesie  
drinki.

Annemieke przyglądała się młodemu czarnoskóremu  
kochankowi i jego podstarzałemu balastowi, sunącym ra-  
zem po parkiecie. Ostrożnie poruszając biodrami i trzy-  
mając ramiona kobiety w mocnym uścisku, mężczyzna  
wyglądał tak, jakby taszczył szafę po sznurowym mostku.

Chociaż wybrana przez Steve'a Burnsa muzyka, od-  
świeżone przeboje z lat siedemdziesiątych i osiemdziesią-  
tych pochodzące głównie z Wysp Brytyjskich, aż prosiła  
się o taniec w pojedynkę, goście z Europy i Ameryki po-  
stanowili kołysać się w parach, w razie potrzeby wręcz na  
siłę. Wielu z nich uciekało się do ruchów swingujących,  
trzymając się za ręce, póki druga osoba nie uznała, że  
najwyższy czas oderwać się od partnera, wykonać obrót  
na pięcie albo pokręcić i zatrząść biodrami, pstrykając  
przy tym z palców jak na kastanietach.

W końcu dzieci nie patrzyły.

Harry i Maxine odtańczyli tango, a Amerykanie po-  
kazywali ich sobie nawzajem, uśmiechając się z sympat-  
cją. Jason obejmował żonę w talii, wsunąwszy palce za  
jej pasek.

Bill Moloney podpierał ramieniem swą potężną sylwe-  
tę, przywierając dłonią do ściany. Osłaniał ciałem jakąś  
kobietę.

Annemieke odwróciła wzrok i dopiła resztki drinka,  
które wcześniej miała zamiar zostawić.

Obejrzała się na starszą kobietę z czarnoskórym męż-  
czyzną. Wyobraziła ich sobie razem w łóżku, młodzieńca

świadczącego usługi tej starej kreaturze. Ona sama będzie korzystała z dobrodziejstw hormonalnej terapii zastępczej, gdy tylko poczuje pierwsze uderzenia gorąca zwiastujące menopauzę. Oświadczyła swojemu lekarzowi: nie dopuszczę do tego, by nagrodą za spełnianie w życiu kobiecych obowiązków była stopniowa zamiana w mężczyznę. Będę walczyć z naturą, jeśli zajdzie taka konieczność.

- Pewnie podoba się jej takie towarzystwo - odezwała się do Adama, wskazując starszą kobietę. Adam w odpowiedzi wyszczerzył zęby.

Bill Moloney podawał rękę jakiejś nieznajomej, ocierając czoło chusteczką. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy go w tańcu! Kobieta była Azjatką, ładnie ubraną, drobną, wręcz szykowną. Przyjęła go łaskawie, jak gdyby do tańca poprosił ją księżę, a nie żaba. Złączywszy dłonie, poruszali się swobodnie w rytm muzyki. Mieli szczęście, że puszczana właśnie piosenka miała wolniejsze tempo.

Jan został kilkakrotnie pominięty w kolejce po drinki, a kiedy jeden z Amerykanów kategorycznym tonem zwrócił uwagę, że powinien zostać obsłużony, odmownie pokręcił głową i czekał nadal. Zastanawiała się, w imię jakiej zasady zwleka. Była spragniona. Odwróciła się do Adama. Pociągnęła go za obszerną koszulę, Adam pochylił głowę.

- Zostałam opuszczona - rzekła. - Mam ochotę za-  
tańczyć.

Był gotów wyświadczyć jej tę przysługę, uniósł brew i odstawił butelkę piwa. Wyszła na parkiet, na sam środek, Adam stanął naprzeciwko, poruszał się z gracją, przymknąwszy na wpół powieki, ramiona i biodra podrygiwały w rytm muzyki. Naśladowała go przez krótką chwilę, zwiększając nieco tempo i wymachując przedramionami jak przy joggingu.

Czuła się niezręcznie. Gdzie jest Jan? Zawsze, kiedy go potrzebowała, gdzieś znikał. Wracał z baru z drinkami w obu rękach, ale przystanął w pół drogi, by zamienić z kimś parę słów. Widziała, jak rozmówcy uśmiechali się uprzejmie, gdy Jan zadawał im pytania z przesadną kurtuazją i flegmatyczną manierą podstarzałego członka królewskiego rodu.

Kiedy w jej polu widzenia pojawiły się szerokie, okryte sportową marynarką plecy Moloneya, wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na ramieniu. Odwrócił głowę i uśmiechnął się na jej widok. Kobieta o chińskich rysach uśmiechnęła się również, jak przed zawarciem nowej znajomości.

Annemieke pochyliła się ku niemu, by mógł ją usłyszeć.

- Wiem, dlaczego powiedziałaś mi to wszystko dziś po południu.

- Tak?

- Chcesz mnie jeszcze raz przelecieć.

- Doprawdy?

- Tak.

- Lepiej byś się poczuła, gdyby rzeczywiście tak było?

Pokręciła znacząco głową i pogroziła mu palcem.

- Znasz go? - zapytał Adam, przysuwając się bliżej.

- Podrywał mnie - odparła. - Dlaczego Amerykanie nie potrafią tańczyć? - Jason i Missy stali naprzeciw swoich znajomych, przestępując z nogi na nogę, z drinkami w dłoniach, konferując z poważnymi minami, jak gdyby mieli ważniejsze sprawy na głowie niż taniec. Pochwyciwszy jej spojrzenie, Jason zadarł głowę i zawołał:

- A gdzie Jan?

- Och, ratuje kogoś z opresji - krzyknęła ze śmiechem w odpowiedzi.

- Przyłączysz się?

- Jasne - kiwnęła głową i ruszyła ku nim, zostawiając Adama w tyle.

### 30

Następnego dnia, jak i przez dni kolejne, słońce prażyło, klimatyzacja działała bez zarzutu, wszystko szło jak z płatka. A mimo to wyczuwało się jakieś zniecierpliwienie - groźna przygoda zaostrzyła apetyty na dalsze wydarzenia, a zapracowani ludzie sukcesu nie potrafili ich poskromić. Wypoczynek i ładowanie akumulatorów już nie wystarczały.

Annemieke przypisywała swoje niezadowolenie wypitemu poprzedniego wieczoru alkoholowi. Ranek przywitał ją kacem, dyskretnym wypacaniem toksyn w chustce przytrzymującej włosy, z dużą butelką wody mineralnej pod ręką i w sarongu pogniecionym i zmiętoszonym w okolicy pasa wskutek wiercenia się i przewracania ze strony na stronę na leżaku przez prawie godzinę. Jan poszedł na masaż.

- Dlaczego mężczyznom przydzielają kobiety i kobietom przydzielają kobiety? Mówię o masażu. Dlaczego kobiet nie masują mężczyźni? - mówiła, zakładając na ramię torebkę, gdy wychodziła z jadalni po śniadaniu.

- Miłego poranka - rzekł, kładąc na spodku obok filiżanki z kawą pojedynczego papierosa.

Przyjemnie spędzili poprzedni wieczór w barze, wszyscy garnęli się do rozmów. Ta drobna sytuacja kryzysowa wyzwoliła w ludziach poczucie koleżeństwa, którym miała zamiar cieszyć się, póki trwało. Jan, który w tego rodzaju sprawach był zwykle świętszy od papieża, pozwolił jej brylować w towarzystwie, sam usunął się w cień, sącząc alkohol i mrugając powiekami jak dziecko, które właśnie odkryło napój gazowany. Zauważyła,

że jest odprężony. Po południu uciął sobie spokojną drzemkę.

Patrząc na niego, powiedziała do siebie:

- Wyglądasz tak, jakbyś cieszył się, że żyjesz.

Poczuła coś ciężkiego na końcu leżaka, a mając pewność, że Jan nie wrócił jeszcze z masażu, uznała, że to pan Moloney złożył jej wizytę.

Tymczasem był to Adam. Zajadał czekoladowy baton i wydawał się zadowolony, obserwując z jej leżaka prace budowlane w nowym budynku spa. Wskazał go ruchem głowy.

- Tylko popatrz.

- O, dzień dobry - powiedziała, wyciągając sarong spod wilgotnych od potu pośladków. Była matką czy kobietą? Usiadła.

- Brudzą moje płytki - zauważył, a odwróciwszy głowę, Annemieke ujrzała Karaiba pchającego taczkę po desce przełożonej przez schody wejściowe i wjeżdżającego nią do środka przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi.

- A właściwie płytki George'a - uśmiechnął się promiennie i odgryzł kolejny kęs batona.

Podciągnęła oparcie leżaka do pozycji siedzącej i przyglądała się, jak Adam przeżuwa. Tylko młodzi potrafią jeść, pomyślała. Ludzie tacy jak ona nie bywają głodni, nigdy nie jedzą jak należy.

Patrzyła na symfonię mięśni, na pracę ścięgien i kości poniżej gardła. Poniżej wklęsłości policzków były dwa wielkie wykrzykniki rozciągające się ukośnie od nozdrzy po obu stronach ust, podwójny wyraz przyjemności. Włosy miał założone za uszy. Uszy także nie pozostawały bierne, poruszały się wraz z ruchem szczęk. Przelknął ostatni kęs i zakończył jedzenie. Zaalarmowany nagłym łomotem i krzykiem dobiegającym ze strony nowego obiektu, podniósł głowę jak strzygący uszami pies.

- Powinieneś zjeść coś konkretnego - powiedziała.
  - To mi wystarczy - odrzekł z młodzieńczą dumą z powodu swych wyimaginowanych zalet - wiele mi nie potrzeba. Czekoladowy baton, puszka coli, jakieś prochy. Fajki - powiedział.
  - Nie będzie tak na wieki.
  - Mam dwadzieścia sześć lat - odparł z uśmiechem - a wyglądam na trzynaście. Mam nadzieję.
  - Ja czuję się tak samo jak wtedy, kiedy miałam osiemnaście - wyznała, prostując nogę.
- Popatrzył na nią; uśmiechnął się z roztargnieniem i ponownie przeniósł wzrok na nowy budynek, krzywiąc się, gdy po kolejnym rumorze posypał się grad przekleństw.
- Upaprają je doszczętnie - skwitował.
- Podciągnęła stopy na leżaku, uniosła kolana, by zrobić mu więcej miejsca. Wzięła do ręki książkę.
- Eh, lepiej na to nie patrzeć - stwierdził. - Jan śpi?
  - Nie, poszedł na masaż.
  - Szczęściarz z niego.
  - Nie sądzę, by cenił sobie takie przyjemności. Jan jest jak profesor albo pracownik naukowy. Wszystko odbywa się tutaj - postukała się książką w głowę - a nie tam.
- Adam uniósł brew.
- Mocne słowa.
- Ponownie otworzyła książkę.
- No to masz dylemat. Masaż bardziej przydałby się tobie.
  - Zgadza się - odparła, spoglądając na niego znad książki.
- Wstał, przeciągnął się, zauważyła, że brzuch zapadł mu się pod szortami, pozostawiając za paskiem miejsce w sam raz dla drobnej dłoni.
- Och, idź już - rzekła.

### 31

Tego popołudnia słońce przypiekało mocniej niż zwykle i przy basenie wytrwali tylko Amerykanie. Jan i Annemieke zjedli lunch w środku, w towarzystwie George'a i Dorothy, uzgodnili, że pomyślą o wspólnej wycieczce, może o rejsie, po czym wszyscy czworo ruszyli korytarzem prowadzącym do głównego budynku. Gdy wychodzili, George przytrzymał Jana odrobinę w tyle i zwierzył się ze swych wątpliwości, czy nie powinien zadzwonić do Anglii i napomknąć córkom o tym, co zaszło, martwi się jednak, że zdradzi tym samym Dorothy, że ją wyda. Jan zapewnił, że telefonując postąpiłby jak najbardziej słusznie. Annemieke i Dorothy oglądały srebrną biżuterię z turkusami wystawioną w gablocie przed salą restauracyjną, gdy dołączyli do nich panowie.

Znalazłszy się na powrót w pokoju, Jan wyszedł z książką na balkon i opuścił zwijaną płócienną markizę dla osłony przed słońcem, tymczasem Annemieke zrzuciła z siebie ubranie i położyła się na chłodnych prześcierałkach pod obracającym się nad łóżkiem wentylatorem. Była znudzona.

Przerzucała kanały telewizyjne, wyłączywszy dźwięk. Rozsunęła nogi, by owiał je wiaterek. Natknęła się na dwa kanały dla dorosłych. Spojrzała w dół na swoje sutki i łono, i szerzej rozpostarła nogi.

Do pokoju wszedł Jan, nie przykryła się. Popatrzył na nią dwukrotnie, poszedł do łazienki, słyszała, jak zapina rozporek, i wrócił, stąpając cicho obok niej.

- Jan - odezwała się, gdy ją mijał - nie masz ochoty na seks? Dawnośmy tego nie robili.

- Nie - stanął i przytrzymał się framugi, jakby z zamiarem pozostania w pokoju i podjęcia rozmowy, po czym odwrócił się ponownie.



- Jan - rzekła - to przez raka?

Wszedł do środka i zdjął okulary. Jego oczy wydawały się małe.

- Nie sądzę.

- Chodzi o mnie?

Potaął czoło wierzchem dłoni, w której trzymał okulary; lekkie, w drucianej oprawie, zauszniki kojarzyły się z wymachującymi w powietrzu kończynami.

- Chodzi o nas.

Złączyła nogi.

- Czy budzę w tobie odrazę?

- Nie - przerwał - nie, jesteś atrakcyjna, Annemieke - roześmiał się. - Czy to chcesz ode mnie usłyszeć? Chcesz, żebym ci to w tej chwili powiedział?

- Seks przestał cię interesować, jeszcze zanim zachorowałeś na raka - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - Czasem odnoszę wrażenie, że stało się to, zanim się poznaliśmy. Powinieneś być zostać duchownym albo uczone.

- Tak - przyznał - może byłbym szczęśliwszy. Może. Czy naprawdę chcemy teraz o tym rozmawiać?

- A zechcesz porozmawiać przy innej okazji?

- Nie.

- Więc zrobmy to teraz. Przedstawić ci moją teorię?

Omiótł wzrokiem jej ciało i pomyślał o myjkach w łazience, które stykały się z jej częściami intymnymi i które leżały na widoku przez wiele dni. Wielokrotnie prane i suszone stawały się szorstkie w dotyku i miały króciutki meszek, od suszenia na grzejniku były sztywne jak hinduskie podpłomyki. Nie znosił ich, widział w nich oznakę tak dużej fizjologicznej aktywności Annemieke, która wymagała dodatkowego mycia się pomiędzy wieczornym i porannym prysznicem. Nie cierpiał, jak poniewierały się po łazience, bo widzieli je chłopcy, a co gorsza, mogli użyć ich przez pomyłkę.

- Moja teoria - ciągnęła - jest taka, że ty masz kobiece podejście do seksu, a ja męskie.

- To twoje zdanie. - Odwrócił wzrok, popatrzył na inne balkony skręcające łukiem w jego polu widzenia, pomyślał przelotnie, że to bardzo wątpliwe, by George i Dorothy prowadzili tego rodzaju rozmowy. Zazdrościł George'owi spokoju.

- Tak. Bo tobie potrzebne jest zaufanie, musisz czuć się bezpiecznie, żeby uprawiać seks.

Odłożył okulary na stolik przy drzwiach i wszedł do środka, by zasiąść w fotelu.

- Ty natomiast masz męskie podejście.

- Tak - odparła, unosząc nieznacznie ciało i wyginając plecy w łuk.

Jej matka była taka sama. Obie uwielbiały szowinistycznego dziadka uganiającego się za kobietami, o którym krążyła pogłoska, że splodził dziesięcioro dzieci, z czego tylko czworo z prawego łoża. Jakich wskazówek udzieliła jej matka w kwestii bycia kobietą? Matka Anne-mieke nienawidziła być kobietą.

Milczeli.

- Nie masz mi za złe? - przekrzywiła głowę.

- Potrzebujesz mojego przebaczenia?

Odwróciła na chwilę wzrok, a kiedy popatrzyła na niego ponownie, drżały jej usta, a broda zwiotczała.

- Może - rzekła. Wyciągnęła ku niemu ramiona, podszedł bliżej. Przycisnął ją do piersi i pocieszał słowami:

- Już dobrze, nie zaczynaj, to nie tylko twoja wina, szkoda łez.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie wiedzieliśmy, nigdy nie wiedzieliśmy, ani na początku, ani w połowie, ani teraz, jak z sobą postępować, ale pozostaliśmy razem.

Pokiwała głową. Gdy wstawał, dostrzegł chiński szal na pufie w nogach łóżka i wziął głęboki oddech.

— Nigdy nikogo nie pragnąłeś przez ostatnie kilka lat? Sądziłam, że właśnie z tego powodu tak chętnie wyprawiałeś się na samotne eskapady do krajów w rodzaju Belize.

— Raz rzeczywiście spędziłem noc w burdelu. I to właśnie w Belize City. Będziesz się śmiać. Stało się to zupełnie przypadkowo i było istnym koszmarem. Pamiętasz moją podróż do Ameryki Środkowej? Przejeżdżałem przez Belize w drodze do Gwatemali. Belize City jest absolutnie demoralizowane. Tak wyobrażam sobie piekło. W nocy panują tam egipskie ciemności, bardziej nieprzeniknione niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi. Można by przysiąc, że nie świecą tam gwiazdy; nie ma księżycy ani ulicznych latarni. Ludzie napadają na innych dla pieniędzy.

Wyjął z lodówki butelkę piwa, odmówiła, więc otworzył ją dla siebie.

— Gdy o północy przyjechałem autobusem z Meksyku do Belize City, obstała mnie grupka ludzi. Udało mi się wymknąć do taksówki, pozostała dwójka turystów poszła w moje ślady. Podaliśmy kierowcy nazwę pensjonatu wybranego z przewodnika. Roześmiał się, mówiąc, że to niemożliwe, niemniej jednak ruszył. Poprosił o pieniądze, ale powiedziałem, że nie zobaczy ani centa, póki nie zawiezie nas pod hotel. Dwoje ludzi, którzy zabrali się ze mną, byli młodzi, studenci, para. Kierowca krążył ulicami, jak gdyby grał na zwłokę. Na zewnątrz stały wyciekająco grupki mężczyzn. Wreszcie zatrzymał wóz na środku ulicy, nawet nie przy krawężniku. Wyjrzałem przez okno. Było jasne, że przywiózł nas do burdelu. Dwie dziewczyny siedziały z nosem spuszczonej na kwintę na werandzie białego budynku w stylu kolonialnym, a na widok naszego samochodu weszły do środka i powróciły w towarzystwie burdelmamy.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział taksówkarz, zatrzymując wóz i gasząc światła. Poprosił o pieniądze. Odmówiłem. Kierowca czekał, równie ciemny jak ciemności dookoła. Nie widziałem nawet błysku jego oczu. A potem drzwi naszego samochodu otworzyły się i do wnętrza wdarł się wąski skrawek światła - ostrze noża. Usiłowałem wstać. Jakaś ręka z zewnątrz wsunęła się przez otwarte okno i osadziła mnie z powrotem na siedzeniu. Kazałem młodemu mężczyźnie, Francuzowi, spróbować ze swojej strony. Zdołał wysiąść i stanął obok auta, skąpany w kolejnej warstwie czarnego atramentu, przytrzymał drzwi i mówił: *Vite!* Wyszliśmy za nim i przekonaliśmy się, że jesteśmy otoczeni. Kiedy daliśmy im pieniądze, puścili nas. Szliśmy, każdy z plecakiem na grzbiecie, usiłując wykrzesać z siebie odrobinę dobrego humoru. Wdepnęliśmy wspólnie w to bagno. W tej próbie obrabowania nas nie było nic heroicznego, podobnie jak nie było nic heroicznego w tym, że oddaliśmy im nasze pieniądze. Było to równie prozaiczne jak zakupy. Pamiętam skalę naszego rozczarowania, kiedy usiedliśmy w koreańskim barze przy szklance piwa. Staraliśmy się znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia, lecz skończyło się to fiaskiem. W miejscu desperacji i rozpacz nie sposób niczego tłumaczyć dobrą naturą albo istotnym motywem. Skoro wszystko wokół jest złe, jak może być zła lub dobra pojedyncza rzecz bądź osoba?

Spytaliśmy właściciela baru, gdzie moglibyśmy prznocować, wskazał nam pięterko. Miał wolne pokoje. Najpierw musieliśmy zapłacić. Miałem czeki podróżne i poprosiłem tamtych młodych Francuzów, by pozwolili mi zapłacić za nocleg. Podziękowali jak gdyby nigdy nic, jakby była to forma rekompensaty za to, że mam więcej lat niż oni. Mówię ci, poczułem ukłucie zazdrości, gdy idąc korytarzem do własnego pokoju, mijalem ich drzwi.

Usłyszałem zasuwkę, po czym damski głos zmieszał się z męskimi pomrukami. Razem byli bezpieczni. W moim pokoju nie działało światło, drzwi nie zamykały się na zamek. Przez całą noc wyły i szczekały uwiązane psy, a ja siedziałem czujny, w kompletnym ubraniu, z premedytacją niewygodnie, wsparłszy głowę o plecak

Potem z pokoju naprzeciwno doszły mnie zwierzęce odgłosy bólu. Kobieta jęczała i krzyczała, skowytała i błagała, a w tle wydawanych przez nią dźwięków słychać było rytmiczne łup-łup wielkiego chłopca. Niektóre kobiety lubią robić zamieszanie, chcą, by zadawano im ból, bo mają wtedy powód do robienia zamieszania, zanim sprawią sobie dziecko, z którym będą się mogły cackać, pomyślałem sobie. Są kobiety, którym odpowiada brutalność. Mężczyźni też. Może on do nich należy, może się zmieniają. Myślę jednak, że taki kosmopolityczny układ był mało prawdopodobny w burdelu w Belize. Nie wiedziałem, co robić. Siedziałem przez chwilę. A potem przeszedłem przez korytarz i zapukałem do drzwi. Łup-łup na sekundę ustało. Odpowiedział głos kobiety. „Wszystko w porządku?” - zapytałem. „Odejdź”, odparła. Mówiła tonem spokojnym, niczego nie zdradzającym. Mężczyzna musiał znieruchomieć w oczekiwaniu. Wróciłem zatem do pokoju, usiadłem na łóżku i nasłuchiwałem, póki wszystko nie ucichło. Czuję się jak ostatni dureń.

Gdy weszło słońce, obejrzałem pokój i zacząłem zbierać się do wyjścia, nim ożyją wspomnienia nocy. Poszedłem wysikać się do łazienki i zobaczyłem krew na podłodze. W tym kraju mogłem sikać wszędzie, mogłem sikać na ulicy, mogłem sikać na podłogę w barze, mogłem sikać w banku. Ale nie miałem zamiaru sikać na czyjaś krew. Chciałem opuścić to miejsce. Usłyszałem głosy paniki przy drzwiach w korytarzu, koreański właściciel był zły i wystraszony, drugi mężczyzna agresywny, a potem ciężkie

kroki biegnącego człowieka i głos Koreańczyka wołającego żonę. W mieście poszedłem rano do banku, wypłaciłem pieniądze, wsiałem na statek do Cayes i powiedziałem sobie, że poprzednią noc wymaże z pamięci słońce wysp i unoszący się w powietrzu zapach marihuany.

Ale się myliłem. Ta noc we mnie została. Otarłem się o zło, sam jak palec w obcym pokoju, słysząc, jak dwoje ludzi splata ból z rozkoszą, by stworzyć jakiś fałsz. Rozumiem, że seks można kupić i sprzedać. Lecz coś poniżającego w tych odgłosach pośród mroku poruszyło mnie - na dobre. Kiedy tam byłem, cztery lata temu? I mniej więcej wtedy poddałem się pechowi, rakowi.

- Myślisz, że zabił tamtą kobietę?

- Nie wiem, co się wydarzyło. Miałem okropne wyrzuty sumienia. Jakby zabrakło mi moralnego kompasu. A może, co jest bardziej niż prawdopodobne, zwyczajnie się bałem. Może między innymi dlatego się poddałem, wtedy bowiem przekonałem się, kim jestem.

Nie rozmawiali z sobą w ten sposób od wielu lat. Popatrzyła na męża. Siedział w nogach łóżka z pomarszczonym czołem i workami pod oczami, z długim nosem zwieszonym nad nieruchomymi dłońmi, splecionymi pomiędzy udami.

- Dlaczego nie opowiedziałeś mi o tym wcześniej?

Jego twarz drgnęła i obwisła.

- Pewnie dlatego, że złożyłem oręż.

Wentylator nad ich głowami obracał się, obracał i obracał, Annemieke przypomniała sobie ni z tego, ni z owego łopatki na dziobie samolotu. Gdy dotknęli stopami karaibskiej płyty lotniska i ruszyli w stronę budynku, obejrzała się za siebie na porzucony samolot, słabnące brzęczenie silników, tragicznie zwalnające obroty wirniki, tnące pustkę, grzęznące w maślanym skwarze, wreszcie zamierające.

- Zraziłeś się przez to do seksu?  
Roześmiał się.
  - Nie. Nie sądzę.
  - Ale zniechęciłeś się do mnie.
  - Nie.
  - Potrzebujesz bezpiecznego miejsca.
  - T a k .
  - Pamiętasz, co ci powiedziałam na naszych pierwszych wspólnych wakacjach, kiedy kąpaliśmy się w morzu, usiłując kochać się w wodzie?
  - Tak - powiedział - mówiliśmy wtedy zbyt wiele.
- Nad Morzem Śródziemnym z młodzieńczym uniesieniem kobiety, która znalazła idealnie dopasowanego partnera, Annemieke wyprężyła się w jego ramionach, gdy uniósł ją i przyciągnął do siebie, i ostrzegła: „Zniszczę cię”. Później, po powrocie do hotelowego pokoju wyznała, że nie ma pojęcia, dlaczego tak powiedziała. Odparł, że pewnie tylko się popisowała.

## 32

Podczas kolacji Bill Moloney usiadł przy stoliku z Chinką. Jan, Annemieke, George i Dorothy byli znowu razem, mężczyźni dość ożywieni, przekomarzający się z sobą i sączący wyborne wino, kobiety zaabsorbowane czym innym.

Tego wieczoru jadalnia wypełniła się wcześniej. Bill podszedł do ich stolika i wsparłszy ręce na oparciach krzeseł zajmowanych przez mężczyzn zapytał, czy nie mieliby ochoty przyłączyć się do planowanej następnego dnia eskapady.

- Przyda się nam zmiana otoczenia - stwierdził. Chciał pojechać na północ wyspy, rozejrzeć się, sprawdzić, czy jest co zwiedzać. Dostanie przygotowany zestaw piknikowy na plażę. Ma wolne miejsca w samochodzie.

- Dla nas wszystkich? - zapytała Annemieke z uniesionymi brwiami i przysunęła do ust kieliszek z winem. Zerknęła na Chinkę. - Dla nas i dla twojej przyjaciółki?

- Laurie? Ona nie jedzie. Przyjechała tu się odprężyć. Prowadzi w Hongkongu dużą firmę *public relations*, potrzebuje spokoju.

Dorothy popatrzyła na kobietę zwaną Laurie, która odłożyła sztucce obok talerza i uśmiechała się promiennie w ich stronę. Pomachała ręką, Dorothy odwzajemniła pozdrowienie.

- Jest mężatką? - spytała.

- Rozwódką.

- Och. - Dorothy znowu kiwnęła ręką. - Jaka ładna. - Zauważyła, jak pięknie uszyta jest suknia kobiety z szarego szyfonu, o empirowym kroju, a zajrzawszy pod stół, dostrzegła dopasowane do niej buty. - Bardzo ładna.

Jan przełknął i wytarł usta. Posłał kobiecie surowy uśmiech.

- No to, umowa stoi? - dopytywał się Bill.

George pokiwał głową.

- Zapowiada się nieźle. Dużo żarcia?

- Kurczak, bułki i sandwicze, sałatki, jedna lub dwie *quiche* i duży biszkopt królowej Wiktorii, tylko pomyślcie. Kilka piwek - och, jakieś dwadzieścia cztery, dokładnie nie pamiętam - dodał, patrząc na Annemieke z uśmiechem.

- Cóż, nie jestem grubą rybą z Hongkongu, ale również przyjechałam tu odpocząć. Jedźcie beze mnie - powiedziała.

- Co do kurczaka - zaznaczył George - powiedz im, młodzieńcze, by upiekli go porządnie. Żeby w mięsie nie było śladu krwi. Nie tknę różowego, ani jak będzie wyglądał na niedopieczonego. Bo wyrócą mi się flaki.

Bill parsknął śmiechem.

- Zgoda.



- Wyobraźcie sobie tylko: *quiche* i biskopt - rzekła Dorothy, unosząc brew i prostując szyję. - Ciut dziwne w takim upale.

- Możemy wyskoczyć gdzieś na lody.

- Och, jadłam przepyszne lody na patyku tamtego dnia, kiedy wyszłam z hotelu - powiedziała. - Wymyśla ją teraz cuda i cudenka. - Zorientowawszy się, że wszyscy milczą albo odwracają wzrok, zrobiła pauzę i dodała: - Kiedy tak dziwnie się poczułam. - George położył rękę na jej dłoni i mocno ścisnął. - Starzeję się - rzekła, patrząc na Annemieke - umysł także wiotczeje. Najpierw ciało, potem umysł.

Annemieke dostrzegła, że do dolnej wargi starszej pani przyczepił się skrawek panczerzyka z krewetki, niczym pusta kieszonka pęcherza.

- No to będziesz miała jutro u boku trzech dżentelmenów, którzy potraktują cię jak królową - powiedziała, klepiąc dłoń Dorothy.

- A jakże - przyznał Jan, a Bill pokiwał głową.

George zamrugał oczami, a Jan widział, jak jego wielka jak półmisek łapa ląduje na ramieniu żony i ściska je przelotnie, jakby nieprzywykłą do takiego gestu.

Gdy już uzgodniono, że wszyscy spotkają się w recepcji o dziewiątej rano, Annemieke obserwowała Billa, jak wraca do swojego stolika i nadskakuje Chince z wielkim zaangażowaniem.

- Jest chrześcijaninem - powiedziała Annemieke z nikłym uśmiechem - z grupy ewangelicznej odnowy.

George obejrzał się na Billa.

- Niemożliwe. Chyba nie takim, jak ci nawiedzeni amerykańscy kaznodzieje?

Annemieke pokiwała głową.

- Nie obchodzi mnie cudza wiara, ale kiedy zaczynają prawić kazania, nie mogę zdzierżyć.

- A wygłaszał ci kazania?

- Próbował nawrócić mnie któregoś dnia w *jacuzzi*. Przepuszczam, że jutro wasza kolej.

- Och, mam nadzieję, że nie - wtrąciła Dorothy - krępują mnie dyskusje o religii. To nie jest temat do rozmowy. Podobnie jak nie rozmawia się o odznaczeniach. Chwalenie się medalami nigdy nie należało do dobrego tonu. Jedni mielią ozorem, inni pracują.

- Masz rację - przyznała Annemieke - masz absolutną rację, Dorothy.

Cala trójka ponownie zerknęła w milczeniu na Bilia.

Wychodząc z restauracji, Jason i Missy podeszli do stolika ramię w ramię; wybierali się do baru i chcieli spytać, czy mogą zaproponować wieczornego drinka. Angielskie małżeństwo odmówiło, Belgowie zaś przyjęli propozycję. George patrzył za nimi jak pies, który łypie na człowieka z kijem.

- Idź i strzel sobie jednego - rzekła Dorothy.

- Nie.

- Tak, tak, idź się napić. Mnie nic się nie stanie.

— Najpierw odprowadzę cię do pokoju, a potem może do nich dołączę - odparł, przygryzając kącik ust i spoglądając zamglonym wzrokiem. Wyłączył się z rozmowy, nie odpowiadał na pytania, podjął konwersację dopiero wtedy, gdy uprzątnięto naczynia.

### 33

W sobotni poranek Steve Burns uwijał się w recepcji w o wiele za ciasnych spodniach. Przybrał na wadze i drelichy zrobiły się zbyt obcisłe nie tylko w pasie, jak to często u mężczyzn bywa, lecz również w siedzeniu. Przypomnił mu się szkolny nauczyciel, który wywarł wpływ na jego nieomyłne wyczucie wszystkiego, co obciachowe,

mężczyzna, który nosił opięte rudoczerwone portki, arogancko kołysał dupskiem, idąc pomiędzy rzędami uczniów, sarkastycznie przeciągał słowa.

Burns czuł się jak jakieś pedalisko, rozdawał broszurki, ołówkiem zakreślał na mapie kółka, przypominał gościom wychodzącym z hotelu o wieczornej imprezie. Dostrzegł dwie kobiety z gatunku tych dojrzalszych, „sreberka”, jak nazywano je w branży, które wymieniały uwagi na jego temat ze swych zacisznych pozycji w wyplatanych fotelach, zerkając w jego stronę znad broszurek reklamujących wyprawy na ryby. Zapytał, czy mógłby im w czymś pomóc, a kiedy się oddalał, usłyszał, jak parszczą śmiechem. Kręcił, psiakrew, tyłkiem, był tego pewien, to przez te cholerne spodnie, a potem odwrócił się na pięcie jak ciotowaty kaowiec i zbeształ je bardzo pedalskim: „No, no, moje panie, tylko bez takich”. Ta robota potrafiła czasem człowiekowi obrzydnąć.

Jankes przypałętał się omówić kwestię cumowania przy nabrzeżu jachtu przyjaciela. Miał strasznie poważną minę, zatem Burns udzielił strasznie poważnej odpowiedzi. Rzecz dotyczyła jachtu o długości stu stóp, nie jakiejś rybackiej łajby. Burns przypomniał panu Ryderowi, Jasonowi, to, o czym zapewnił go już poprzedniego dnia - że nie ma sprawy. Ryder cierpliwie kiwał głową, wcale nie słuchając.

- Chciałbym uniknąć wszelkich problemów - oznajmił.

Przyjaciel, nie pan Cohen, lecz ich wspólny znajomy, mocno inwestujący w akcje wysokiego ryzyka, będzie wpływał do portu około godziny jedenastej. Zamierza zabrać kilkoro gości hotelowych na całodniowy wypad. Jedzie z nimi między innymi pani De Groot, Annemieke.

Burns nie mógł uwierzyć, że Jasonowi mogłaby podobać się ta Holenderka, zważywszy na fakt, że miał do

swej wyłącznej dyspozycji potulny kawał niezłej dupy, jak mawiali Amerykanie. Przywykł jednak do wszelkich możliwych konfiguracji, które występowały na tego rodzaju wakacjach. Powinien napisać książkę. Już nic go nie zaszokowało, powiedział sobie w duchu, myśląc o tym starym pudle i czarnoskórym młodzieńcu.

Ryder był wyszykowany na wycieczkę, szorty khaki, lniana koszula z logo Polo, posklejane żelem włosy w kolorze brudny blond, ufryzowane na spotkanie z żywiołami.

- Zapowiada się dobry dzień na połów, na co możemy liczyć? Na marlinę?

- Nie mam pojęcia, sir.

- Nie ma pan pojęcia? Jak to?

Ty pieprzony fiucie, pomyślał Burns, ty pieprzone, nadęte, nudne jak flaki w oleju zero, powinienem ci powiedzieć, żebyś wsadził sobie te sto stóp łódki w swoją tłustą amerykańską dupę.

- Możecie spotkać tasergale, skumbrie. Coś, co miejscowi nazywają rybą-delfinem, no i smażone rybki.

Amerikanin pokręcił głową, wydał nozdrza.

- Te będziemy wrzucać z powrotem. Proszę przygotować dla nas coś na lunch. Mój przyjaciel ma na jachcie obsługę, nakarmi nas, ale nie lubię zjawiać się z pustymi rękami. Jakies owoce morza, kurczak, sałatki, nic wymyślnego. Chyba da się załatwić? O, cześć, skarbie.

Burns kiwnął głową. Do Jasona dołączyła żona ubrana w podobny komplecik, tyle że ona miała na sobie koszulę bez rękawów, zapiętą tylko do połowy, pod nią zaś granatową górę od bikini w jasne groszki. Ryder pociągnął za jeden sznureczek.

- Tylko testuję - wyjaśnił.

- Kochanie - zbesztła go - zaciągniesz węzeł tak mocno, że nie da się potem rozsupłać.

Burns popatrzył w bok, miętosząc zaciśnięte wargi, by utrzymać język na wodzy. Kiedy byli już prawie przy drzwiach, pozwolił sobie zawołać za nimi:

- Proszę nie zapomnieć o wieczornej imprezie na plaży, sir, o ósmej - po czym dodał, jak przystało na ponurego drania, którym bez wątpienia był: - Ubranie nie-obowiązkowe!

Jęknął, przechodząc przez drzwi wahadłowe do kuchni, kopnął je, odciskając na nich ślad pasty do butów. Jeśli nie zetrze go własnoręcznie, nie zrobi tego nikt inny.

- Gdzie jest lunch dla ekipy Moloneya?

- Prawie gotowy - odparł Brian, rastafarianin, który pełnił dyżur w kuchni tego ranka. Miał dredy związane razem na czubku głowy. Wyglądał jak por. Stał pochyłony nad blatem, czytając gazetowe nagłówki. Zawsze dotyczyły futbolu albo krykieta. Ten akurat numer poświęcony był w całości sensacyjnej wiadomości, że angielską drużynę krykietową przyłapano na paleniu marihuany.

- O kurka, koleś! W życiu bym nie myślał, że wasi lubią się sztachnąć - rzeki, dźgając palcem w gazetę. - Ale Adam, ten lubi puścić dymka. Przyłazi do mnie po prośbie co drugi dzień, lubi się wyluzować.

- Póki nikt z was nie jara tego tutaj, na terenie obiektu, guzik mnie to obchodzi, stary. No, to co mamy na zbyciu? Musimy przygotować wyżerkę dla grupki janke-sów. Co się wkrótce zepsuje?

- Jest trochę kurczaka, już lekko załatuje.

- Jak bardzo?

- No, nie tak jak wasza drużyna krykietową cuchnęła trawką.

- W porządku, coś z tego wykombinuj. I dodaj owoce morza. Dużo. Nieobrane. I resztki sałatek, naładuj górę majonezu, dorzuć wszystkie płaczące się pod ręką stare obrzynki. Niech zmierzy się z jankesami koleżanka sal-

monella. Grunt, żeby ładnie wyglądało. Przecież wiesz, że i tak większość zmarnują.

- Jasne, kiedy przyjeżdżają Amerykanie, widać od razu: z kubłów wysypują się resztki z ich talerzy. - Kucharz pokręcił głową. - Moja mama na ten widok roni szczerze łzy. - Położył Steve'owi rękę na ramieniu. - Nie martw się, stary, zrobi się.

- Przed jedenastą, jeśli dasz radę - powiedział łagodnie Steve - i wypij piwo na mój koszt.

- Dzięki, stary.

No, powiedział sobie, wracając do recepcji, przynajmniej jedno jest pewne. On, Steve Burns, nie jest skończonym, kompletnym piździelcem.

### 34

Dorothy i George zjedli śniadanie zaraz po otwarciu sali jadalnej o siódmej, przez pół godziny błąkali się po plaży, a potem - dla zabicia czasu - przechadzali się po obrzeżach hotelowych zabudowań. Wydali okrzyk na widok kontenerów na śmieci, obserwowali stąpającego po szczycie muru kota, pomachali do kamer monitorujących teren, po czym powrócili do recepcji, by dowiedzieć się, że została im jeszcze godzina czekania. Wrócili do hotelowego pokoju, żeby George mógł skorzystać jeszcze raz z toalety, a Dorothy kartkowała informacje hotelowe i sprawdziła bilety powrotne. Szczęśliwym trafem, narastające pragnienie dokładnego przyjrzenia się własnemu życiu zbiegło się z wolnym czasem. Zaczęli od wielkich projektów i planów, obejmujących całe lata, skończyli na zgłębianiu z zadowoleniem drobnych detali codziennego życia na emeryturze.

Jan mijał recepcję o dziewiątej, gdy szedł z Annemieke na śniadanie po porannej kąpielii w morzu. Starsze mał-

żeństwo wstało, a po chwili usiadło, gdy Jan zerknął na zegarek, poklepał się po brzuchu i zaczął się usprawiedliwiać.

- Nieczęsto odczuwam głód, postanowiłem więc to wykorzystać. Może jajko - powiedział.

Starsze małżeństwo ponownie wetknęło nos w broszurki.

- Słuchaj - odezwała się Dorothy - to ta Chinka.

George spojrział znad oprawek okularów. Kobieta stała przy recepcji, przeglądając jakieś kartki, na których, o czym wiedział George, wypisano informacje o zabezpieczeniu przedmiotów wartościowych oraz ostrzeżenia na temat morskich kąpielii.

- Ładnie się ubrała - pochwalił.

Dorothy spojrzała najpierw na męża, potem na kobietę. Miała na sobie spódnice, top na ramiączkach wyszywany koralikami i klapki z odkrytymi palcami; wszystko zharmonizowane, w kolorze bladego różu. Gęste czarne włosy związała z tyłu, na drobną głowę założyła bardzo ozdobne okulary przeciwsłoneczne w grubych oprawkach. Odwróciwszy się, pomachała do nich ręką i podeszła. George odłożył ulotki na stolik i zdjął okulary. Wstał z miejsca.

- Dzień dobry.

- Ja też się z wami wybieram - uśmiechnęła się. - Bill mnie namówił. Mam nadzieję, że to państwu nie przeszkadza. I że nie zrobi się przeze mnie ciasno.

- Raczej nie zajmie pani zbyt dużo miejsca - rzekła Dorothy, ni to uśmiechając się, ni śmiejąc.

- Znakomicie - dodał George.

- Sądzi pani, że będzie potrzebny kostium kąpielowy?  
- zwróciła się do Dorothy.

- Nie mam pojęcia. Chyba nie. Ja w każdym razie nie wzięłam.

Kobieta pokiwała poważnie głową i wszyscy umilkli.

- Gorąco - odezwał się wreszcie George - straszny dziś upał. - Chinka skwapliwie podchwyciła tę uwagę i zgodziła się ze spostrzeżeniem.

Gdy przybył Bill Moloney, przywitano go z serdecznością, którą mężczyzna o takiej posturze i wielkoduszności zjednuje sobie dość szybko, zwłaszcza gdy ze znajomego zmienia się w gospodarza. George poklepał go po plecach, Dorothy skarciła za spóźnienie, a kiedy wyjaśnił, że przyszedł za wcześnie, skarciła go za pojawienie się zbyt wcześnie. Laurie cały czas uśmiechała się, ścisnąc oburącz uchwyt niewielkiej torby.

Jan i Annemieke zjawili się wkrótce po tym, jak Bill pokazał na mapie samochodowej proponowaną trasę. Dorothy przypomniała sobie, co Annemieke mówiła na temat religii Billa i odetchnęła z ulgą, widząc, że wziął z sobą tylko mapę i kluczyki; nie dostrzegła żadnej złowróżbnej teczki. Trudno było wyobrazić sobie, że jest kaznodzieją; był postacią wyrazistą, ekspansywną. Jeśli nawet Jezus jest wśród nas, w dzisiejszych czasach go nie zauważamy, powtarzała George'owi nie raz, ponieważ rozprasza nas zbyt wiele innych rzeczy. Mógłby stać tuż obok, na przystanku autobusowym, a jej uwagę odwróciłaby reklama na wiacie.

- Ja nie jadę - oznajmiła prędko Annemieke, machając do nich ręką - przyprowadziłam tylko męża.

Jan pocałował ją w policzek.

- Amerykanie zaprosili ją na jacht przyjaciela.

- Ojej, włóż kamizelkę ratunkową - rzuciła pospiesznie Dorothy, jakby właśnie sobie o tym przypomniała.

Annemieke uśmiechnęła się półgębkiem i odeszła. Wracała do pokoju włożyć sukienkę na ramiączkach Caroliny Herrery.

- Mam nadzieję, że moja obecność nie będzie ci przeszkadzać - powtórzyła raz jeszcze Laurie z poważną miną.



Jan popatrzył jej prosto w twarz, następnie spuścił wzrok na podłogę i zdjął okulary, kręcąc przecząco głową.

- Nie - rzekł szorstko przez ściągnięte usta - nie.

Dorothy zauważyła, jak Laurie rzędzie mina, jak gdyby dochodziła do wniosku, że chyba jednak popełniła błąd. Zerknęła na Billa, który stał przy recepcji, rozprostowując mapę przed dziewczyną za kontuarem, by jeszcze raz sprawdzić trasę. Odwrócił się i machnął do niej ręką.

- Z a r a z przyjdę - oznajmił, po czym wskazał kosz stojący na podłodze przy recepcji. - To nasz lunch - uśmiechnął się, nadymając policzki.

Goście wydali okrzyki zaskoczenia i zadowolenia.

- Za duży skwar na jedzenie - stwierdził George, który zaczął ślinić się na myśl o zapakowanych udkach kurczaka z grilla.

- Dasz radę - rzekła Dorothy. Pozostali wybuchnęli śmiechem. George zdążył już dowieść przy bufecie swych wyjątkowych możliwości. („Nie marnuję jedzenia, jem, co mi dają”, powiedział na swoją obronę.)

Jan odsunął się na bok, włożywszy na nos okulary, zainteresowany broszurkami, które wszyscy przewertowali już przed nim.

## 35

Po godzinie jazdy z przyjemnością wysiedli z samochodu, każdy dorzucił własny powód zadowolenia, tworząc zgodnie radosną atmosferę.

Bill wystarał się o taśmę z największymi przebojami Boba Marleya. Wypożyczony samochód podskakiwał na asfaltowych i nieutwardzonych drogach, stawał dęba za żółtymi lub niebieskimi autobusami i zwalniał zgodnie z tempem wyznaczanym przez komentarze Billa. W ciągu dosłownie kilku sekund potrafili zmniejszyć prędkość

z bezpiecznych sześćdziesięciu mil na godzinę do ślimaczego tempa, gdy tylko jakaś myśl nagle przychodziła Billowi do głowy, kiedy coś pokazywał, wydzierając się na całe gardło, by go usłyszano.

Pochylenie się do przodu było równoznaczne z otarciem się o nogi Laurie siedzącej w środku, pomiędzy nim a Dorothy, Jan zatem wyciągał jedynie szyję, by Bill widział, że słucha go z uwagą. Bill nieustannie wkładał i zdejmował okulary przeciwsłoneczne, stukając tłustym paluchem w mapę, którą George trzymał jak pilot, i wymachując rękoma przy każdym wybuchu śmiechu, a wtedy George krzyczał: „Uwaga!” i kładł obie dłonie na desce rozdzielczej.

Komizm podróży, nieskazitelne słońce i nęcący urok nieskomplikowanej muzyki poruszyły w Janie jakąś strunę. Ogarnęło go nieodparte przecucie, że cała ta scena została wyreżyserowana specjalnie dla niego; akcja, muzyka i przesłanie. Zastanawiał się, czy działo się tak za sprawą nieobecności Annemieke, ale roztrząsał również, z niejakim zażenowaniem, czy powodem nie była przypadkiem bliskość tej Chinki, siedzącej tuż obok.

Bill zatrzymał samochód przy zatoczce i oznajmił, że im się poszczęściło. Bo ta plaża to bez cienia wątpliwości najlepiej strzeżona tajemnica świata.

- Zorganizujemy tu sobie maleńki piknik, ot co - powiedział, przesadnie eksponując swą irlandzkość, obchodząc wóz komicznym krokiem, zadzierając wysoko kolana i odginając je na boki.

Kobiety zaczęły szeptać coś między sobą o strojach kąpielowych, a Bill uciszył je, pokrzykując zza bagażnika.

- Przestańcie gadać od rzeczy o takich drobnych formalnościach, dobry Bóg dal nam wszystko, co potrzebne do pływania, a dla tych, którzy uważają, że nie obdarował ich wystarczająco lub też wyposażył z nawiązką, mam tu własne lekarstwo.

- Za nic nie założę twoich slipów - oświadczyła Dorothy.

Wszyscy się roześmiali. Uzmysłowiwszy sobie, że wyszedł jej żart, czym prędzej poszła za ciosem, jak gdyby miała w ustach pastylkę, której już nigdy nie będzie jej dane skosztować.

- Nie założę, nawet jeśli są czyste.

- Po takiej przejażdżce nie ma szans, by czyjekolwiek niewymowne były czyste - rzekł George. Jan przypomniał sobie, jak jego dziadek opowiadał, że Anglicy lubią dowcipkować na temat majątek. Nie wierzył. Uśmiechał się do Laurie, wspominając dziadka przy kuchennym stole, jak potrząsał głową z załzawionymi od śmiechu oczami, opowiadając jeden z niezliczonych dowcipów o pierwszej wojnie światowej, przed którymi nie potrafił się powstrzymać. Człowiek, którego poczucie humoru ocalało z opresji nie-  
tknięte, który nie wyrażał się o swoich towarzyszach inaczej niż dobrze. Jan uważał niegdyś, że to życiowe doświadczenie nauczyło dziadka takiej wytrzymałości i godności, teraz jednak zrozumiał, że stało się tak za sprawą jego własnego wyboru. Trzon jego charakteru wyciosano z mocnego tworzywa i kierowano nim z wyczuciem i mądrością.

- Co to za lekarstwo, Bill? - zapytał.

- Około pięciu butelek wina i dwie skrzynki piwa.

- Za mało, by nakłonić mnie do paradowania na golas - stwierdziła Dorothy.

- Kiedyś wystarczyło pół szklanki piwa z lemoniadą - przypomniał George.

- Kto usiądzie za kierownicą w drodze powrotnej? - zainteresowała się Laurie.

Popatrzyli po sobie.

- Według moich obliczeń - powiedział Bill, mrużąc oczy i spoglądając w niebo - skoro słońce jest w zenicie, temperatura sięga dziewięćdziesięciu kilku stopni, a ja

pocę się jak wszyscy diabli, piwo będzie neutralizowane przez mój organizm w tempie 0,9 litra na godzinę. To pozwala mi wypijać trzy butelki na godzinę, w sumie, powiedzmy, sześć, zanim stąd wyruszymy.

- Może być tylko lepiej - rzekł George scenicznym szeptem, gdy schodzili za swym gospodarzem na plażę.

- Może powinniśmy poprosić, by wypił dziewięć - powiedział Jan i był zaskoczony, kiedy wszyscy głośno parsknęli śmiechem. Dostosował poważną dotąd minę do okoliczności.

Kiedy już naśmiecili resztkami udek z kurczaka, pogrzebali widelcami w rozmiękłych sałatkach, używając przy tym serwetek i plastikowych kubków jak popadnie, bez zważania na to, kto używał ich wcześniej, położyli się pod drzewem na kocach i ręcznikach, i zaczęli rozmawiać o raj.

- Dla mnie raj to Anglia; latem jest nie do pobicia. Rześka i cudowna - powiedział George.

- Ja lubię wiatr - oznajmiła Laurie - to jest dla mnie raj. W Hongkongu musimy zadbać o niego sami, to jeden z powodów, dla których lubię podróżować.

- A jeśli chodzi o mnie, rajem jest doborowe towarzystwo. Miła rozmowa - rzekł Bill.

- Czyż Sartre nie opisał tego jako piekła? - zauważył Jan i zaczerwienił się, gdy tylko to powiedział.

- Cyniczny skurczybyk - skwitował George, przesu-  
wając z jękiem nogę.

- Ten wasz koleś za mało dawał w szyję - rzekł Bill - jak dwa razy dwa. Mówię to z przekonaniem, choć nie wiem o tym nieboraku absolutnie nic.

- Dla mnie rajem jest przebywanie z rodziną - zadekla-  
rowała Dorothy - bez niej nic nie jest takie, jak powinno. -  
Poczuła się przez chwilę szczęśliwa, gdy podniosła się na  
kocu i popatrzyła na Atlantyk, lecz uśmiech zniknął z jej

twarży, gdy mówiła: - Gdybym nie mogła zobaczyć bliższych, to, gdzie byłam i czego zaznałam, nie miałoby żadnego znaczenia. Wakacje są bardzo przyjemne, rozumiem, dlaczego ludzie znajdują w nich takie upodobanie, no i poznaliśmy urocze osoby - przerwała, głośno wypuściwszy powietrze, z twarzą poczerwieniałą od upału - naprawdę urocze, ale tęsknię za rodziną i mamy to szczęście, że i rodzina wydaje się odczuwać to samo, prawda, George?

Pokiwał głową i przewrócił kubek do góry nogami.

- Sucho - powiedział - ani kropli.

Bill zerwał się, by dopełnić obowiązków gospodarza i zdjął kapsel z kolejnej butelki. Wyciągnął piwo w stronę Jana i rzekł, kręcąc głową z boku na bok:

- Raj. Co to jest raj? Miejsce, w którym dobrze się czujemy albo stajemy się lepsi?

Zapadło krępujące milczenie. Bill szturchnął Jana w ramię butelką piwa, mówiąc:

- Bierz, stary, przemyślisz to sobie w międzyczasie.

Cała gromadka położyła się ponownie obok trzech wysączonych do dna butelek wina i sterty pustych butelek po piwie. George zapadał już w drzemkę, gdy Bill wstał chwiejnie, otrzepując się z piasku, po czym zacieraając dłonie, ogłosił wszem i wobec swój zamiar zakosztowania kąpiel. Ruszywszy ku brzegowi, co kilka kroków zdejmował jakąś część garderoby, aż pozostała czwórka, jedno po drugim, usiadła wyprostowana na kocach.

- On chyba nie...

- Owszem, tak...

Uwolnił się ze slipów i odrzucił je wysoko w górę, za plecy, po czym wskoczył do wody, uderzając brzuchem o powierzchnię.

Kiedy odpłynąwszy dalej od brzegu wynurzył się dla nabrania powietrza, przywitali go brawami. Uniósł ra-

miona w geście pozdrowienia i zawołał jak dorastający chłopak:

- Ju-hu! Ale bosko!

George wstał z uśmiechem przecinającym twarz od ucha do ucha i rozpiął koszulę.

- Nie na widoku - odezwała się Dorothy. - Zrób to tak jak on, nad wodą. Oszczędź nam detali.

George ruszył z kopyta, krzywiąc się na parzący piasek pod bosymi stopami, poruszał się tak lekko, jakby ubył mu lat o połowę, aż wreszcie boleśnie wyginając ciało, to w jedną, to w drugą stronę, zdołał zsunąć do kostek szorty wraz ze slipami. Ponieważ jego biały zadek z czerwonym rowkiem wyglądał jak powiewająca flaga z krzyżem świętego Grzegorza, wszyscy zaczęli pokładać się ze śmiechu, zasłaniając dłońmi to usta, to oczy, podczas gdy Bill cały czas protestował:

- Nie ty, przyjacielu, zapraszamy panie! - a po chwili dodał: - Jeśli wydaje się wam, że widok stąd jest kiepski...

George obejrzał się za siebie, krzyknął: „Lotnik, kryj się!” i wpadł pędem do oceanu, pokonując fale mocnymi nogami, spieniając wodę, przedzierając się naprzód, przełamując bariery pomiędzy sobą a Billem. Już po chwili unosili się razem na wodzie niczym dwaj bracia, z uśmiechami od ucha do ucha, próbując zasalutować sobie nawzajem palcami u nóg.

- Jak to się dzieje, że morze wyzwała w dojrzałych mężczyznach takie zachowanie? - zastanawiała się Laurie.

Zauważyła, że Dorothy ociera twarz serwetką.

- Ależ z niego głupiec - mówiła drżącymi ustami.

- Przyłączymy się? - spytała Laurie. - Nigdy nie kąpałam się nago.

- Nie? - zdziwił się Jan, usiłując sobie przypomnieć, kiedy robił to sam.

- Kiepsko pływam.

- Cóż, ja wcale nie umiem pływać, a w dodatku aż strach na mnie patrzeć - rzekła Dorothy - ale jeśli wszyscy odwrócą się, gdy będę wchodzić do wody, zrobię to, jak słowo daję.

Wobec powyższego Jan zszedł na brzeg i ustalił z mężczyznami, że nie będą patrzeć, mimo protestów George'a, że jemu wolno, i wreszcie wszyscy zaczęli głośno liczyć do dwudziestu, wpatrzeni w morze albo drogę na górze, dając Dorothy czas na zanurzenie się w morzu.

- Gotowe! - powiedziała zdyszczanym głosem. Głowa i ramiona kołysały się ponad powierzchnią wody, gdy starała się utrzymać równowagę na kamienistym dnie.

- Dobrze się spisałaś, złotko - powiedział George, sunąc w jej stronę.

Jan i Laurie spojrzeli na siebie, obserwowani przez większość kąpiącą się w morzu.

- Zdaje się, że nie mamy wyboru - rzekła Laurie.

- Nie. - Jan wstał i w pełnym rynsztunku ruszył ku brzegowi. Przy wtórce powolnego klaskania w dłonie zdejmował poszczególne części garderoby i składał je starannie na plaży, aż został w samych bokserkach. Zanurzył nogi. Pozostali zaczęli protestować, wrócił więc na brzeg, błyskawicznie ściągnął spodenki, zasłaniając nimi genitalia, póki nie zakryła ich woda, po czym odrzucił je na plażę. Przyglądając się, jak bokserki w kropki od Ralpha Laurena przecinają niebo i lądują na kawałku wyrzuconego na brzeg drewna, poczuł przyływ radości.

- Jasna cholera! Bosko - powiedział, czując, jak woda obmywa mu penis i wdziera się między pośladki. Roześmiał się na głos, łaskotany przez fale.

Potem na brzegu stanęła Laurie okrywając się z przodu sukienką, w okularach wciąż jeszcze wciśniętych na czubek głowy, ze związanymi z tyłu włosami i przyczajonym wyrazem twarzy. Upuściła sukienkę i przykucnęła, nie chcąc przekraczać granic przyzwoitości, ochlapując ciało, by oswoić się z wodą.

- Nigdy dotąd tego nie robiłam - oznajmiła zaraz po zanurzeniu. Odbijała się od dna, włosy podskakiwały razem z nią, ręce to niknęły pod wodą, to wynurzały się na powierzchnię, rozbryzgując na boki krople, jakby rozsiewały czarodziejski pył; usta przez cały czas miała otwarte.

Jan stał nieruchomo, przyglądając się całej czwórce, zapisując ten obraz w pamięci jak na kliszy fotograficznej. Sami nieznanymi, w mniejszym lub większym stopniu.

- To szaleństwo - rzekła Laurie, znieczeka przyskając na niego wodą - czyste szaleństwo. Czuję się taka szczęśliwa! A ty?

## 36

Nie było żadnego powodu, dla którego nie miałyby rozpocząć nowego życia, nie mieć tego wszystkiego, co potrafiłyby docenić. Są zamożni mężczyźni, którzy mają brzydkie żony. Amerykanin by jej odpowiadał. Zaczęłyby wszystko od nowa.

Usiadła na burcie; zadarła brodę, wystawiwszy twarz do słońca, czując naprężenie mięśni w okolicy obojczyków i twardość sutków pod zwiewną tkaniną sukienki. Mogła wymyślić siebie na nowo. Jej synowie odnaleźliby się w nowych okolicznościach, jakiegokolwiek by one nie były.

Właściciel jachtu, przyjaciel Jasona, był zaprawionym w bojach mężczyzną w wieku zdecydowanie średnim i o zdecydowanych poglądach. Upierał się przy tym,



upierał się przy tamtym, a ponieważ był gospodarzem, pozostali gadatliwie zgadzali się z każdą wygłoszoną przez niego opinią.

Kapitan popłynął w miejsce, gdzie brały ryby, mężczyźni zebrali się na rufie i obstąpili sprzęt wędkarski, wywierając jeden na drugiego presję, by wziąć udział w zabawie, niecierpliwie wyczekując rozrywki. Nie przywykła do tego, by spychano ją w krąg kobiet, była wściekła, że ten dzień był po części zarezerwowany dla mężczyzn. Jej nie proponowano jednego piwa za drugim, tak jak męskiej części gości, mogła za to częstować się do woli zimnymi napojami ze skrzynki.

Kobiety ją nudziły, dyskutowały o kilku najbardziej wstrząsających zbrodniach wszech czasów. Na lunch podano złowione przez mężczyzn ryby, kobiety nie szczędziły pochwał swym partnerom. Missy oznajmiła, że Jason ma najdłuższą, wszyscy po kolei pokładali się ze śmiechu, by pokazać, że podtekst seksualny nie przeszedł niezauważony. Annemieke czuła się wykluczona. Siedziała w milczeniu, póki sam właściciel jachtu nie poprosił jej między kolejnymi kęsami jedzenia, by powiedziała coś o sobie. Zamierzała zapaść się na terytorium grożącego jej nieuchronnie wdowieństwa, tymczasem udzieliła tylko wymijającej odpowiedzi, przedstawiając siebie z wystudiowaną skromnością jako niewyróżniającą się niczym burżujkę. Lecz Missy wrobiła ją, mówiąc:

- W c a l e nie! Annemieke jest żoną bohatera. Jej mąż wyruszył na całonocną eskapadę w poszukiwaniu starszej pani, która zniknęła z ośrodka.

Z uprzejmym zainteresowaniem, drugorzędnym wobec zaangażowania w spożywanie lunchu, właściciel jachtu uniół swe krzaczaste brwi, patrząc najpierw na Missy, potem na Annemieke, i cmokając przy oblizywaniu palców.

- Oczywiście okazało się, że ta pani choruje na alzheimera - dodał Jason, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Jej mąż powinien gruntownie przemyśleć sprawę, zanim wsiedli do samolotu.

- Wyobrażasz sobie - wtrąciła Missy z uniesioną w górę ręką - kobietę w podeszłym wieku, wędrującą zupełnie samotnie pośród lejącego się z nieba żaru, na obcym terenie, zmierzającą donikąd. To smutne - dodała i popatrzyła na męża z nagłym przejęciem. - Prawda?

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek, lecz najwyraźniej nie dostrzegł w tym nic wyjątkowego, miał bowiem nieobecny wyraz twarzy i nieznacznie potrząsnął głową.

- Widzieliśmy kiedyś pod Charlotte starego mężczyznę idącego poboczem autostrady - zaczęła Beverly - z walizką w rękę. Zwolniliśmy z Joem; przecież nikt nie urządza sobie spacerów po autostradzie, prawda? To było strasznie dziwne. A do tego ta walizka. Kiedy zapytaliśmy go, co tam robi...

- Powiedział, że idzie do domu - wtrącił się jej mąż. - Zapytaliśmy więc, gdzie ten dom, ale on milczał jak zakłęty i po prostu szedł dalej.

- No cóż - ciągnęła Beverly, pozwalając zuchwie opaść na ułamek sekundy - nie mogliśmy, ot tak, odjechać, mówię do Joego: a jeśli on właśnie zwiął z więzienia? Gdybyśmy potem natknęli się na jakąś informację w telewizji czy prasie, zobaczyli jego twarz, nigdy byśmy sobie nie wybaczyli. Człowiekowi przychodzi od razu na myśl Jon-Benet Ramsay i tego rodzaju historie, molestowanie dzieci, pornografia, internet...

- Właśnie - rzekł Joe - musieliśmy zareagować. Zawiadomiliśmy więc policję i śledziliśmy go z jeepa, póki nie przyjechała. Awanturował się, staruszek, próbował ich przegonić.

- Szkoda, że go nie widzieliście, ogolony byle jak, li-che ubranie. Biedaczysko, musiał być naprawdę wieko-wy. Zawsze powtarzam, dobij mnie, jeśli dożyję takiego stanu...

- A ja zawsze na to odpowiadam, że nie mam zamia-ru wyładować przez ciebie w pace, kochanie - położył rękę na jej dłoni.

Inni się roześmiali, puszczając w obieg surówkę z ka-pusty i ziemniaki, które przygotował kapitan.

- Chorzy umysłowo są prawdziwym zagrożeniem... - zaczął właściciel. - Jestem w zarządzie, nie pytajcie tylko, jakim cudem, zakładu psychiatrycznego w Maine i nawet sobie nie wyobrażacie, co personel musi tam znosić. Praw-da jest taka, że brakuje miejsc, w których można by ich po-zamykać. Niektórych przyjmują więzienia, ale pękają one w szwach od narkomanów. Skąd wytrzasnąć wystarczającą liczbę miejsc, by odizolować wszystkich tych, których nie możemy z całą odpowiedzialnością włączyć do naszego społeczeństwa? Oto zagwozdka. Nasi przyjaciele z Europy jej nie rozwiązali, obowiązek ten spada zatem na nas. To nie lada problem, a w dodatku - szalenie kosztowny. - Ko-łysał głową z boku na bok, przytłoczony ciężarem sprawy.

- Ten stary mężczyzna idący donikąd, wciąż mam go przed oczami - powiedziała Missy.

- Który poszukuje własnego domu... to ma wy-dźwięk symboliczny - dodała z trudem. - Jason skinął na kapitana, który napelnił wszystkie kieliszki, poczynaj-ąc od Missy, ponieważ Jason dał do zrozumienia, że dobrze jej to robi.

- Może chciał tam dokonać żywota - snuła domysły Beverly.

- Może - zawtórowała jej Annemieke, korzystając z okazji do zabrania głosu - zwierzęcy instynkt. Oczywiście niektórzy przed nim uciekają. Na przykład Jan. -

Odwróciła wzrok, popatrzyła w morze. Zapadło krótkie milczenie.

- Mąż Annemieke jest bardzo ciężko chory - wyjaśniła Missy.

- Przykro słyszeć - rzekł właściciel jachtu, chwytając kawałek bagietki i rozrywając go zębami. Annemieke omiotła go spojrzeniem. Miał opaloną skórę, krótkie, dobrze ostrzyżone włosy, ciało, nagie od pasa w górę, można było porównać do znakomicie utrzymanej posiadłości, ale oczy były pozbawione wyrazu. Spuściła wzrok na rybie zwłoki na stole.

Wstała uprzątnąć talerze, lecz powstrzymał ją kapitan, który przyskoczył do niej z rufy łodzi.

- To zadanie dla mnie - powiedział, usiadła więc sam na sam ze swymi myślami; podczas gdy inni zajęli się własnymi rozmowami, Annemieke przeniosła się do wspomnień z dzieciństwa swoich chłopców.

Przypominała sobie, jak czytała im bajki, przytulonym do niej z obu stron, jak czuła dotyk ich delikatnej jak nubuk skóry, usta przyciśnięte do jej policzków, macezyny głos dojrzewający w jej piersi. Rozpamiętywała, jak każdy rok przynosił trzy lub cztery ulubione opowieści, które musiała czytać w nieskończoność, zapamiętała ich kolejność: *Piernikowy ludzik*, *Żabi król*, *Rumpelstiltskin*. Przypomniała sobie ostatnie żądanie króla: jeśli do rana uprzędiesz z siana złoto, nazajutrz zostaniesz moją żoną. „Był chciwym człowiekiem”, mówił Marcus za każdym razem, a ona kiwała głową. Utwierdzała ich w słuszności tych przekonań.

- Macie ochotę popływać? - spytał kapitan, wystawiając głowę znad schodów. - Za pięć minut dopłyniemy do przyjemnego, spokojnego miejsca, idealnego na kąpiel, tuż obok zatoki. - Była trzecia po południu.

- Kiedy wracamy?

- Około piątej.

Wchodząc na dach jachtu, zauważyła wyciągniętych, zażywających słonecznej kąpieli Amerykanów. Właściciel siedział obok Missy i rozsmarowywał na jej plecach olejek.

### 37

Kiedy tylko Jan myślał o Karaibach, widział w wyobraźni głęboką, lepką akwamarynę morza i niebios. W Belize leżał i obserwował formacje chmur, które przybierały nieprawdopodobne kształty, mapy krajów, unoszące się w powietrzu gigantyczne marliny z rapierami w pyskach, wskazówki i znaki pośród falbanek boskiego łoża. Nie szukał odpowiedzi na belgijskim niebie, które niemal każdego dnia zasnuwane było niemą szarością. Lecz na Karaibach, gdzie morze i niebo dzielą świat między sobą, ziemia jest ukłonem złożonym przez morze. Motto dnia zapisane jest w górze, aby wskazywać ludziom drogę.

Jan leżał na piasku wciąż jeszcze nagi, spodenkami przykrył intymne części ciała, wpatrywał się w niebo jednym przymrużonym okiem.

Gdy usiadł, zobaczył, że z morza wynurza się Laurie: idąca pewnym krokiem, ociekająca diwa, która zmierza prosto w jego stronę. Trwoga ścisnęła mu żołądek. Usiadła obok niego, odcisnęła na karku wodę z włosów, a wtedy kątem oka dostrzegł jej piersi, miękkie, wilgotne. Obawiał się samego siebie i kilkakrotnie odchrząknął.

- To jest raj! Raj doczesny! - wrzeszczał z morza Bill, podskakując jak Neptun.

- Rzeczywiście, prawda - rzekła Laurie, a Jan na moment zmarszczył czoło, słysząc to osobliwe wyrażenie wypowiedziane hongkońskim angielskim - myślę, że niebo nie istnieje, że naszym zadaniem jest stworzyć je sobie na ziemi, za życia.

Uśmiechnął się i patrzył prosto przed siebie, skupiając uwagę na Billu, jak na dziecku narażonym na niebezpieczeństwo podczas morskiej kąpieli. Przypomniał sobie, jak o niej marzył.

- Jesteś piękna, Laurie.

Zareagowała uśmiechem, przekrzywiwszy głowę, w jej oczach i ustach czaiło się pytanie - potem zamarło, uciszone rodzącym się zrozumieniem. Jej pierś unosiła się kilkakrotnie i opadała, lecz mina pozostała niewzruszona. Nim zdążyła otworzyć usta, Jan odezwał się znienacka:

- Pomożesz mi? - Zawahał się. - Nie wiem, co chciałem przez to powiedzieć.

Kłęcząc przed nim, objęła palcami jego nadgarstek i odwróciła delikatną, wewnętrzną stronę z wyraźnym rysunkiem żył do góry. Spojrzała, podniosła do ust i pocałowała.

- Dziękuję - powiedział, czując jak mieszanka słońca z piwem bombarduje jego klatkę piersiową.

### 38

- No, Bill, zdecydowanie zapewniłeś nam trochę rozrywki. Tego było nam trzeba - rzekł pogodnie Jan, gdy dołączył do nich ociekający wodą Bill, by wytrzeć się i założyć z powrotem krótkie spodenki.

- Racja. Wczoraj towarzystwo było spięte. Dlatego chciałem się wyrwać. Dziś wieczorem będą drażliwi, a do tego bez wątpienia spieczeni na raka. - Popatrzył na słońce i westchnął z przyjemnością, opróżniając butelkę piwa.

- Moja żona twierdzi, że jesteś chrześcijaninem; z grupy odnowy ewangelicznej.

- A wyglądam na chrześcijanina?

Laurie osłoniła dłonią oczy przed promieniami słońca, by spojrzeć na Billa.

- Każdy może wyglądać na chrześcijanina - stwierdziła.

Bill usiadł, podciągnąwszy spodnie.

- Faktycznie, jestem chrześcijaninem.

Jan pokiwał głową.

- Cóż to oznacza? - zapytał, po czym dodał: - Nie chciałbym wyjść na gbura. Byłem wychowywany w wierze katolickiej, podobnie jak moja żona, ale raczej nie określilibyśmy siebie mianem chrześcijan.

- Katolicy, protestanci, muzułmanie... - powiedział Bill. - Widzisz, całe to chrzaniecie tylko mnie zniechęca. Mam własny stosunek... Nie ośmieliłbym się wypowiadać na temat wiary wyznawanej przez innych.

- Ale co to oznacza dla ciebie?

- Powiem ci. - Przerwał na krótko, kontemplując morze. - To znaczy, że staram się stawiać Boga w centrum wszystkiego, co robię, czuć Jego obecność, nawet w tej chwili. Czasem człowiek jest tak przytłoczony, że albo nie umie, albo nie chce zrobić dla Niego miejsca, a innym razem czuje się jak lekkoduch i zapomina. Ciągłe ponosimy porażkę i właśnie to podnosi mnie na duchu, że ciągle nam się nie udaje.

Laurie wyprostowała nogi i wystawiła twarz do słońca. Jan pochylił się do przodu, wzburzony i wstrząśnięty, jakby wygłodniały.

- Skąd taka pewność? Ja nie miałem jej nigdy, nawet jako dziecko.

- Cóż, z każdym jest przecież inaczej. W moim wypadku stał się cud.

Jan nagle spochmurniał. Boskie oblicze na pomidorze, krzyż w przekrojonym ziemniaku, relacje o cudownych uzdrowieniach w Lourdes, nadzieje matek chorych dzieci, kobiet, którym modlitwa może zdać się na tyle samo co pobożne życzenia.

- Moja żona, Jerry, no, jak mam wam o tym opowiedzieć... - Bill głośno przełknął ślinę. - Zacznijmy od sprawy najistotniejszej. Ja, urodzony nieudacznik. Jerry, cierpiąca bez słowa skargi, pełna nadziei. Wierząca, że przestanę pić. Teraz mogę pić i poprzestać na jednym czy dwóch kieliszkach, ale wcześniej nie potrafiłem powiedzieć sobie: dość. Byłem i wciąż jestem przykładem człowieka zepsutego do cna. Mogę powiedzieć z ręką na sercu, że dawniej nie zrobiłbym ani jednego dobrego uczynku, ot tak, bez żadnych zobowiązań. Ludzie w swej życzliwości ciągnęli mnie za sobą albo ja sam objąłem się między ludźmi, którzy kierowali się jak najlepszymi intencjami, i sądziłem, że to ja sam o sobie decyduję. Wyjechałem z Belfastu jako chłopiec, wraz z moją owdowiałą matką, do Południowej Afryki, i niech ją Bóg ma w swej opiece, ciągnęła mnie za sobą przez całe swoje życie.

Mądra była z niej kobieta. Zakończyła edukację, kiedy była już ze mną w ciąży, wychowywała mnie i uczyła angielskiego na Queen's University w Belfaście, utrzymując nas dwoje za marne grosze. Kiedy zmarł ojciec - był od niej dużo starszy - przyjęła propozycję nauczania na Uniwersytecie Johannesburgskim, dorastałem więc w Południowej Afryce od piętnastego roku życia. To ona miała lotny umysł, ja ledwie umiałem policzyć paluchy na swoich tłustych łapskach, chociaż wydawało mi się, jak większości nastolatków, że ze mnie alfa i omega.

Uczyła cały boży dzień, rano białe dzieciaki, a wieczorami szła do getta i uczyła znowu, tym razem dzieci czarnych. Była dobrą kobietą, niech Bóg jej błogosławi. Jej jedyną słabością była nostalgia za Zjednoczonym Królestwem. W późniejszych latach pasjami przeglądała magazyny ze zdjęciami rodziny królewskiej. Nie piła, chyba że kieliszek od czasu do czasu, nie paliła, a jeśli kiedykolwiek miała innego mężczyznę, ja o tym nie wie-



działem. Nie przypominam sobie z jej ust żadnych mądrości, których można by się spodziewać po nauczycielu akademickim, ale z całą pewnością nie usłyszałem od niej niczego głupiego, a to w perspektywie całego życia nie mało. No a ja, przeciwnie, bez przerwy miałem ozorem!

Pracowałem dla niewielkiej firmy instalującej zabezpieczenia antywłamaniowe na oknach i drzwiach. Szczęście mi sprzyjało, w latach siedemdziesiątych, kiedy stawałem w branży pierwsze kroki, było spore zapotrzebowanie, a ja pewnego dnia przepisałem do notesu nazwy wszystkich dostawców i części klientów, w następnym roku zaś rozpocząłem działalność na własną rękę za pieniądze mamy. Kupiłem furgonetkę, miałem do pomocy gościa z plemienia Nkosa, który pracował za parę groszy, wędrowaliśmy od drzwi do drzwi. Cmokając i mlaskając, strasząc czarnoskóre gosposie. Gdy trafialiśmy na Zuluskę, opowiadaliśmy, jak to te porąbane sukinsyny z plemienia Nkosa mogą włamać się do domu, a gdy trafialiśmy na Nkosa, gadaliśmy, jak to Zulusi wtargną i zadżgają ją w łóżku. Oczywiście powtarzały wszystko swoim paniom i wręczały im moją wizytówkę. Jeśli w domu był już system antywłamaniowy, przekonywałem, że jest niewystarczający, a jeśli nie, wpajałem im nową wiarę. Sialiśmy strach. Miałem z dziesięć furgonetek opatrzonych moim nazwiskiem, którymi ekipy instalatorów krążyły po całym Sandton. To przedmieście Johannesburga. Nie uświadczysz tam domu, który nie byłby fortecą. Moja robota, w przeważającej mierze.

Byłem alkoholikiem. Pić zacząłem już jako nastolatek. Po zajęciach odwoziłem mamę do domu, a sam jechałem na prowincję i chlałem, z kim popadło, z Afrykanerami, z Anglikami, było mi wszystko jedno, a potem, kiedy w wieku dwudziestu paru lat miałem już własną kasę, stałem się bożyszczem, stawiałem kolejkę za kolej-

ką to w jednej, to w drugiej parszywej spelunie. W pracy ustawiłem sobie barek i zaczynałem dzień od solidnej szkockiej. Trzymałem też butelkę w schowku w samochodzie. Kiedy zatrzymywała mnie policja, siedziałem za kierownicą grzeczny i uczynny, z flaszką w rękach. „Rany, panie władzo, wystraszył mnie pan, że hej, słowo daję, aż musiałem golnąć sobie ociupinę”. Tym sposobem nie mogli się zorientować, jak świeży jest zapach alkoholu. No i kilka razy poskutkowało. Ale przeważnie mieli to gdzieś.

Romansowałem z gorzałą. Chyba nie istnieje alkohol, którego bym nie próbował. Piłem nawet te paskudztwa, które produkują dla dziewczyn, młodych i tych podstarzałych, likiery czekoladowe i takie tam. Kosztowałem wszystkiego. Nie znosiłem pić do lustra. Kiedy miałem już własny dom, zorganizowałem w jednej części salonu bar. Miałem trunki z górnej półki, i środkowej. I dodatki do drinków prosto z kraniku. Nad półkami powiesiłem flagę brytyjską i oprawione w ramki fotografie królowej. Och, mama uwielbiała napić się przy nich kapkę sherry. No i urządzaliśmy tam przyjęcia. Sami ekspatrianci, byli Rodezyjczycy, południowoafrykańscy Anglicy, same stare moczymordy. Użyliśmy się na amen, puszczałyśmy wojskowe marsze i piosenki pubowe. Kończyło się tak, że chwytałyśmy się baru, próbując utrzymać się na nogach przy hymnie narodowym, mężczyźni nieudolnie salutowali, kobiety płakały.

Moją dziewczynę, Jerry, poznałem przez znajomego, który przyprowadził ją do baru. Przyjechała prosto z Rodezji po nieudanym małżeństwie. Czterdzieści lat, atrakcyjna. Ja powoli dobiegałem czterdziestki i byłem spasionym przygłupem. Przez większość czasu zalany w trupa. Mimo to wprowadziła się do mnie i pomagała w biurze. Rano doprowadzała mnie do porządku szkła-

neczką ginu. Bo z samego rana byłem trzęsącą się jak galareta kupą nieszczęścia. Potem zaczęła nagabywać mnie, żebym zerwał z nałogiem. Trudno ją winić. W ciągu dziesięciu lat wspólnego życia kilka razy omal jej nie zabiłem. Zdarzało się, że urywał mi się film za kierownicą. Byliśmy kiedyś w Drakensberg Mountains, a ja zasnąłem. Jerry chwyciła za kółko w samą porę, obudziłem się, wcisnąłem hamulec, jedno koło wisiało już na skraju przełęczy. Jerry piła niewiele. Dzięki Bogu, że chociaż jedno z nas nie nadużywało. Ciskała gromy, wymyślała mi, wytykała, że jestem zapomnianym przez Boga i ludzi takim i owakim, odchodziła, ale zawsze wracała. Ponieważ jej potrzebowałem, błagałem, żeby wróciła. Była wspaniałą kobietą, lecz ja doprowadziłem ją do obłądu. Ona naprawdę pragnęła mnie ocalić. Ogołiła do zera swoje piękne długie włosy, żebym oprzytomniał. Wzięła moją maszynkę elektryczną i zostawiła sterkę włosów na podłodze. Wszedłem do domu i pomyślałem, że włamał się do nas jakiś nonszalancki łysy drań, który siedzi sobie beczelnie na mojej kanapie i wygląda przez okno na ogród. To była ona. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Smugi tuszu na twarzy. Gospościa sterczała z miotłą w ogrodzie, nie mając śmiałości wejść do środka. „Czy teraz przestaniesz?“, spytała mnie, „przestaniesz?“ Powiedziałem sobie, dziewczyna zwariowała, będę musiał wziąć ją w opiekę. Jak już mówiłem, w życiu nie uczyniłem niczego dobrego z własnej i nieprzymuszonej woli. Liczyłem się tylko ja. I moje potrzeby. Jasne, że od czasu do czasu dawałem jej dziewczynkom, to znaczy córkom Jerry, parę groszy, ale tylko po to, by zatrzymać ją przy sobie. Moja mamusia zmarła i wystawiłem jej piękny nagrobek, ostentacyjny, jak grobowiec, ale zrobiłem to dla siebie, bo ona by czegoś takiego nie chciała.

W wieku czterdziestu sześciu lat dostałem ataku serca. Powalił mnie, kiedy tuliłem się do gładkich ścianek miłości mojego życia, tego przeklętego baru. Szkoda, że nie widzieliście, w jakim byłem wtedy stanie. Wyglądałem jak monstrum, byłem ze dwa razy potężniejszy niż obecnie, nie mogłem zmieścić się do normalnego samochodu, co zresztą mi nie przeszkadzało, bo jeździłem luksusową limuzyną. Nie mogłem pokonać więcej niż kilka schodów bez zatrzymywania się dla otarcia potu i nabrania powietrza w rżące płuca. Błagała mnie, kiedy wyszedłem ze szpitala, żebym potraktował chorobę jak ostrzeżenie. Wyrzuciła alkohol i przerobiła pub na bar z sokami. Niech ją Bóg błogosławi. Kochanie, dziś rano będzie papaja z imbirem, mówiła, czy wolisz zmiksować sok pomarańczowy z marchewką?

Śmiał się i śmiał, aż wreszcie Jan i Laurie mu zawtórowali. George i Dorothy znowu pojawili się w ich polu widzenia; spacerowali boso brzegiem morza w na pół przemoczonych ubraniach. Dorothy przytrzymywała podwiniętą spódnicę, najwyraźniej niosąc w niej kolekcję muszli. Bill do nich pomachał.

- Eh, była istnym cudem. Moim życiem - westchnął głęboko, aż zafalowała mu pierś - dała mi wszystko. - Przymknął na chwilę powieki. - Wróciłem do alkoholu. Przedstawiam wam krótką wersję tej historii. Dostatecznie trudno jest znieść to choćby w skrócie. Znikałem to tu, to tam na całe popołudnia. Ignorowała to przez tydzień, bo nie chciała tego widzieć. Potem musiała spojrzeć prawdzie w oczy, kłóciliśmy się. Uderzyłem ją. A następnego dnia, kiedy oprzytomniałem, zastałem ją leżącą na podłodze w łazience. Apteczka była otwarta, wieczka buteleczek z pigułkami poodkręcane, postarała się, najlepiej jak umiała, dołożyła wszelkich starań, by już na pewno nie wrócić z tamtej drugiej strony.

Jan popatrzył na Billa, a widząc jego twarz mokrą od łez, które płynęły nieskrępowanie, wbił wzrok we własne stopy.

- Miała płukanie - ciągnął Bill - zrobili jej płukanie żołądka, owszem, ale było już za późno. Spałem mniej więcej do jedenastej, a powiedziano mi, że pigułki zażyła nad ranem. Znała mnie jak zły szeląg, wiedziała, że nie ocknę się wcześniej niż w porze lunchu, moja pijacka przewidywalność doprowadziła ją do śmierci.

Jan zaczął coś mówić, ale Bill przystopował go dotykaniem ręki.

- Byłem z nią na szpitalnej sali, kiedy umierała, a wiedząc, że odchodzi, że słabnie rytm serca na monitorze, słysząc, jak gaśnie oddech, siedziałem i gadałem jak najęty, jak to będzie mi jej brakowało, jak to nie będę umiał bez niej żyć i tak dalej, i tak dalej, aż wreszcie dotarło do mnie: a co z nią? Ty wielki, spasiony sukinsynu, co z nią? I przypominając sobie jej zamięłowanie do piękna tekstów biblijnych, powiedziałem sobie: zrób coś dla niej. Wziąłem Biblię do ręki, otworzyłem na psalmach i zacząłem czytać, a potem poprosiłem Boga o pomoc, nie dla siebie, lecz dla niej, ponieważ ona wierzyła. Nie umiałem się modlić, mówiłem więc własnymi słowami, prosiłem na głos, by Bóg pokochał ją bardziej, niż kochałem ja. Nagle do pokoju zajrzało słońce, snop światła przesunął się po dolnej części jej twarzy, jak gdyby sam Pan pochylił się nad nią i ją pocałował, światło wędrowało powoli, pieszcząc jej ciało. Rozglądam się po pokoju, widzę okno, które jest tylko maleńkim prostokącikiem, a na zewnątrz szarość, bo wszędzie wokół nic, tylko wysokie szpitalne zabudowania. Jak jakiś dureń obracam się, obracam się, chcąc zobaczyć, skąd dochodzi to światło, i słyszę za drzwiami głos na szpitalnym korytarzu, jakiś człowiek przechadza się tam i z powrotem, powtarzając

w kółko „Jezus Chrystus” i nie sposób zorientować się, czy modli się, czy przeklina, lecz ten głos jest przesycony immanentnością, jakby ten człowiek znajdował się o krok od Boga. Pan wziął ją ode mnie i przyjął prosto w swe ramiona, i dopilnował, by dokonało się to na moich oczach, bym zrozumiał.

- Stał się cud - dodał po chwili milczenia - byłem ateistą, a nagle uwierzyłem.

- Proście, a będzie wam dane... - rzekła Laurie. - Tak, pamiętam.

### 39

Steve Burns karmił na molo ryby, czekając na powrót Amerykanów. Nadzorował również wysiłki swojego personelu, który montował stoły na wieczorne *barbecue* na plaży. Ryby kotłowały się w wodzie, rozpychały się, chcąc dorwać się do kawałków białego chleba, jak sardynki w przezroczystej plastikowej kopułce - durnostojce.

Nieistotne, czy ma się świetne albo nawet zupełnie wyjątkowe pomysły, liczy się, by było ich dużo i żeby kilka z nich udawało się przekuć w czyn, dumał. Wykorzysta tę myśl na spotkaniu pracowników. Porzucił karmienie ryb, upuszczając do wody całą bułkę od hot doga. Weźmy na przykład dzisiejszą imprezę, sam fakt, że się odbędzie, to już coś. Goście wydawali się jacyś niezadowoleni, nie potrafili się odprężyć. Musiał dostarczyć im rozrywki, co rzadko okazywało się potrzebne. Minął go chłopak z wiaderkami pełnymi owoców, jego śladem podążał drugi i zbierał z plaży ananasy i mango, które wypadły z kubelka na piasek. Między koncepcją a realizacją rozciąga się przepaść. Pomyśleć tylko, jak niewiele brakowało, a wszystko wzięłoby w łeb. Nie zdołali znaleźć wystarczająco długiego kabla, by podłączyć gramofon, musieli więc

zastąpić go wielkim przenośnym radiomagnetofonem i zaranżować party w klimacie imprezy dla bosych nastolatków w obszarpanych dzinsach. Przemówi to do jego siwiejącej klienteli, budząc nostalgię za młodością. Za tańcami na plaży, obcałowywaniem się na wydmach, budzeniem się przy szumie fal przyboju; bez portfela i z cudzymi majtkami w kieszeni... Uśmiechnął się na wspomnienie dojrzwania, w którym nie przeżył niczego podobnego. Jego własne przebiegało adekwatnie do nastroju, jaki mogła stworzyć butelka cydru na boisku i sztach z cudzego papierosa w szkole albo szklanica koktajlu i tabletki kwasu na polibudzie. Nie mógł doczekać się, kiedy wyrwie się z tego całego bagna, do kurwy nędzy.

Jacht dobijał do mola, kapitan stał na dziobie z gotową do rzucenia liną, by wreszcie zacumować łódź. Gestem ręki dał Steve'owi znak, by przywiązał ich do kei, zatem Steve rzucił się wykonać polecenie, ledwie jednak zaczął okręcać cumę, kapitan zeskoczył i zniweczył jego dzieło, robiąc wszystko po swojemu.

- Udane popołudnie? - spytał Steve, podając rękę. - Steve Burns, menedżer hotelu.

Kapitan łypnął na niego okiem, skinął głową bez cienia zainteresowania i ponownie wskoczył na pokład. Amerykanie sprawiali wrażenie bardzo zmęczonych, tylko Holenderka szykowała się do zejścia na ląd. Mocno przytrzymała ramieniem torebkę, zmarszczyła brwi na widok szczeliny pomiędzy łodzią a mołem. Wyciągnął do niej rękę.

- Hmm, bardzo pan miły - rzekła, uśmiechając się zniecierliwie - bardzo miły. - Jej dłoń była sucha i mocna. Pomyślał o dziewczynie, z którą całował się po raz pierwszy w życiu, miała takie same dłonie i twarde, beznamiętne usta. Harriet. Nawet teraz pamiętał jej imię. Nie lubił jej. Stara dusza, stare ciało, nos wiecznie zwieszony na kwintę, i to w wieku czternastu lat.

- Serdecznie witamy - powiedział z kabotyńskim uśmiechem, najlepszym, na jaki było go stać, widząc za plecami Holenderki trzymających się za ręce Jasona i Missy.

- Ahoj!

- Z rybami dość krucho - oznajmił Jason, mierząc Burnsa wściekłym spojrzeniem, gdy ten wyciągał do Missy oba ramiona. Wychylił się zbyt mocno, stracił równowagę, wsparta o burtę stopa ześlizgnęła się i Burns nagle runął przed siebie, Missy zaś się zachwiała. Mąż schwycił ją za ramiona i wciągnął na pokład.

- Chryste Panie! - wrzasnęła.

Burns z przyciśniętym do burty policzkiem chwycił się krawędzi łodzi, rozpościerając ramiona, i odzyskał równowagę.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest - powiedział pośpiesznie, wygiąwszy w łuk plecy, i stopniowo wycofywał się na brzeg, przesuwając ręce w stronę mola. - Proszę się nie martwić, wszystko w porządku.

- Nie sądzę, by przejmował się akurat panem - wtrąciła Holenderka.

Jason z uwagą przyglądał się żonie.

- Wszystko w porządku, skarbie? - skinęła głową. - Ty pieprzony idioto, mogło dojść do wypadku!

- Najmocniej przepraszam - rzekł Burns z obolałą szczęką, ale zacisnął zęby, by jej nie dotykać. Tak trzeba. Dzielnie tkwić na posterunku, pomóc wszystkim zejść z jachtu, lekko potraktować całe zajście, wydawało się jednak, że uczynił coś, czego nie sposób było naprawić. Przypomniał sobie oburzenie matki Harriet, kiedy zjadł u niej na urodzinach ostatni kawałek tortu, pochłonąwszy wcześniej swoją porcję, nieświadom faktu, że zarezerwowano go dla solenizantki. „Okropny z ciebie łakomeczuch”, powiedziała rozdrażniona, „wstrętny obżartuch”.



Odwrócił się na pięcie i ruszył plażą ku prowadzącym do hotelu schodom.

## 40

Annemieke przywitała Jana w hotelowym pokoju gorzkim milczeniem. Po chwili zapytała, czy dobrze się bawił - z chińską lady. Odparł, że dobrze; że chińska lady była czarująca, podobnie jak cała reszta. Spędzili cudowny dzień. Przemilczał kąpiel na golasa. Spytał, jak jej minął dzień. Wzruszyła ramionami.

- O wpół do ósmej rozpoczyna się *barbecue* - oznajmiła.

- Świat się nie zawali, jeśli się spóźnimy - odparł, dostrzegając książkę na stoliku przy drzwiach balkonowych, hotelową Biblię dobrze ukrytą pod okładką *From Down to Decadence: 500 years of Western Cultural Life* Jacquesa Barzuna. To naprawdę głupie, ale słowa Billa poruszyły go. Dotychczas usiłował brnąć przez Biblię po kolei; teraz wpadł na pomysł czytania na chybił trafił, gdziekolwiek księga się otworzy. Coś w rodzaju rosyjskiej ruletki, w której ma się nadzieję na wygranie życia wiecznego.

- Dla mnie to ważne. Chcę pójść. Ty spędziłeś całutki dzień nad morzem, a tymczasem ja tkwiłam na pokładzie jachtu. Gdybym wiedziała, że wybieracie się wszyscy na plażę, pojechałabym z wami.

- W zasadzie nie mieliśmy tego w planie. Tak wyszło. - Zirytował ją albo jego tęskny ton, albo fakt, że wziął do ręki księgę.

- Nawet nie zapytałeś, jak minął mi dzień.

- Zapytałem - odparł.

- Wcale nie.

Było to absurdalne, chciał się roześmiać, zorientował się jednak, że tylko głębiej wbiłby cierń w zwierzęcą stronę jej natury.

- Pewnie gapiliście się we trzech, jak rozbiera się ta Chinka, aż oczy wychodziły wam z orbit.

Nie zareagował.

- Masz szczęście, że nie pojechałam. Ona jest z Bilem czy wolna?

- Myślę, że wolna.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz robić, co chcesz.

- No a ty, znalazłaś sobie jakieś miłe towarzystwo? Opowiesz mi o rejsie?

- Nie ma nic do opowiadania - rzekła. - Twoja żona odstawała od towarzystwa. Wszyscy inni byli w parach. Czulałam się, jakbym była już wdową.

- Annemieke.

Pozwolił jej pierwszej wziąć prysznic, a potem, kiedy stał pod strumieniem wody, słyszał dobiegające z pokoju okrzyki frustracji towarzyszące wybieraniu stroju. Ponownie weszła do łazienki, ciągle jeszcze w bieliznie, zmyła z ust szminkę i wypróbowała inny kolor. Kiedy włożył palce do uszu, odniósł wrażenie, że woda go pochłania; pozwolił spływać jej po twarzy. Otworzywszy oczy, ujrzał przed sobą Annemieke kompletnie ubraną, w luźnej sukience i dobranych do niej pantoflach na obcasach.

- Buty się nie nadają - stwierdziła.

- Nic im nie brakuje. Wyglądasz znakomicie.

- Buty się nie nadają. Obcasy ugrzęzną w piasku. - Wyszła do pokoju.

- Wydarzyło się dziś coś zabawnego - powiedziała, gdy z łazienki wyłonił się Jan. Siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, przyglądając się, jak wdziewa białą jak zwykle koszulę z długim rękawem i granatowe spodnie do ko-

lan. - Mendżerowi wymsknęła się z rąk żona tego Amerykanina, Missy, gdy pomagał jej wysiąść z łódki.

- Nic się jej nie stało?

- Oczywiście, że nic. Ale wiesz, jakie są Amerykanki, narobiła straszego szumu.

- Była w szoku.

- W szoku to mógł być pan Burns. Uderzył się twarzą o burtę.

- Musiało boleć - stwierdził Jan, siadając obok, by wciągnąć skarpetki.

- Amerykanin wyzwiał go od pieprzonych idiotów.

- Mocne słowa.

Annemieke roześmiała się i przytuliła dłoń do jego policzka. Odczuł ulgę. Siedzieli obok siebie, Jan położył rękę na jej kolanie i nie cofał, by uspokoiли się oboje. Annemieke trzęsła się ze śmiechu, on tylko drżał.

Wieczorem ekipa Billa zgotowała Annemieke ciepłe powitanie. Częstowali się na stojąco jedzeniem ze szwedzkiego stołu i dowcipkowali, że posiłek jest skomponowany i zaaranżowany nieco inaczej niż ten, który spożyli wcześniej. Były noże i widelce, kieliszki, pieczone na grillu mięso i owoce morza.

- Wciąż mięso i mięso - rzekła Annemieke, zerkając na talerz Jana. - To z pewnością ci nie służy. Ja wolę prostsze jedzenie.

- Miło widzieć cię w ubraniu - powiedziała Dorothy do Billa.

- Komu *chipolata*? - zapytał George, wymachując małą kiełbaską nadzianą na widelec. Roześmiali się.

- Oj, nic więcej do szczęścia nie potrzeba - powiedział Bill.

Annemieke ostentacyjnie odstawiała talerz.

- Straciłam apetyt - oświadczyła, odwracając w bok głowę i przymykając powieki. Jan obrzucił ją spojrzeniem, następnie przeniósł wzrok na Billa. Uśmiech Billa przygasł na chwilę, po czym powrócił, ale tylko po to, by zaraz zniknąć. Jan wbił wzrok w talerz, by pozwolić mu swobodnie się zrehabilitować.

Odezwała się Chinka.

- Jak było na łódce, Annemieke?

- To nie łódka, lecz luksusowy jacht, przepięknie urządzony, w tym wypadku cała tapicerka w beżowej skórze, z małą załogą. Zjedliśmy wyśmienity lunch. Popiliśmy wino, opalaliśmy się. Gawędziliśmy o tym i owym. Było bardzo elegancko. Te jachty kosztują setki tysięcy dolarów, nie wspominając już o kosztach cumowania i utrzymania. Kolejne tysiące. Załoga i catering! Bywałam już na takich, więc dla mnie to żadna nowość. Mimo wszystko - robią wrażenie.

Laurie pokiwała głową i zaczęła mówić:

- W Hongkongu...

Ale jej przerwano.

- Więc i ty przyłączyłaś się do kąpeli nago? - spytała Annemieke, patrząc na nią uporcezywie. Chinka zarumieniła się.

- Kąpaliśmy się wszyscy - wyjaśniła.

Annemieke rzuciła Janowi spojrzenie.

- No, no. Cóż za aktywność.

Wiedział, co sobie myślała. „Chory z urojenia”. Miała taką minę, jakby czuła się oszukana.

- Allo, allo - Adam dobił do nich chwiejnym krokiem, wesolutki jak szczygieł. Nalega, oznajmił, na porwanie jednej z pań do tańca.

Laurie z poczuciem humoru pozwoliła zaciągnąć się na brzeg oceanu, gdzie kilka osób płaśało w takt reggae.

- Ktoś tu wypił kilka głębszych - skonstatował George, patrząc, jak się oddalają. - Ciekawe, co on dzisiaj robił.

Adam podskakiwał w wodzie, okrążając Laurie, wprawiając ją w konsternację swymi nieokrzesanymi ruchami, radośnie pokrzykując i zachęcając, by przyłączyła się do zabawy.

- Prawdę mówiąc, mam trochę w czubie - przyznał, gdy zwrócił Laurie towarzystwu.

- Synu, co ty piłeś, strasznie od ciebie cuchnie - powiedział George, odsuwając się od niego.

- Eh, zapytaj raczej, czego to ja nie piłem - odparł Adam, puszczając oko.

- Nie musisz się wydzierać, nie jestem głuchy jak pień - powiedział zde gustowany George. Dorothy położyła mu dłoń na ramieniu.

Chwyciwszy za rękę Annemieke, Adam pociągnął ją do tańca. Widząc, że Amerykanie podrygują nad brzegiem i że zebrał się tam już spory tłumek, dała się zaprowadzić.

- O co chodzi? - Jan zapytał George'a, widząc, jak patrzy za odchodzącym młodzieńcem.

- Nie lubię oglądać mężczyzn w takim stanie. Kiedy przestają się kontrolować.

- Och, parę drinków od czasu do czasu... - rzekł Jan.

- On tu pracuje. Szuka guza. Czy kiedykolwiek zjawiłeś się w swoim biurze zalany w sztok?

Jan potrząsnął głową. Nie, nigdy nie był tak pijany, za to ślepy jak kret, i owszem.

Cała piątka przyglądała się, jak Adam potrąca innych tańczących, chwilami popychając partnerkę, która potykała się i wpadała w morską pianę. Śmiała się, wstawiała, Adam wylewnie ją przeproszał, cały czas trzymając się jej kurczowo, by nie stracić równowagi.

Steve Burns dołączył do ich grupki i łożywszy ręce na piersi, wymienił uprzejmości. Z lekko uniesioną brodą bez wątpienia roztaczał aurę pana na włościach, a mimo to Janowi ciągle dźwięczało w uszach, jak Amerykanin nazwał go pieprzonym idiotą.

Adam trzymał się Annemieke, słuchając, jak coś mu klaruje. Wydawało się, że udziela mu rad. Miał poważną minę i z zapalem kiwał głową. Zmierzali we dwoje do baru na molo. Jan patrzył, jak Annemieke zaciąga się papierosem Adama i wychyla małą szklaneczkę. Śmiała się zbyt hałaśliwie.

- O rany - powiedział Jan - teraz mamy problem. - Przed Adamem i Annemieke postawiono dwa kolejne drinki, które wychylili jednym haustem i powrócili na brzeg. Adam obrał kurs zmienny, wpadając na innych tańczących.

— Zdaje się, że zabawa się rozkręca - skonstatował z zadowoleniem Burns. - Miło patrzeć, jak tłumnie ruszacie w tango. O to chodzi. - Uśmiechnął się. - Czy to Adam? - spytał, mrużąc w półmroku oczy. Zmieniła się muzyka i teraz Adam podskakiwał i tańczył *pogo* wokół Annemieke, która śmiała się i klaskała w dłonie. Jan wiedział, że to przedstawienie wycelowane jest w niego. Ludzie się odsuwali. Adam zaczął ochlapywać Annemieke wodą, jej sukienka błyskawicznie stawała się przezroczyta. Ściskając jej nadgarstek, Adam poprowadził ją do baru, gdzie jednym haustem wypili po kolejnej szklaneczce.

George i Dorothy powiedzieli towarzystwu „dobranoc”. Jan patrzył, jak starsze małżeństwo przecina plażę krótkimi, zmęczonymi krokami, jakby uwierały ich buty. Widział, jak George się odwrócił i napotkawszy jego wzrok, lekko się skłonił. George pokręcił głową, zerkając

w stronę baru, a Jan głośno przełknął ślinę. Biedny, zany George, on także rozumiał, w czym rzecz, i oddalił się, nie chcąc na to patrzeć.

Jan udał się do baru i stanął obok dwojga nastolatków z odzysku.

- No, Jan, napij się, stary - powiedział Adam, zaszczytując go jedynie przelotnym spojrzeniem, nie spuszczając z oka barmana. - To nie jest pełna miarka - wytknął.

- Pijesz? - spytała Annemieke, nie patrząc na męża.

- Nie, dziękuję - odpowiedział.

- Hej, Adam - rzekła. Podszedł do nich Steve Burns i położył Adamowi dłoń na ramieniu.

- Słuchaj - odezwał się spokojnym tonem Burns - jedno słówko. Skończ drinka i zbieraj się do domu.

- Niby dlaczego? - spytał Adam, rzucając na kontuar garść dolarowych banknotów.

- Należysz do obsługi, kolego. Trzeba ci przypominać? Dokończ drinka.

- *O tak, jestem zgrywusem...* - zaczął nucić Adam. Popatrzył na Steve'a z wykrzywionymi z pogardą ustami, z nosem przypominającym odciągnięty spust pistoletu i odezwał się szyderczo: - Jak wypłacisz mi forszę, którą wiesz, jak będziesz ze mną kwita, wtedy możesz mi rozkazywać jak szef pracownikowi. Do tego czasu jestem gościem, który płaci za siebie. Kolego.

- Dostaniesz wypłatę pod koniec miesiąca - Steve Burns rozejrzał się i stanął tak, by własnymi plecami przesłonić Janowi widok. - Słuchaj no - rzekł, zniżywszy głos - spierdalaj stąd migiem, a ja zrobię, co mogę, by wyświadczyć ci przysługę i rozliczyć się z tobą przed czasem.

- Nie lubię, jak ktoś nazywa mnie „obsługą”. Mam dziś wolny wieczór - odrzekł Adam i oddalił się niespiesznym krokiem na plażę, zapalając kolejnego papierosa.

Burns i Jan wymienili spojrzenia.

- Drobne nieporozumienie - wyjaśnił Burns z nikłym uśmiechem. - Domaga się wypłaty, zanim dostaną ją inni. Gdy się zatrudniał, wytłumaczyłem, jak działa nasz system. Cóż mam począć? - powiedział, Jan zaś odniósł wrażenie, że faktycznie pyta go o radę.

- Sporo wypił - rzekł Jan. - Nie warto rozmawiać z człowiekiem w takim stanie. I tak nie będzie nic pamiętał. - Jan był zaskoczony, że Adam należał do ludzi, którzy po alkoholu stają się agresywni. Słyszał, jak Adam powtarza piskliwym głosem: „Pieprzony kretyń, słowo daję”, oglądając się na Burnsa z płonąca twarzą i zacisniętymi w pięści rękoma.

- Gdybym wiedział, że lubi sobie golnąć, to bym go nie zatrudniał. Cholerna kula u nogi. - Burns długo wpatrywał się w morski brzeg. Spojrzenie Jana powędrowało w tym samym kierunku. Czuł, że Burns powrócił wzrokiem do tańczących, lecz sam nie odrywał oczu od oceanu.

- A niech to szlag! Nie!

Jan odwrócił się, przygotowany na najgorsze, spodziewał się ujrzeć Annemieke w objęciach młodego partnera, lecz żona stała z boku. Kołysała się w rytm muzyki z ugiętymi kolanami, stwarzając pozory muzycznego wyrobienia, tymczasem Adam tańczył w czułym uścisku z żoną Amerykanina. Ręce młodego człowieka zsunęły się poniżej talii partnerki, gdy poruszali się razem do dźwięków *Careless Whisper*, wtulił nos w jej włosy, napierał na nią całym ciałem. Nagle jego dłonie mocno przywarły do jej pośladków, a język musiał znaleźć się w uchu albo lizać jej szyję, ponieważ odskoczyła jak oparzona i krzyknęła: „Nie!”. Jason zjawił się na plaży w mgnieniu oka i chociaż źle wymierzył cios, wystarczyło, by ściąć Adama z nóg.

Adam klęczał w przybrzeżnej pianie, jak gdyby szukał okularów, powtarzając w kółko „Spokojnie, spokojnie,



nie ma powodu się gorączkować" i usiłując się podnieść. Jan i Burns popędzili na brzeg, Jan podtrzymawał Adama, Burns Jasona.

- Łapy przy sobie - warknął Jason, z łatwością strząsając z siebie ręce Burnsa. Z miejsca go zaatakował.

- Co to za porządki, żeby personel hotelu molestował gości?

- Prosiłem, żeby sobie poszedł.

- I oczywiście potulnie posłuchał. - Jason dygotał. Niezręczny fizycznie, z wąskim nosem i zapadniętymi policzkami naukowca albo komputerowego programisty. Tylko gęste rudoblond włosy i nowe ubrania nadawały Jasonowi wygląd zamożnego *yuppie*. Gdy był rozdrażniony, jego ciało wykrzywiało się; w tym momencie przypominał znak zapytania. Owe rzadkie, staroświeckie chwile, gdy od mężczyzny oczekiwano się męskości, dumał Jan, obnażały prawdziwą naturę człowieka, pokazując ją jak na rentgenowskiej kliszy. Fascynujące spostrzeżenia. Nie był w nich odosobniony; rozejrzawszy się wokół zobaczył, że wszyscy stoją jak sparaliżowani.

Rozluźniając z wysiłkiem mięśnie żuchwy, Jason wziął żonę za rękę i zapowiedział Burnsovi:

- Porozmawiamy rano. Niech pan lepiej znajdzie nam inny hotel.

Brnęli między gośćmi, którzy stali niemal nieruchomo. Muzyka grała nadal. W pewnym momencie Jason się odwrócił, jego zaciśnięta w pięść ręka wymachiwała w powietrzu, jakby wprawiona w ruch jakąś reakcją szczątkową; reszta ciała sunęła naprzód u boku żony.

Burns zerknął przez ramię na chłopaka, który ładował płyty do wielkiego przenośnego odtwarzacza. Zauważył, że chłopak ma zamknięte oczy i porusza ustami do słów piosenki.

Burns uzmysłowił sobie z niemałym zaskoczeniem, że czuje się speszony, jakby to on zadał nieszczęsny cios i trząśł się jak Shirley Tempie na oczach tłumu. Starając się ze wszystkich sił wyprzeć z myśli Amerykanina, pocieszając się w duchu epitetami w rodzaju „głupi fiut”, nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że są tą samą osobą. Jedną i tą samą, którą dzielą życiowe powodzenie i okoliczności.

## 42

Ponieważ sami rzadko wstawali później niż godzinę czy dwie po nastaniu świtu, George uważał „przewalanie się w łóżku” za słabość równoznaczną ze zboczeniem. W niedzielny poranek zatelefonował do najstarszej córki, tej, która pilnowała ich domu. Wziąwszy pod uwagę pięciogodzinną różnicę czasu, spodziewał się, że córka będzie już w połowie codziennych zajęć.

Dorothy raczyła się w łóżku pierwszą filiżanką herbaty, opierając spodeczek na piersi. Włożyła już szcękę, ale nie miała jeszcze okularów. Wydawała się zatopiona w myślach.

- Psiakość, jeszcze nie wstała - donosił George, zakrywając dłonią słuchawkę, lecz Dorothy zdawała się nie słyszeć. - Mówię, że Carol gnije jeszcze w łóżku. O wpół do jedenastej rano, nic dziwnego, że nigdy nie może z niczym zdążyć. Nie zdziwię się, jeśli zasuszyła pelargonie. Mówiłem jej, o tej porze roku podlewać rano i wieczorem.

- Tak, jestem - ciągnął do słuchawki. - Doprowadziłaś się już do porządku? Wyprowadź psa. Nieborak, dziwię się, że nie zasikał całego domu. Do czego to podobne, żeby trzymać psa w zamknięciu do wpół do jedena-

stej. Jego jelita muszą być w oplakanyim stanie. - George wzdygnął się, spoglądając w stronę drzwi toalety.

- Tak, cudownie - jego głos brzmiał tak, jakby z niechęcią czynił jakieś ustępstwo. - Cudownie spędzamy czas, ale wkrótce wracamy do domu, przecież wiesz. Nie chciałbym zastać uschłych kwiatów. Oczywiście, że się martwię, twoja matka też. Tak, czuje się dobrze. - George spojrział na Dorothy, leżała bez ruchu, patrzyła nieruchomym wzrokiem; przez ułamek sekundy wydawało mu się, że umarła.

- Dorothy - rzekł ostrym tonem - jesteś tu?

Dorothy popatrzyła w jego stronę; wyraz jej twarzy nie zmienił się.

- Kiedy przyjadą? - spytała. - Przygotuję pieczeń na lunch.

- O czym ty mówisz? - powiedział. - Carol, złotko, zaczekaj, twoja matka coś mówi.

Usta Dorothy zaczęły poruszać się niespokojnie.

- Nie pamiętam, czy zrobiłam zakupy. Mamy ziemniaki?

- Na litość boską, weź się w garść - nakazał George i mówił dalej do telefonu: - Wracamy w sobotę. Już niedługo. Wtedy się spotkamy. - I odłożył słuchawkę.

- O czym ty mówisz? - zwrócił się do Dorothy, wstając. Popatrzyła na niego wystraszonym wzrokiem, jak królik w potrzasku. Poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Mówiłam tylko, że nie wiem, co ugotować na lunch dla dziewczynek.

- Jesteśmy na przeklętych wakacjach, kobieto, na Karaibach! Nie musimy gotować lunchu. Córki nas tutaj nie odwiedzą.

Usta Dorothy poruszały się nadal, lecz nie dobywały się z nich żadne słowa. Byli sami, George wiedział, że ma wybór, może ją uspokoić, może na nią krzyknąć, może zrobić, co dusza zapragnie. Cokolwiek uczyni, nikt tego

nie zobaczy, nawet Dorothy, bo ona również była nieobecna.

Stanął przed jej łóżkiem jak olbrzym.

- No już - powiedział - no, mój skarbie, moja kochana staruszko, musisz się trochę wysilić.

### 43

Prace w nowo wybudowanym aneksie dobiegły końca, taras nie był już zagrodzony, stoliki i krzesła więc, które wcześniej tworzyły kącik jadalny na zewnątrz, rozstawiono na nowo. Hotelowi goście mogli rozpocząć dzień od śniadania przy basenie. Poinformowano o tym za pośrednictwem biuletynu wywieszonego niczym dekret na dwuskrzydłowych drzwiach restauracji i wiadomość ta została przyjęta z zainteresowaniem. W niedzielę Burns obsługiwał gości osobiście i z przyjemnością dostrzegł świergotliwe poruszenie wśród grupek schodzących się na śniadanie. Zawsze należy wymyślać jakąś „nowość” w polowie tygodnia, choćby było to jedynie inne ustawienie stolików.

Jakimż człowiek jest niewolnikiem własnych przyzwyczajeń, skoro uznaje najzwyczajniejszy w świecie akt spożywania tradycyjnego posiłku w odmienionym otoczeniu za wielką atrakcję, pomyślał Jan, stając z dala od rezydentów hotelu, którzy zapełniali stoliki na zewnątrz, i próbując wyłowić z tłumu Billa. Potrafi tolerować ograniczenie rozmaitych swobód, póki może korzystać z drobnych rozrywek. Nigdy nie zdarzyło mu się obudzić i powiedzieć sobie: dzisiaj ponad wszystko inne przedkładam wolność, albo sprawiedliwość, hedonizm, czy też nowe doznania. Nie, każdego ranka wybierał kawę albo herbatę, aczkolwiek znakomitych marek, a czasem zaburzał właściwy porządek rzeczy i wrzucał kostkę cukru. Szpitale, więzienia i szkoły - w tych instytucjach tłoczyły się ludzkie pragnienia, pra-

gnienia zniweczone przez inne siły, złożone w ofierze, wzięte pod klucz. On sam oraz wiele innych podobnych mu mężczyzn i kobiet byli pustymi gmachami.

Nagle jego wzrok odzyskał ostrość, Jan zauważył, że wpatruje się w niego Laurie, trzymając rogalik przy ustach, które rozciągnęły się w uśmiechu. Roześmiał się. Obok niej było wolne miejsce i puste nakrycie, filiżanka, spodeczek oraz pustka pomiędzy nożem a widelcem. Wystarczyło się w nią wpaśować.

Przy tym samym stole siedziała reszta załogi. „Witaj, synu”, rzekł George, podnosząc wzrok, a potem znowu spuszczać go na talerz. Ze złowieszczym wyrazem twarzy George penetrował z pomocą dużego noża wnętrze małego słoiczka dżemu.

- Halo - rzekła pogodnie Dorothy, ocierając usta. Do drobnych wgłębień wokół nich przyczepiły się okruszki rogalika.

- Jak małżonka? - zainteresował się Bill, wpychając do ust trójkątną grzankę umoczoną w jajku. Jan na chwilę zatrzymał na nim wzrok, widział, jak Bill wysuwa język, by zebrać z kącików warg resztki jajka, widział pierwsze krople potu występujące na jego czoło już o tak wczesnej porze.

- Śpi - odparł.

- Odsypia wczorajszą noc? - spytał George, odwracając słoiczek dżemu do góry dnem i zostawiając go pośrodku talerza.

- Prawdę mówiąc, tak - odparł Jan.

George obrzucił go szybkim spojrzeniem

- Dobrze wyglądasz.

- A dlaczego miałoby być inaczej?

Zaległo milczenie.

- Tak tylko powiedziałem, synu - rzekł George.

- Przyłączasz się do wyprawy w nieznane, organizowanej przez pana Moloneya, prawda? - spytała Laurie.

- Dzisiaj nie ma wyprawy w nieznane. Wybieram się do kościoła. Jest tu małeńki kościółek, jeden z pierwszych wzniesionych na wyspie poza głównym miastem, cały biały, drewniany, prawdziwy klejnocik, na północny wschód stąd, i już nie mogę doczekać się nabożeństwa. Zapraszam wszystkich, którzy mają ochotę. Ale musimy się zbierać, za pół godziny powinniśmy być już w drodze.

- Cóż, chyba jestem gotów - oznajmił Jan dość oficjalnym tonem. Popatrzył na Laurie, obserwował, jak podczas picia soku pomarańczowego porusza się jej smukła szyja. - Dokończę śniadanie i mogę spotkać się z wami w recepcji.

- Znakomicie - odparł George - my wpadniemy jeszcze do pokoju. Muszę za potrzebą. Nie mogę funkcjonować, póki nie pozbędę się balastu. - Skrzywił się, podnosząc się z miejsca i pomógł wstać Dorothy.

- Ostrożnie - rzekła, kiedy ciągnął ją, wzięwszy pod ramiona.

- No to się ruszaj - powiedział.

- Już dobrze, dobrze - mówiła, idąc w stronę obsadzonej hibiskusami alejki.

- Przepraszam! - usłyszeli głośne słowa George'a, wymienili spojrzenia i wszyscy troje parsknęli śmiechem. Laurie poskładała serwetkę i odłożyła na talerz, mówiąc:

- Biedny człowiek.

Bill pochylił się do przodu, wymachując nożem.

- Jest męczennikiem własnego przewodu pokarmowego, tyle zdradził mi dziś rano przy śniadaniu, przestrzegł, żebym omijał cebulę, powiedział, że to niecne warzywo jest źródłem sporych dolegliwości.

Zanim wyruszyli, Annemieke przyłączyła się do nich na czarną kawę z rogalikiem. Odprawiła kelnera spieszącego z kartą dań.

- Nie będę jadła niczego na ciepło, zauważyliście, że nie ma dzisiaj obsługi? Zastanawiam się, czy nie gotuje sam Burns - rzekła, unosząc ciemne okulary przeciwsłoneczne i wyginając w łuk brew. Oparłszy się w krzesło, odzierała z rogalika kolejne warstwy ciasta. - Bywałam w lepszych miejscach.

- Przecież sami za to nie płacimy - przypomniał Jan.

- Nie w tym rzecz, Janie. Jak na biznesmena dość często nie rozumiesz istoty rzeczy, mam na myśli płaszczynę finansową.

Bill i Laurie zaczęli porządkować na stole.

- Dokąd to wybiera się dzisiaj pańska drużyna, panie Moloney?

- Nie przyłączysz się do nas, Annemieke?

- O Boże, nie - odparła ze śmiechem - wybaczcie, ale nie. Nie mam zbyt wiele czasu na odpoczynek, poza tym nie przepadam za grupowymi wycieczkami. Zostanę przy basenie, poczytam, zrelaksuję się...

- Proszę, wszystko z góry ustaliłaś.

- Tak.

- Czysta satysfakcja.

- Tak.

- Wybieramy się do małego kościółka sprzed trzech czy czterech wieków - wyjaśniła Laurie - jednego z pierwszych na wyspie.

- Cóż, kiedy mieszka się w Europie, kościoły nie wydają się aż taką atrakcją, w każdym mieście jest jakiś sprzed tysiąca albo i więcej lat. Zresztą, nie jestem religijna. Mój mąż też nie. Jeśli pomyśleć, co uczyniono na świecie w imię religii, trudno wierzyć w jakiegoś Boga.

- A ja wierzę w Boga właśnie dlatego, że widzę, co człowiek uczynił człowiekowi - powiedział Bill. Oparł się w krzesło i uśmiechnął do Annemieke. - Wziąwszy pod

uwagę, jak nisko może upaść człowiek, czyż to nie zdumiewające, że rasa ludzka w ogóle przetrwała?

Jan, przeżuując jedzenie, podniósł na Billa wzrok znad talerza.

- Widzisz, Jańciu, on ma zamiar cię dzisiaj nawrócić - ciągnęła żona, zakładając nogę na nogę. - *Mea culpa*, trochę święconej wody i grzechy zostaną ci odpuszczone, ale potem będziesz musiał wieść tak przykładne życie, jak pan Moloney.

Bill odsunął nagle krzesło, szurając po podłodze.

- No, zasadniczą część roboty odwalilem już wczoraj. Ochrciłem całą czwórkę, a jakże. W morzu. Twój mąż narodził się na nowo.

## 44

Biały kościółek jak z obrazka, z wieżą, wzniesiony na trójkątnej parceli obok opustoszałego ronda i naprzeciw jednego czy dwóch sklepów, wydawał się stać na szczycie klifu. W rzeczywistości grunt po drugiej stronie kościoła lekko opadał ku plantacjom trzciny cukrowej, które miały po drodze.

Szybko obeszli cmentarzyk na tyłach kościoła, stąpając po spękanych płytach chodnikowych, chłonąc wzrokiem plastikowe kwiaty w pozbawionych wody słoikach, gotyckie grobowce z białego marmuru i przypominające pajdę chleba płyty nagrobkowe z posępnymi wiktoriańskimi imionami - Ernestine, Archibald, Arnold - i sentymentalnymi zdrobnieniami następnego pokolenia - Netcie, Archie, Arnie.

Kościół dawał odrobinę wytchnienia od upału, grupka podążyła za Billem główną nawą i zajęła miejsca obok siebie w ławie na przedzie. Pastor był starszawym, białym mężczyzną o miłym sposobie bycia i miał zwy-



czaj mrużenia oczu, co przynosiło ulgę w krótkowzroczności. Wierni byli w przeważającej mierze czarnoskórzy, nabożeństwo zaś, jak wyjaśnił im Bill, typowe dla kościoła prezbiteriańskiego. Bawiło ich, jak zgromadzeni swobodnie wyrażali na głos swoją aprobatę albo pomrukiwali podczas kazania i modlitw.

- Tak jest - ich sąsiad czuł się w obowiązku powtarzać co kilka chwil - uhm, uhm.

Jan przypomniał sobie wizytę u księdza w kościele, w którym postanowili się pobrać, tuż pod Brugią. Niewykluczone, że wtedy po raz ostatni każde z nich brało udział w religijnej dyskusji. Spotkanie z kapłanem było obowiązkowym warunkiem wzięcia ślubu w tamtym kościele. Starszy jegomość z przyjemnością poczęstował ich herbatą i wyjaśnił całą ceremonię. Potem, choć sam żył w celibacie, nie omieszkał podzielić się kilkoma przemyśleniami, spostrzeżeniami. Uważał, że na drodze wspólnego małżeńskiego życia napotkają przeszkody, które będą utrudniać im wędrówkę; prosił, by pozwolili mu nazywać je „słonia-mi”. Analogia była wyświechtana. Jan usilnie starał się słuchać. Po zaciśniętych ustach Annemieke zorientował się, co sobie myśli i złapał ją za rękę; w tamtych czasach rozumieli się bez słów. Napotkają duże słonie i małe słonie, ciągnął ksiądz, i rzecz w tym, by potrafić je od siebie odróżnić i znaleźć drogę, którą będzie można je obejść, trzymając się za ręce. Mimo że był wówczas raczej niewyrobionym, pozbawionym oglądy mężczyzną przed trzydziestką - a może zwłaszcza dlatego - rada ta wydała mu się bezużyteczna. Tak czy owak, byli wdzięczni, że poszło tak gładko. Wydawało się, że najlepsze, czego można oczekiwać we wszelkich kontaktach religijnych, to jakaś nieokreślona życzliwość. Poczuli ulgę.

Wyszli na zewnątrz, wsiedli do małego forda, którym Jan jeździł w owych czasach, i pojechali do Brugii na pi-

wo. Piwo smakowało wtedy cudownie, a im bardziej mieli w czubie, tym mocniej rozśmieszała go Annemieke, a potrafiła rozśmieszać go do łez. Była przeciwieństwem jego sumienia, miała szelmowskie poczucie humoru, którego jemu brakowało, a które stanowiło, co wyczuwał już od dzieciństwa, niezbędne wyposażenie udanego życia.

Chwyając sens kazania, budząc się z zadumy, Jan zrozumiał, że stary pastor szpera w worku z własnymi wspomnieniami, opisuje historie ze swojej młodości spędzonej w przemysłowym mieście Anglii, by zaryzykować potem drobny przeskok pojęciowy i błagać wiernych o zachowywanie stoicyzmu w obliczu przeciwności losu. Przeczytał następnie wyjątek z listu świętego Pawła i podzielił się na koniec dobrymi nowinami, które zasłyszal od członków kongregacji, dotyczącymi narodzin bliźniaków oraz wyniku meczu krykieta.

George był ogromnie zadowolony, że kiedy wielebny szedł nawą, rozdając uściski dłoni na lewo i prawo, mocno potrząsnął ręką George'a i zamienił z nim parę słów. Wymienili informacje o miejscu urodzin, o pułkach, w których służyli, ponownie uścisnęli sobie ręce, a George w imieniu wszystkich zgodził się wypić później ze starym wiarusem herbatę. Odwrócił się do reszty i opowiedział im o tym, czego byli przed chwilą świadkami. „Podszedł prosto do mnie, wybrał spośród tłumu, jak znajomego, i, wyobraźcie sobie, też służył podczas wojny w Afryce Północnej!” Pokiwali głowami. „Zaprosił mnie na herbatkę. No, oczywiście, wszyscy jesteśmy zaproszeni. Miły staruszek”.

- Biedaczysko, zdaje się, że goni resztkami sił - powiedział do Dorothy, patrząc za odchodzącym pastorem. Dorothy zauważyła, że chociaż pastor chodzi lekko zgarbiony, to ma lepsze tempo niż którekolwiek z nich. - Zawsze musisz się przyczepić - gderał George.

Gdy Bill, Dorothy i George wchodzili do salki tuż obok holu, Laurie odwróciła się do stojącego za jej plecami fana z propozycją:

- Wyjdźmy razem na zewnątrz.

## 45

W niedzielę przed porą lunchu słońce stało w zenicie, paliło bezlitośnie i drgało. Steve Burns cuchnął. Sterczał przy patelniach, skrapiał wodą frytki domowej roboty, raz po raz dolewał oleju roślinnego, wrzucając zamrożone ziemniaki w skwierczące piekło. Rastafarianin Brian ciągnął monolog na temat kosztów utrzymania w kraju, w którym przyszło im żyć.

- Człowieku, żyjemy w miejscu, gdzie rządzą dwie gospodarki. Siła robocza ma być tania, żeby niektórzy nabijali sobie kabzę, a w sklepach ma być drogo i nikogo nie obchodzi, że zarabiamy tu marne grosze. Człowiek nie może tak żyć. Bez względu na to, jak bardzo kocha ten kraj. Trzeba stąd spylać.

Steve przyznał mu rację bez większego zainteresowania. Pieniądze to tylko rezultat pracy, nic więcej, oznaka własnej pomysłowości. I szczęścia. Narzekanie nie ma sensu. Ułożył w stertę skorupki po jajkach, połówka do połówki, z poczuciem satysfakcji. Ponad setka pustych skorupek. Póki jaja będą wypadać z kurzych tyłków, póki ludzie będą siedzieć z nożem i widelcem gotowi do spałaszowania jaja na grzance, nie liczą się ani kury, ani jaja, ani to, co było pierwsze, liczy się tylko ludzki apetyt. Tylko on ma znaczenie. Wziął łopatkę i zeszkrobał resztki z patelni, wyrzucając do zlewu taką ich ilość, że wystarczyłaby na zbudowanie ptasiego gniazda. Ignorował wydawane przez Briana okrzyki roz-

paczy i wrzucił na ogień nową partię ziemniaków i tłuszczu.

- Brian, przypilnuj tych ziemniaków. I przypraw je - powiedział i wyszedł z odkrytą stalową wazą wypełnioną frytkami domowego wyrobu. W upale pot ściekał mu z twarzy na półmisek. Sól do soli. Musiał się napić, wstał więc do baru Hibiskus i usiadł, racząc się zimnym piwem.

W ciągu trzech, czterech miesięcy skompletuje niedzielną załogę. Menedżer nie powinien przebywać w kuchni pod żadnym pozorem. Źle to wygląda. Ale tak bardzo zależało mu na wykazaniu wyższych marży zysku w bieżącym kwartale, że własnoręcznie sprzątały toalety, gdyby zaszła taka potrzeba. Wypracować zysk w takim miejscu to szaleństwo. Jakie koszty! Jedyne sposoby zarobienia pieniędzy to bezlitosne dojenie klientów. Emma miała rację; trzeba ich „rozruszać”, namawiać na dodatkowe rozrywki, te dochodowe. Leniuchowanie, zaleganie przy basenie jak balast wskutek otępienia alkoholem nie zdawało egzaminu. Matkowanie gościom, poszukiwanie zaginionych, powstrzymywanie przed bójkami o cudze zabawki też mijało się z celem. Powinien raczej zamienić się w ich osobistego bankiera, oferując zysk w postaci rozrywki, oświecenia, wszelkich atrakcji, jakich oczekiwali, wprost proporcjonalnych do wysokości zainwestowanej kwoty.

Poczuł szturchnięcie w plecy, odwrócił się i znalazł się oko w oko ze swoją nemezis. Jasonem.

- Dzień dobry - powiedział - może piwo? Och, sądziłem, że państwo wyjeżdżają. Pomóc przy walizkach?

- Nie teraz - rzekł Jason, zerkając na zegar. - Mamy sprawę.

No nie, kurwa, pomyślał Burns, cóż za niespodzianka. Czy minął choćby jeden dzień, kiedy ten facet nie miał jakiejś sprawy?

- Chodzi o tę Dunkę, wybiera się z nami na rejs połączony z brunchem.

Żona Jasona położyła smukłą dłoń o długich palcach na jego ramieniu. Owinięta sarongiem tak zmyślnie, by odsłonić w całości długą nogę, ubrana w kolejną skąpą górę od bikini, wtrąciła się do rozmowy:

- Zaginał jeszcze jeden z pańskich gości.

- Chwileczkę, miałem właśnie wyjaśnić - rzekł do niej Jason ostrym tonem, jak gdyby przemawiał do personelu.

- Ta Dunka, pani De G., nie odbiera telefonu, ma odłożoną słuchawkę.

- Może nie ma ochoty na rejs? - uśmiechnął się Burns, prostując ramiona. - Może się przed państwem ukrywa. Pragnie odrobiny odosobnienia. - Pociągnął łyk piwa, póki było mu dane. Odniósł wrażenie, że będzie to doznanie krótkotrwałe, nasycona gazem goryczka i spowijające umysł otumanienie.

- Nie, chciała jechać, wczoraj wieczorem okazywała wielki entuzjazm.

To prawda, pomyślał Burns.

- Wczorajszego wieczoru sporo wypija, może marnie się dziś czuje.

- Oczywiście, nie można tego wykluczyć. Ale barman powiedział nam, że widział ją dziś rano, sączyła w barze drinka.

Benjamin, barman, uśmiechnął się nerwowo i wzruszył ramionami:

- Tak było.

- A potem wyszła z pańskim kumplem, tym, który lubi podrywać hotelowych gości płci żeńskiej w czasie wolnym od mycia podłóg albo ubikacji.

- Zaoferował się, że odprowadzi ją do pokoju, wyglądała, jakby było jej słabo - rzekł Benjamin, wycierając wnętrze kieliszka.

- To zupełnie nie twoja sprawa - powiedział Burns, dając znak szybkim ruchem głowy, by Benjamin na tej uwadze poprzestał.

Barman stał nieruchomo. Miał uśmiech anioła; w jego łągodności rumiane policzki nabierały wyglądu dojrzałego pomidora. Przymknął oczy skryte za szklami okularów. I tylko te okulary przełamowały szlachetną urodę twarzy.

- Wypili po dwie, może trzy Krwawe Mary na głowę. Zamawiali podwójne. Ostatnio dodaję do drinków kapkę sherry. A wtedy z przyzwoitej Krwawej Mary robi się nektar bogów.

- No i co pan myśli, Burns? Może nawet pan potrafi skojarzyć fakty?

- Potrafię, sir, ale nie mam na to ochoty. Lubię stać na straży prywatności moich klientów.

- Tak. Nie wątpię, że państwo Davies byli wyjątkowo zadowoleni ze swojej prywatności owego wieczoru, kiedy zaginęła starsza pani.

Jakim cudem ten mężczyzna stał się jego nadzorcą? Zadrzała ręka Burnsa trzymająca szklankę z piwem.

- Ktokolwiek... - zaczęła Missy, jakby zamierzała podjąć nowy temat. Rzuciła zniewalający uśmiech każdemu po kolei i rozdzieliła ich, stając pomiędzy. - Jason, zostawmy ich w spokoju, pani De Groot z pewnością da sobie radę.

- Nie sądzę - odparł Jason. - Jest teraz mało odporna. Jest łatwym łupem. Jej mąż umiera...

- Umiera - powtórzył Burns ze zirytowaną miną, błędząc gdzieś wzrokiem.

- Jest w ostatnim stadium raka. Pozostało mu kilka tygodni życia. Może tylko kilkanaście dni, tego nie wie nikt, tak nam powiedziała. Co rano ładuje w siebie morfinę...

Burns przełknął ślinę.

- Nie miałem pojęcia.

- Tak, jest łatwym celem, rozumie pan.
  - A mąż?
  - Wybrał się na wycieczkę - rzekła Missy - z panem Moloneyem i państwem Davies, pojechali do kościoła.
  - Rozumiem.
  - Uważam, że powinniśmy upewnić się, że nic jej nie grozi, zanim znikniemy na cały dzień, skarbie - powiedział Jason, obracając się do żony, która skinęła głową i podniosła ręce na znak kapitulacji.
  - Nie zaszkodzi - przyznała.
- Burns spojrział na liczne wisiorki, które spływały w miękkie zagłębienie pomiędzy jej piersiami, niczym alpinieści uczepieni cieniutkich złotych lin. Przeniósł wzrok na nadgarstek Jasona i dostrzegł, że nosi on dokładnie takiego samego roleksa, jakiego Burns obiecał kupić sobie pewnego dnia, kiedy zarobi dość pieniędzy. Pokiwał głową. Szklanka piwa była już całkowicie opróżniona.
- Nie, nie zaszkodzi - westchnął, odstawiając pustą szklankę.

## 46

- No to powtórz jeszcze raz - rzekł Adam, wciskając po wejściu do windy guzik „zamknąć drzwi”. - Chcesz zapłacić mi za seks.
- T a k .
- Sto pięćdziesiąt dolarów?
- T a k .
- Okej. - Ściągnąwszy brwi poczuł, jak koński ogon z tyłu przesuwa się wyżej. Winda stanęła, otworzyły się drzwi. - Ale nie, nie, nie, nie, nie - rzekł, kręcąc głową i zagradzając jej ramieniem drogę - podpuszczasz mnie!
- Wyciągnęła kartę do drzwi.
- Decydujesz się czy nie? - spytała.

- Jesteś szurnięta - stwierdził.

- Dlaczego? Bo płacę za seks, czy dlatego, że płacę za seks z tobą? Co do tego drugiego, owszem, może i masz rację. Zobaczymy - w jej oczach rozbłysła szatańska złośliwość. - Nigdy dotąd tego nie robiłam - rzekła - ale jestem pewna, że im mniej będziemy o tym mówić, tym lepiej. Dla mnie.

- A-no-ni-mo-wość - wycedził, dobitnie artykułując słowo, które podkreśliła, gdy wlewali w siebie Krwawe Mary.

- Chcę anonimowości - przyznała - ale przede wszystkim - chcę mieć wszystko pod kontrolą. Uprawiać seks z kimś, kogo prawie nie znam i kto będzie spełniał moje zachcianki.

- W porządku - odparł, przeciągając sylaby.

- Mam prawo do jakiejś odmiany. Zawsze byłam zdana na seks ze znanymi mi osobami.

Lękał się, że kobieta zanadto się rozgada. I bił się z myślami, z jednej strony powtarzając sobie w duchu „ty żaloszna suko”, z drugiej zaś uważał, że to przygoda jedyna w swoim rodzaju, że to coś, o czym będzie można snuć opowieści, że niezły z niej numer. Po świecie nie chodzi zbyt wielu ekscentryków. Stwierdził również, że mógłby zrobić z tej historii użytek w towarzystwie atrakcyjniejszych, młodszych kobiet. Mógłby uczynić z tego wyznanie, przyznać się, że był męską prostytutką, takie rzeczy wydają się kobietom pociągające. Zaczął śmiać się z tego razem z nią. Oboje przywdzieją cudzą skórę, obudzą w sobie nawzajem pożądanie.

- Dobrze - rzekł - twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Stał za jej plecami, gdy otwierała drzwi i rozejrzył się po korytarzu.

Gdy znaleźli się w pokoju, przygnębił go nieco widok porozkładanych tu i ówdzie rzeczy Jana, opasłego tomu



na stoliku, szortów khaki przewieszonych przez oparcie krzesła.

- Pójdę do łazienki - oznajmiła - i wezmę szybki prysznic, potem oczekuję tego samego od ciebie.

- Zgoda - uśmiechnął się, zdejmując z włosów gumkę. Obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

- Okej - powiedziała - okej - po czym wśliznęła się do łazienki.

Popatrzył na siebie w lustrze i uśmiechnął się głupawo, żeby przypomnieć sobie, kim jest. Dziarsko wyszedł na balkon zapalić papierosa. Przemknęło mu przez myśl, że nie powinien teraz palić, skoro zegar już tyka, skoro rozpoczął się płatny czas. „A tam, olać to”, powiedział, opierając się o barierkę z jedną stopą dyndającą w powietrzu, przenosząc ciężar ciała na drugą. Przymrużywszy oczy, spojrzał w dół na ocienione rododendrony i strząsnął popiół. Książka Jana, otwarta, spoczywająca grzbietem do góry na szklanym stoliku obok balkonu wyglądała jak dach rzymskiej świątyni. Zrobił krok naprzód, ale dłoń z papierosem została na zewnątrz, zerknął na okładkę i odczytał tytuł: *500 years of Western Cultural Life*. Pokiwał głową. Dobry wybór, powiedział sam do siebie. Zauważył, że obwoluta zsunęła się poza brzeg książki i szturchnął ją palcem, chcąc zrównać ją z okładką. W tej samej chwili po obu stronach obwoluty zrobiły się leciutkie wgłębienia, ujął więc książkę oburącz, ostrożnie trzymając w palcach papierosa, i starał się ją odwrócić i wyprostować. Jego oczom ukazały się czarne litery pisane drobnym drukiem i niemal przezroczyste kartki. Biblia. A to dopiero. Zmagając się z jej ciężarem, niechcący strząsnął na otwartą stronę odrobinę popiołu i wyskoczył na balkon, by go zdmuchnąć. Popiół pozostawił ślad, rozmazał druk, ale nie wypalił dziury. Psiakrew, powiedział do siebie, zamykając Biblię

z byle jak nałożoną obwolutą. Odrzucił ją na stolik, gdy tylko usłyszał, że otwierają się drzwi łazienki.

Annemieke ubrana była w biały szlafrok frotte. Włosy miała suche. Pewnie umyła sobie tylko myszkę, pomyślał.

- Twoja kolej - powiedziała, wskazując łazienkę, wszedł zatem do środka, mijając ją między łóżkiem a toaletką, przeprosił, ponieważ omal jej nie potracił i usłyszał w odpowiedzi jakieś niewyraźne pomruki.

Przed lustrem sypialni Annemieke otworzyła szeroko usta i skontrolowała zęby. Uniosła ramiona, by sprawdzić, czy pachy są gładko wydepilowane, po czym zrzuciła szlafrok i spojrzała na swoje ciało. Popatrzyła znów na twarz i skonstatowała, że ma minę karpia, zwiotczałe wargi i smętnie obwisłe kąciki ust. Otrząsnęła się i przybrała wyniosłą minę. Pomasowała piersi i stanęła pewnie na rozstawionych stopach. Mogę mieć wszystko, czego zapragnę, powiedziała do siebie, wyszła nago na balkon, postąpiła tam przez chwilę, po czym zasunęła zasłony.

- Mam umyć włosy? - zawołał Adam z łazienki.

- Jak chcesz - odparła, słysząc, jak jej głos rozchodzi się po pustym pokoju.

- Użyć szamponu hotelowego czy twojego?

- Wszystko jedno - rzekła.

- Umyć zęby?

- Oczywiście - odpowiedziała, gotowa wdrapać się na łóżko na czworakach, przeciągnąć się i rozprostować nogi.

- Którą?

- Co?

- Którą szczoteczką?

- Moją.

- Która to jest?

- Och, na miłość boską - mruknęła pod nosem, wyciągnęła przed siebie ramiona i pochyliła się nisko nad łóżkiem. Usiadła. - Wszystko jedno. To bez znaczenia.

- No dobrze, dobrze - rzekł, komicznie modulując głos.

Niemiec byłby idealny, powiedziała sobie w duchu, czysta akcja, zero osobowości. Takie BMW. Miejmy nadzieję, że ten młodzik nie okaże się minicooperem. Odwróciła się, by obejrzeć się w lustrze od tyłu. Jestem jak Kleopatra, pomyślała, jak królowa. Sięgnęła do telefonu i odłożyła słuchawkę obok aparatu.

Adam wyłonił się w ręczniku owiniętym wokół bioder, z ciemnymi, mokrymi lokami. Odgarnął włosy, by woda nie kapała na twarz i pierś. Nadeszła chwila prawdy, powiedział sobie z wymuszoną brawurą i zrzucił ręcznik.

- No - odezwała się Annemieke, unosząc brew - czas zabrać się do pracy.

- Mogę się napić?

- Tak. Otwórz wino. W lodówce jest kilka małych butelek.

Obserwowała, jak podchodzi do lodówki, schyla się, wybiera butelkę. Obnażył zadek z całkowitą beztroską, pokazując lekko pryszczate półdupki i ciemną bruzdę pomiędzy nimi. Mięśnie boków drgnęły raz czy dwa, gdy zgiął kolana.

- Czerwone czy białe?

- Czerwone.

- Okej. Mam. - Całe to dowcipkowanie miało pomóc mu poczuć się swobodniej, za to w niej budziło skrępowanie. Nie byli, jak to mówią Anglicy, „partnerami”.

- Nalej mi kieliszek, sam też się napij, a potem chodź tu, nie marnujmy czasu.

Zerknął na nią w lustrze i zobaczył tracącą jędrność szyję, nierówny koloryt skóry na dekolcie. Piersi były pełne, ale

patrzyły w dół, ułożyły się nisko, gotowe do bajki na dobranoc. Na brzuchu niczym pasy startowe widniały ślady cielesnej aktywności i choć zachowała niezłą formę i nie miała nadwagi, było w niej coś, co nie pozwalało mu na podniecenie. Kategoriecznie zakazał sobie myślenia o własnej matce. Albo o Janie. Oczyma wyobraźni ujrzał siebie na przyjęciu albo w barze, relacjonującego swoją przygodę. „No to stanął ci czy nie?” „No wiesz, działałem trochę na ryzyk-fizyk, ale dałem radę”. Albo: „Najpierw o mały włos nie podpaliłem Biblii jej starego, potem bawiłem się korkociągiem, aż wreszcie wymigałem się i wyszedłem”. Tuż potem, kiedy wyciągał z butelki korek, nie wiadomo dlaczego pomyślał o żonie George'a, Dorothy. Przypomniał sobie ten sam wyraz twarzy - rozczarowanie, wielokrotne.

Czy tego pragnęły kobiety? Czy faktycznie był to dla nich rodzaj zadośćuczynienia? Czy może, jak sama powiedziała, traktuje seks po męsku? Żadnych szans na wzwód. Zwalił się na krzesło i osłonił spodenkami.

- Podejdz tu - poleciała, przesuwając się na łóżku. Ze zmarszczonym czołem i zadartym nosem wyglądała jak rasowa *hausfrau*.

Wychylił swój kieliszek, drugi podał jej. Stanął po jej lewej stronie z penisem zwisającym jak sznur dzwonu, mogłaby pociągnąć za niego i przywołać obsługę.

Głośno wysączyła wino i wręczyła mu kieliszek.

- Na pewno tego chcesz? - spytał, odstawiając na nocny stolik oba kieliszki, po czym dodał: - Zaczekaj, słyszę za drzwiami jakiś hałas. Może to Jan?

Nabrała w płuca powietrza i oznajmiła:

- Chcę seksu oralnego.

W jego piersi wezbrała potężna fala śmiechu, przycisnęła dłoń do twarzy, zakrywając usta i naciągając w dół skórę pod oczami. Dostrzegł w jej oczach lęk i zrozumiał, co się za tym wszystkim kryje - nadzieja.

W porządku. Raz kozie śmierć. Boże dopomóż. Pieniądze się przydadzą. Będzie mógł opłacić kolejny przelot. Ruszyć dalej. Zbliżył się do brzegu łóżka i ukląkł, patrząc, jak Annemieke rozsuwa nogi. Otaksował ją wzrokiem spod przymrużonych powiek jak kominiarz, dwukrotnie odchrząknął i zaczął delikatnie muskać ustami najpierw łydki, markotniejąc coraz bardziej w miarę posuwania się w górę. Na szczęście pachniała mydłem. Była anonimowa. Nie była ani żoną Jana, ani jego mamą, ani Dorothy...

Udał nagły przypływ rozkoszy na widok jej ud i rzucił się je całować, wydając przy tym pełne zachwytu odgłosy, jak gość zaproszony na kolację. Szerzej rozłożyła nogi, tuż przed jego oczami zamajaczył wzgórek łonowy, ślepy zaułek. Pospiesznie sięgnął ręką do krocza, by sprawdzić, czy nie przydałaby się drobna pomoc i nabrał otuchy, czując żywą, znajomą reakcję wywołaną przez ten dotyk. Drugą ręką zaczął gładzić i poklepywać jej łono, nie zaniebując całowania wewnętrznej strony uda. Nie mogąc się skoncentrować, wciąż pieścił wargami to samo miejsce.

Annemieke zaczynała się niecierpliwic; poczuła się brzydka. Gwałtownym ruchem jeszcze szerzej rozwarła nogi.

Nie mógł tego dłużej ignorować. Przywarł do Annemieke i starał się zmobilizować całą swoją męskość, nie przestając wspomagać się wolną ręką. „To nie ona, to kto inny”, powtarzał sobie w duchu, lecz zapach jej ciała poniósł jego myśli gdzie indziej, nie ku poprzednim przyjaciółkom, ani nie ku żywej materii, skojarzył mu się z zapachem Biblii, którą wcześniej otworzył.

Annemieke leżała spokojnie, jakby znalazła się w gabinecie odnowy biologicznej, uznał więc, że powinien kontynuować, póki nie otrzyma dalszych instrukcji. Nie miał pojęcia, czy jest zadowolona; wzgórek łonowy nabrzmiał delikatnie w pewnym momencie, a potem znów opadł.

Nie szczędził wysiłków, trzymał się dość klasycznych reguł gry. Kiedy wreszcie doczekał się erekcji, chciał za wszelką cenę ją utrzymać. Nagle Annemieke wygięła plecy w łuk i zaczęła mruczeć pod nosem, że „chce teraz”. Adam poczuł dreszcz przebiegający przez policzki, gdy oburącz schwyciła jego głowę i przycisnęła do siebie, po czym oznajmiła:

- Wystarczy.

Zrozumiał. Podniósł się na kolanach i wszedł w nią, ocierając usta wierzchem dłoni, i nie patrzył na jej ciało, póki nie wprawił się w rytm. Milczała. Gdy na nią spojrział, leżała z głową odrzuconą daleko w tył, poduszkę odsunęła na bok, jej piersi poruszały się smętnie i nierytmicznie, lecz ciało wydawało się mieć wystarczająco dużo gracji, no i tak, wreszcie, mogła być kimkolwiek. Dla bezpieczeństwa przywołał obraz Charlotte, wysokiej, nieustannie rozbawionej karaibskiej matki z nogami do nieba.

Kiedy skończył, odetchnął z ulgą i lekko się osunął, lecz nie przygniótł jej swym ciężarem, nie padł jej w ramiona, otworzywszy zaś oczy spostrzegł, że jest pod obserwacją.

- Zejdź ze mnie - poleciła, odwracając wzrok.

- Co się stało? - zapytał, błyskawicznie usuwając się na bok, czując pod językiem koniuszek włosa uwięzły między zębami.

Nie odpowiedziała. O Jezu, pomyślał sobie w duchu, dyskretnie wyjmując włos. Już to przerabiał. Wiedział, co to znaczy.

Przy drzwiach zniemacka rozległ się jakiś hałas, ktoś wsunął do zamka kartę otwierającą drzwi, które nieznacznie zadrgały.

- To Jan - powiedział Adam.

- Nie - odparła - niemożliwe.

Drzwi zaszurały i zablokowały się na dywanie, lecz wreszcie ustąpiły i Annemieke usłyszała czyjś głos mówiący:

- Halo? Halo? Jest tu kto?

## 47

Kiedy Laurie wybuchała śmiechem, śmiała się serdecznie i z całych sił, odsłaniając przy tym zęby: „Ha, ha, ha!”. Siedzieli obok siebie na schodach kościoła.

Jan był w Hongkongu razem z Annemieke, mieszkańcy Kantonu budzili w nim odrazę swoim nagminnym spluwaniem, ordynarnym sposobem zwracania się do siebie nawzajem, nieustannym gotowaniem wszystkiego, co wydzielalo najohydniejsze zapachy pod słońcem. Gdy przemierzał ulice, odnosił wrażenie, że kąpie się w parze z bulgoczącego kociołka zupy ryżowej. Myśląc o Hongkongu, przypominał sobie fetor suszonych krewetek, małych pomarańczowych robakowatych stworzonek ładowanych do koszy i wystawianych przed sklepy na ulicach zatrutych tlenkiem węgla. Nie był podówczas w dobrej formie, świeżo po chemioterapii, nudności mężczyły go nieustannie. Kiedy odzyskiwał siły po operacji klatki piersiowej we wczesnej fazie choroby, Annemieke podeszła do jego łóżka, przewertowała kilka magazynów kobiecych, i wskazała artykuł, w którym wyjaśniano, że w szpitalach ból oficjalnie stopniuje się w skali od jeden do dziesięciu, przy czym za najsilniejszy, czyli dziesięć, uznaje się ból towarzyszący porodowi. On doszedł prawdopodobnie do czwórki, zawyrokowała.

Laurie wciąż się śmiała, zasłaniając usta dłonią. Rozśmieszył ją, dzieląc się swymi wrażeniami z Hongkongu. Jednak jego umysł czmychnął niczym krab z uliczek Hongkongu do szpitalnych korytarzy Brugii.

- Tam, gdzie brud, zgiełk i bałagan, tam życie - rzekła.  
- To popularne powiedzenie wśród mieszkańców Kantonu. Jesteśmy barwną społecznością, masz rację. Posługujemy się językiem rynsztokowym i głośno wykrzykujemy przekleństwa. Pewien *gweilo*, mój klient, poprosił mnie kiedyś o tłumaczenie spotkania z kilkoma jego dostawcami, relacjonowałam więc z grubsza, co mówiono. Wyłapał niecenzuralne słowo, wytłumaczyłam więc, co powiedzieli: że prędzej ja zamienię się w bezzębną starą sukę obciążającą druty białym facetom, niż oni spuszczą ceny i że powszechnie wiadomo, że moją matkę rżnęły psy.

I znów roześmiała się głośno jak chłopak.

- Tęsknię za Hongkongiem - wyznała, jak gdyby znalazła w nim powiernika. - Przyjechałam do Europy zapomnieć o tym miejscu na kilka tygodni, a potem Europa mi się znudziła, pojechałam więc do Ameryki, Ameryka nie przypadła mi do gustu, no i wylądowałam tutaj. Teraz wiem, że następnym etapem podróży będzie powrót do Hongkongu. Trzeba wypić piwo, którego narzyłam.

- Jakie piwo?

- To taki utarty zwrot - rzekła, przysuwając się bliżej. Ostrożnie podrapała się w kolano, pozostawiając cienki biały ślad.

- Brakowało mi chińskiego Nowego Roku - ciągnęła. Siedziała z łokciami wciśniętymi w uda i podparła twarz dłońmi. - Szalone miasto - dodała szeptem - *tchi-sin*.

Patrzyli na zeschnięty trawnik przed kościelną furką po drugiej stronie ceglanej ścieżki, osadzoną pomiędzy białymi sztachetami ogrodzenia. Kurz wzbijał się w powietrze w niemrawych podmuchach wiatru i osiadał z powrotem. Po przeciwnej stronie głównej ulicy otworzyły się sprężynowe drzwi bez okna i ukazał się w nich mężczyzna, stanął tak, jakby miał zamiar opuścić urządzone



tam prowizoryczny bar, ale zmienił zdanie. Nagle wyłoniła się kobieta, kołysząca się z boku na bok z powodu wyraźnego bólu w biodrach, zeszła po drewnianych schodach do niewielkiego sklepiku na dole, otworzyła go i zniknęła w środku. Po chwili pojawiła się znowu z papierosami i butelką, i wspięła się powoli na górę z takim samym dyskomfortem. Było upalnie i duszno.

- Widzisz, odeszłam od męża - rzekła Laurie - i związałam się z pewnym Australijczykiem, moim klientem. Ale dzieci, które chodzą już do szkoły średniej, nie chciały ze mną rozmawiać i zostały ze swoim ojcem. Hongkong jest bardzo konserwatywny i w takim duchu wychowujemy dzieci, żeby były przystosowane, znały ciężką pracę, szanowały rodziców. Więc trudno się im dziwić. Rodzice również przestali się do mnie odzywać; matka zatrasnęła mi przed nosem drzwi. Wkrótce wszystko, za co kochałam tego mężczyznę, zaczęło wydawać się nic niewarte. Pewnego wieczoru rozbiłam samochód, zjeżdżając z The Peak. Poturbowałam się i wyładowałam w szpitalu. Po wypadku zarezerwowałam bilety lotnicze do Europy i pojechałam na lotnisko, gdy tylko odzyskałam sprawność.

- Ojej - powiedział. - Co zamierzasz po powrocie?

- Może nie wrócę.

- Przecież tak bardzo tęsknisz za tym miejscem.

- To prawda. Nie wiem jednak, czy mogę wrócić. Ponieważ ci, których kocham - zawahała się - nie potrafią kochać mnie. Nikt, ani on, ten Australijczyk, ani mój mąż, ani dzieci, ani rodzice, kompletnie nikt nie odwiedził mnie w szpitalu. Widzisz, z tym Australijczykiem, nazywał się Brutt, okropne imię, niedawno się rozstałam, byłam w trakcie przeprowadzki. Dlatego nie przyszedł. Ale w wypadku pozostałych nie było przeszkód.

- Ależ Laurie, może wiedzieli, że miewasz się dobrze albo zakazano im odwiedzin, bo nie pozwalał na to twój stan...

Pokręciła głową i rzuciła mu przelotne spojrzenie, po czym źrenice jej oczu wzniosły się do nieba jak ciemne małe latawce.

- Nie - rzekła.

- Są na ciebie źli, ale jeśli przeprosisz, wybaczą.

Pokiwała bez przekonania głową.

- To kwestia warunkowa.

- Miłość warunkowa, tylko taka istnieje.

- Dlaczego poprosiłeś mnie o pomoc?

Siedział z rękoma na szczytach kolan. Przykryła je własnymi dłońmi. Nie poruszył się, pragnął tego dotyku, pragnął, żeby ktoś zatrzymał go w jednym miejscu, chciał podporządkować się życiu drugiej osoby, jej potrzebom.

- Tego rodzaju nadzieja nie umiera - przyznał - bez względu na to, co podpowiada intelekt. Albo doświadczenie. To zagadka człowieczeństwa. - Odwrócił głowę w stronę sklepu po przeciwnej stronie i zobaczył starą ociężałą kobietę, która odprowadzała do samochodu równie starego mężczyznę w garniturze. Ledwo trzymał się na nogach, pozdrawiając ręką niewidzialnego znajomego. Posadziła go na tylnym siedzeniu, a jemu natychmiast urwał się film i nogi zwiślały na zewnątrz przez otwarte drzwi. Kobieta otrzepała ubranie i weszła z powrotem do środka.

- Wiem, że umierasz - rzekła Laurie.

- A h a .

- Powiedział mi Bill.

- Jak się dowiedział?

- Od twojej żony.

Wypuścił powietrze przez nos, było to niemal cyniczne prychnięcie, nie potrafił ocenić, czy złości się, czy de-

nerwuje. Zaraz usłyszysz kolejne przykre nowiny, pomyślał, jak dwa razy dwa.

- Kochasz żonę?

- Nie wiem.

- A ona cię kocha?

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

- Nie pojechałbyś ze mną do Paryża?

Przeciągnął dłonią po twarzy, chcąc zyskać czas na odpowiedź.

- Pojechałbym, ale to niemożliwe.

- Dlaczego, Janie, co masz do stracenia?

- Myślę raczej o tobie - odparł. - Codziennie biorę morfinę, a mówią, że wtedy to już tylko kwestia czasu. - Spuścił wzrok na kościelne schody, na których siedzieli, i cierpko odnotował w myślach tę lokalizację.

- Kiedy zostanie mało czasu, łatwo jest kochać, na pewno by się nam udało.

Zdumiała go jej szczerość. Popatrzył na nią i dostrzegł odmienność jej twarzy. Przedtem widział w niej chińską kobietę niepodobną do innych Chinek, delikatną i oryginalną, a gdy spoglądał na nią teraz, zauważał, jaka jest dla niego egzotyczna z tą pozbawioną wszelkiego fałszu twarzą, otwartą i rozsądną. Przyglądała mu się, oceniała.

- A potem, kiedy odejdziesz, zostanie we mnie poczucie, że byłam kochana. Kochana bezwarunkowo. Potrafiłbyś mi to dać, tak myślę.

Widząc zamęt malujący się na jego twarzy, dokończyła:

- To będzie miłość najszlachetniejsza, dlatego że umierasz.

- Och, Laurie - wyrwało mu się. Wstał i strząsnął z siebie kurz kościelnych schodów. - Gdybym nie był u kresu życia albo gdybyś nie znała prawdy...

- Nie - rzekła, ściągając brwi - tak miało się stać.

Zszedł ze schodów i dreptał w kółko, naśladowując samotne auto, które okrążyło rondo. Nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć, czuł się urażony, jak gdyby został wykorzystany. Spadło to na niego nagle, niespodziewanie. Gdyby trzymał się swej wiary, wiary w osobę, za którą ją uważał, wówczas pojałby prawdziwy sens jej słów. Oferowała mu miłość; mówiła przecież, że mogłaby go pokochać. Przystanął i spojrzął na nią. Siedziała jak nastolatka, przytrzymując spódnicę, żeby nie wystawiać na widok bielizny. Zadarła głowę i uśmiechnęła się do niego ze sprytną gorliwością, jaką okazuje nauczycielowi mała uczennica, oczekując dobrych ocen.

- No więc?

- Pozwól mi się zastanowić. Mam tak wiele do przemyślenia.

## 48

- Mogłeś zapukać - powiedział Adam, obwiązując się ręcznikiem.

- Co jest, co tu się dzieje? - dopytywał się z progu Jason. Dostrzegł głowę Adama. - Wiedziałem... - Szykował się już, by wtargnąć do pokoju, lecz Burns zagroził mu ramieniem drogę i rzucił pospiesznie:

- Nie mogę pozwolić panu wejść, panie Ryder.

- O co chodzi, o co tu chodzi? - nie przestawał indagować Jason.

Nagle z piersi Annemieke wyrwał się potężny szloch. Odwróciwszy się ku niej, i Adam, i Burns ujrzeli ją płaczącą wśród naciągniętych prześcieradeł. „Najprawdziwsze łzy”, pomyślał Adam. Zadrżały jej ramiona, zaczęła szczykać zębami. Obaj mężczyźni stali bez ruchu, pa-

trząc. Adam przypomniał ją sobie przy basenie, jak wyniośle spoglądała zza przeciwsłonecznych okularów, to podsuwając je do góry, to opuszczając. „Suka”, pomyślał. Burns obrócił się do Adama i rzucił mu wściekłe, oskarżycielskie spojrzenie.

- Och, nie przesadzaj - rzekł do niej Adam.

- Pani De Groot - zwrócił się do niej Burns - proszę powiedzieć, co się tutaj dzieje. Jest pani roztrzęsiona, a ja nie chciałbym wyciągać pochopnych wniosków, lecz nie wygląda mi to na radosną scenę...

Jason wkroczył do pokoju i stanął obok Burnsa ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

- Nie ma wątpliwości, co tutaj zaszło - oznajmił, odwracając się bezpośrednio do Adama.

- Prosiłem pana o pozostanie na zewnątrz - rzekł Burns. - Pani De Groot...

Szybko skinęła głową i otarła oczy białym prześcierałem.

- Doprawdy, nie wiem - mówiła - wypiliśmy parę drinków, Adam zaoferował się, że odprowadzi mnie do pokoju, bo nie czułam się najlepiej. Mój mąż jest bardzo poważnie chory. - Nastąpił nowy wybuch spazmów, Burns rzucił się ją uspokoić, powtarzając kilkakrotnie „już dobrze”, póki nie opanowała się na tyle, by móc kontynuować.

- W każdym razie położyłam się chyba do łóżka, aż tu nagle czuję na sobie tego mężczyznę. - Zmrużyła oczy i otarła dłońmi twarz, rozmazując tusz po policzkach.

- On ją zgwałcił! - krzyknął fason.

- Bzdura - odparł Adam - poprosiła, żebym ją przeleciał...

- A więc doszło do aktu seksualnego - rzekł Burns - nie zaprzeczasz...

- O Boże! - jęknęła Annemieke.

- Poprosiła mnie - powtórzył Adam, czując, jak łyżyczką go pod powiekami - ta stuknięta baba zaproponowała mi pieniądze za seks...

- Akurat w to uwierzę - rzekł oschłym tonem Jason, odwracając się i kładąc dłoń na ramieniu Burnsa. - Trzeba wezwać policję.

Burns stał bez ruchu.

- Niech pan wezwie policję.

- Nie - zaprotestował Burns, oswobodzając ramię z uścisku Jasona. Podeszedł do drzwi i ostrożnie je zamknął, po czym wrócił ze zmarszczonym czołem.

- Trzeba się ubrać, uspokoić i odwołać do zdrowego rozsądku — stwierdził, zwracając się do całej trójki. - Potem spotkamy się u mnie w gabinecie i jeśli ktokolwiek zechce zmienić swoją relację, nie ma sprawy. Wszystko pozostanie w czterech ścianach.

- Tę kobietę zgwałcono! - gorączkował się Jason. Popatrzył na nią z odrazą. - Pewnie potrzebuje pomocy lekarskiej - dodał już ciszej.

- Pewnie tak - przyznał Burns.

- Chyba nie chce pan sprawy w sądzie... - Jason zawiesił głos.

- Pół godziny nas nie zbawi.

- Dowody - syknął Jason - próbki, wymazy...

- Przecież przyznaje się do odbycia stosunku seksualnego - zauważył Burns.

- Prosiła mnie - powtórzył jeszcze raz Adam. - Inaczej, po co miałbym iść z nią do łóżka? - Annemieke przestała pociągać nosem i otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć. Szybko je zamknęła. Jej twarz tężała powoli jak roztopiona lawa, najpierw broda, potem cała dolna część twarzy, w dalszej kolejności twarzenie ogarniało nos i posuwało się wyżej, zamieniając twarz w litą skałę.

- Dajmy sobie pół godziny - oznajmił Burns. W ciągu pół godziny może wszystko rozejdzie się po kościach. Będzie miał czas na drinka. - A teraz nikomu ani słowa, wszyscy trzymamy język za zębami. - Podeszedł do drzwi, by wyprowadzić Adama, następnie wstąpił do łazienki i wziął szlafrok. - Proszę, okryj się, a potem zabieraj stąd ciuchy.

- Nie wiem, co ci strzeliło do łba, człowieku - mówił w drodze do windy. - W każdym razie lubisz kłopoty. I nie wiem, co tam zaszło, ale mogę sobie wyobrazić. Widziałem was dwoje wczoraj wieczorem. Nie prowadzę tu burdelu. - Gdy otworzyły się drzwi windy, wyszli z niej starsza kobieta ze swoim młodym absztyfikantem. Niósł siatkę wypełnioną owiniętymi w gazetę upominkami. - Później napijemy się w The Regal porządnej angielskiej herbaty - mówiła kobieta.

Jason odsunął się tymczasem od łóżka, stał z wciąż odwróconym wzrokiem i wykrzywionymi kącikami ust, jak gdyby skosztował czegoś cierpkiego.

- Skoro nic ci nie jest, to pójdę, mężczyzna niewiele tu wskóra. Mogę poprosić Missy, żeby do ciebie zajrzała, jeśli chcesz.

- Nie - odparła szorstko Annemieke - nie rób tego, proszę.

Jason kiwnął głową i ruszył ku drzwiom. Nigdy nie lubił tej kobiety.

## 49

W drodze powrotnej do ośrodka zatrzymali się całą grupką w restauracji przy plaży, wstąpili na herbatę, kawę, ciastko i ruszyli dalej wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy. Wymieniali się spostrzeżeniami, jak to lokalni mieszkańcy korzystają z bogactwa morza, kąpiąc się codziennie w morskiej wodzie w pełnym rynsztunku. George i Doro-

thy opowiadali, że widywali ten rytuał dzień w dzień o brzasku na plaży.

- Też pomyśl, żeby nie ściągać ubrania - powiedziała Dorothy.

- Och, nie wolno mierzyć innych miarą własnego wyuzdania tylko dlatego, że ma się bogate doświadczenie w pływaniu na golasa - stwierdził Bill.

- Dziwię się, że nie kurczą się im rzeczy - ciągnęła Dorothy. - No ale z drugiej strony nie podejrzewam, by często wkładali odzież z wełny.

Laurie i Jan wymienili spojrzenia i parsknęli śmiechem. Patrząc przez okno, przyglądając się lokalnym mieszkańcom, którzy z kolei przyglądali się im, jak w ślimaczym tempie przejeżdżają przez wioskę, Jan jeszcze raz zastanowił się nad słowami Laurie; miłość szlachetna, ponieważ on umiera. Jedno osobliwe spostrzeżenie nie powinno służyć zmianie jego opinii o człowieku. Jakie znaczenie miał czynnik umierania, pierwszorzędne czy drugorzędne? Czy w ogóle się liczył? Rzeczywiście umierał, to fakt. Był nazbyt cyniczny. Proponowała mu miłość. Kiedyś mógłby w to uwierzyć, teraz też nie jest jeszcze za późno. Pochwycił spojrzenie Billa w lusterku wstecznym.

Dorothy zaczęła szeptać coś do Laurie na tyle głośno, że wszyscy ją słyszeli.

- Słuchaj, zachowywał się przed pastorem jak najgorszy pozer. Wyobraź sobie, opowiadał mu o *swojej* wojnie.

- Przewróciła oczami. Laurie uśmiechnęła się. George, który z powodu sztywności pleców nie mógł się odwrócić, ciężko westchnął.

- Wszystko słyszę.

- Nie dał mi dojść do słowa.

- Daj spokój, moja droga - skarcił ją zniecierpliwiony George.



- Naturalnie wszyscy wiemy, co robił na tej *swojej* wojnie. Próbował podrywać włoskie dziewczyny.

George miał unieruchomiony kark, dla zachowania równowagi zapierał się rękoma, kładąc jedną na oknie, drugą na desce rozdzielczej. Bill zaczął mówić:

- Na pewno miał z sobą twoje zdjęcie...

- Pastor chyba mnie nie polubił - ciągnęła Dorothy, szturchając Laurie w ramię. - Wiesz, nie podał mi ręki, nawet nie zdobył się na „miło mi poznać”. Mężczyźni trzymają z sobą sztamę...

Janowi było niewygodnie; samochód wydał się nagle bardzo ciasny. Słyszał, jak George znowu wzdycha, tym razem ze złością. Bill położył rękę na ramieniu staruszka i go poklepał.

- Zawsze ze wszystkiego mnie wykluczają. Ale taki nasz, kobiet, los, prawda? - mówiła dalej Dorothy. Laurie nie powiedziała nic, mruknęła coś niezrozumiale, wyrażając solidarność bez aprobaty. Poza wioską samochód nabierał większej prędkości i odczuwało się łagodny wietrzyk.

- Lubi się popisywać, to jego słabość. Uwielbia brzmienie własnego głosu. - Parsknęła sztucznym, urywanym śmiechem.

Tego było dla George'a za wiele. Robił, co mógł, by obrócić się na siedzeniu, lecz pas bezpieczeństwa ograniczał mu ruchy. Niemal się krztusząc, wycedził:

- Posłuchajcie jej tylko. Stara głupia krowa.

Jan spuścił głowę, żeby na to nie patrzeć. Laurie ścisnęła mu dłoń. Odwzajemnił uścisk.

- Powiem wam, co tam robiliśmy. Spędzaliśmy miło czas. Pastor zwracał się do ciebie przez ponad połowę spotkania. Musiał słyszeć, jak powtarzasz trzy razy to samo, jak twoje córki pokończyły uniwersytety. Trzy razy. To jedyne, co mogłem zrobić, żeby powstrzymać cię przed

gadaniem w kółko tego samego. Carol studiowała w Southampton sto lat temu. Jeanette wyjechała z Bristolu chyba w 1971. Za każdym razem, kiedy chciałem zamienić z nim kilka słów, ty wyskakiwałaś z tym samym stekiem starych dyrdymałów. Jak możesz tak siedzieć i opowiadać mi bzdury na temat tego miłego człowieka, nie pojmuję. Zwyczajnie nie mieści mi się w głowie.

- Tak, tak, jasne - odezwała się - narób mi przed wszystkimi wstydu.

Wziął głęboki oddech.

- Sama robisz sobie wstyd - odparł ponuro. - Mnie do tego, moja droga, nie potrzeba.

- Kolejny cudowny dzień - przerwała Laurie. - Czy tu kiedykolwiek się chmurzy...

- Wkrótce już mnie nie będzie - powiedziała Dorothy.

- Tak, wiemy, już to słyszeliśmy - skwitował George, mozolnie dźwigając się do pozycji półstojącej i poprawiając się w fotelu.

- Teraz to już długo nie potrwa.

- Nie, nie potrwa.

Umilkli. Gdy dotarli do ośrodka, Bill zatrzymał się przy recepcji i powiedział, że wysadzi ich wszystkich przy hotelu, a potem odprowadzi wóz na parking. Jan obszedł samochód, by otworzyć Dorothy drzwi.

- Och, dziękuję, młody człowieku - powiedziała z udawaną przyjemnością, a ze sposobu w jaki na niego patrzyła, nie potrafił wywnioskować, czy Dorothy wzięła go za kogoś nieznanego, czy żartuje. Podtrzymując ją za łokieć, poprowadził na schody. Obejrząwszy się za siebie, zobaczył George'a siedzącego nieruchomo, wręcz sztywno, w samochodzie, kiedy więc Laurie do nich dołączyła, zaproponował, by zaprosili Dorothy na szklanczkę lemoniady przy basenie.

- Ciężka sprawa - powiedział Bill.

- Tak - odrzekł George, spoglądając przed siebie. - Pojadę z tobą. Razem odstawimy samochód.

- George, z nią dzieje się coś niedobrego.

- Muszę stawić temu czoło, wiem.

- Nie ma sensu traktować jej tak, jakby była, no wiesz, zupełnie zdrowa, a tylko niedorzecznie się zachowywała. Rozumiesz mnie?

- No to co byś zrobił? - spytał George, zwracając twarz do Billa i cmokając, co, jak zauważył Bill, robił zawsze, gdy był czymś przejęty, jak gdyby próbował powstrzymać uczucia, jakby chciał nad nimi zapanować.

- Nie wiem, przyjacielu. Po powrocie do domu powinienś skonsultować się z lekarzem.

George pokiwał głową.

- Pewnie, przepisze jej jakieś tabletki - powiedział.

- Może. - Bill wrzucił jedynekę i ruszyli w stronę parkingu, okrążając dziedziniec.

- Będzie się pogarszać, tak mówił lekarz.

- George, Pan nie doświadczy nas ciężiej niż potrafiemy znieść.

Stanęli na miejscu parkingowym, George powoli otworzył swoje drzwi i z pomocą obu rąk wydostał się z samochodu.

- Przeklęty kręgosłup - powiedział gwoli wyjaśnienia.

- Panie De Groot? - Menedżer wyszedł z biura zważnym krokiem. - Możemy porozmawiać na osobności?

Jan miał zaskoczoną i niepewną minę; wciąż trzymał Dorothy pod ramię. Obrócił się do obu pań.

- Zechcecie mi na kilka minut wybaczyć? - powiedział, kierując pytanie do Laurie.

- Tak, byłeś bardzo miły, dziękuję - zapiszczała Dorothy i udały się z Laurie w stronę tarasów.

Burns stał zwrócony plecami do ciemnych drewnianych drzwi swojego gabinetu, gestem dłoni zapraszając Jana do środka. Zamknął za nim drzwi i wskazał krzesło.

- Panie De Groot - zaczął, ruszając bezzwłocznie na swoje miejsce za biurkiem - podczas pańskiej nieobecności wydarzył się tu bardzo przykry incydent.

Jan uniósł brwi.

- Doprawdy?

Burns oblizał wargi i uśmiechnął się półgębkiem.

- Pańska żona, pani De Groot...

- Nic jej nie jest?

- Nie. Sądzę, że nie. Doszło do molestowania seksualnego.

Mały uśmieszek wykrzywił kącik ust Jana.

- To nie jest jakiś żart, panie Burns?

- Nie. Proszę mówić mi Steve.

- A l e co się stało? Sądziłem, że spędza dzisiejszy dzień z Amerykanami. Czy to jeden z nich? - Jan pochylił się do przodu, a Burns był mu wdzięczny za zachowywanie zimnej krwi. Przystąpił do omawiania tematu napaści seksualnej na własną żonę z niemal naukowym skupieniem.

- Przede wszystkim - nic jej nie dolega. Do incydentu doszło przed chwilą. Żona jest w państwa pokoju. Poprosiłem, by przyszła tutaj, gdy będzie gotowa.

- Czy to możliwe? Nie doznała żadnych obrażeń?

- Wydaje się, że nie odniosła żadnego uszczerbku na zdrowiu - odparł Burns, a zaraz potem się poprawił - to znaczy - pod względem fizycznym. Strona psychiczna to, jak przypuszczam, sprawa zgoła odmienna...

- Tak, tak - rzekł Jan. - Kto to zrobił?

- Adam Watts. Nasz pracownik sezonowy. Zna go pan.

- Tak, znam. - Jan rozparł się w krzesło. Spojrzał na oprawione w ramki reprodukcje map wiszące za Burnsem na ścianie. Mapy Afryki, o celowo opalonych i sfatygowanych brzegach. Pomyślał o młodym mężczyźnie z przetłuszczonymi, długimi włosami blond i o leniwym, swobodnym uśmiechu. - Trudno mi jednak uwierzyć, że byłby zdolny do czegoś takiego - wyznał Jan, zdejmując okulary i mrugając powiekami. Stał z oczu kurz podróży i schował okulary do kieszeni. Rzeczywiście wyglądał na wyczerpanego. Burns przypomniał sobie o morfinie.

- Napije się pan, panie De Groot?

Jan potrząsnął przecząco głową.

- Mimo wszystko moja żona twierdzi, że ją zgwałcił? Jak? Kiedy?

- W porze lunchu. Zastaliśmy ich razem. Widzi pan, pan Ryder przyszedł powiedzieć, że pańska żona nie dołączyła rano do ich paczki, a słuchawka jej telefonu jest odłożona. Uznał to za podejrzaną i poprosił, bym sprawdził, co się dzieje. Poszliśmy więc na górę, zapukałem do drzwi i wszedłem. Wygląda na to, że żona trochę wypła, mam na myśli drinki, a on ją wykorzystał. Kiedy spała. - Po chwili dodał: - Nie czuła się najlepiej, tak relacjonował barman, wróciła więc zdrzemnąć się do pokoju, Adam zaś jej towarzyszył. Może po prostu odprowadzał ją z uwagi na jej kiepskie samopoczucie.

Jan spuścił głowę i utkwiał wzrok w podłodze.

Burns przyglądał się mu, trzymając pióro poziomo nad blatem biurka między palcami wskazującymi a kciukami. Jan potarł czoło i wydał przeciągłe westchnienie, kręcąc przy tym głową.

- I co o tym sądzić, panie Burns?

Burns zawahał się.

- Zrozumiem, jeśli zechce pan wnieść oskarżenie...

Jan rozciągnął wargi i znów pokręcił głową.

- Raczej nie, panie Burns. Powinienem pomówić z żoną...

Usłyszeli pukanie do drzwi i kobiecy głos mówiący:

- Jest ze mną pani De Groot, sir.

Burns wstał i wytarł lepkie dłonie w siedzenie spodni khaki.

- Poprosiłem Amandę, by sprawdziła, jak miewa się pańska żona i przyprowadziła ją tutaj, gdy będzie na to gotowa. Chciałbym poznać jej wersję wydarzeń.

- Oczywiście - rzekł Jan, nie przestając kiwać głową, tak jak porusza się gałąź drzewa w strugach ulewnego deszczu. Ukojony rytmicznym ruchem głowy poczuł nagle na ramionach dotyk żony. Powoli podniósł się z miejsca i objął ją, gładząc jej włosy i czując, jak wilgoć przenika przez gors koszuli. Nic nie mówił, lecz głaskał ją w tym samym rytmie, w jakim kołysał głową. Kiedy odrywali się od siebie, zapytał, czy nic jej nie jest, a ona pokręciła głową.

- Och, Janie - rzekła - czuję się taka nieczysta...

Jan uciszył ją i ponownie wziął w ramiona, patrząc na Burnsa, patrząc na mapy na ścianie, patrząc na papiery na biurku.

- Co zrobimy? - spytała męża.

- Ciii - mruknął, a jednocześnie ujrzał w wyobraźni obraz siebie przyciskającego poduszkę do jej twarzy i szepczącego przy tym czule słówka.

Burns poczerwieniał. Odchrząknął i zebrał nieliczne papiery, jakie leżały na jego biurku, w poszukiwaniu notesu.

- Powinniśmy chyba zacząć od ustalenia, co się wydarzyło - powiedział, odnajdując przypadkowo długopis.

Wskazał drugie krzesło, Annemieke zajęła miejsce obok męża.

Na początku zacisnęła usta. Zamknęła oczy i nabrała powietrza w płuca.

- Odprowadził mnie do pokoju. Czułam się niewyraźnie...

- To samo powiedział Benjamin - wtrącił Burns.

- Kto?

- Barman.

- Czułam się okropnie. Bolała mnie głowa. No i Adam zaoferował, że odprowadzi mnie na wypadek, gdybym zemdląca.

Jan z troską patrzył na żonę, a przy tym wciąż delikatnie kiwał głową, jak gdyby przysłuchiwał się dziecku wyniszczającemu sprawę przed dyrektorem szkoły, forsując siłą woli własną wersję wydarzeń.

- Rozebrałam się. Przypuszczałam, że wyszedł, ale byłam w tak marnej formie, że jedyne, czego pragnęłam, to wejść do łóżka i spokojnie poleżeć. Wiesz, jak to jest, Janie. Kiedy dopadają mnie te migreny.

- Oczywiście.

- Musiałam stracić świadomość. Z bólu. A kiedy się obudziłam, nie mam pojęcia, która była wtedy godzina, bo nie spojrzałam na zegar, on był... leżał na mnie... Był... - Burns wykrzywił usta w bladym uśmiechu i wypowiedział bezgłośnie przeprosiny - był we mnie. Czułam go, powiedziałam więc: „Nie!” Wiem, że to powiedziałam. On jednak nie przestał, póki nie skończył. A potem, chwała Bogu, wszedł pan. Jestem panu wdzięczna, panie Burns, bo obawiałam się, że zaczniesz od nowa, kto wie, co mogło się stać. - Niedbale otarła oczy zwiniętymi w dłoniach papierowymi chusteczkami.

Jan milczał. Annemieke odwróciła się do niego z pytaniem:

- Masz zamiar tak siedzieć i nie odzywać się słowem?

- Co chcesz, żebyś powiedział? - spytał z silnym obcym akcentem, używając składni swojego ojczystego języka.

- A co powiedziałyby każdy mężczyzna?

- Nie wiem.

- Tak, widzę. I to nie po raz pierwszy - rzekła z czerwonymi, nabrzmiętymi od łez oczyma i grymasem przeobrażenia na ustach. Potężny płacz wezbrał w postaci rozdętej bańki śliny na ustach; pękła, uwalniając szloch.

- Pan Watts nie zaprzecza, że odbyli stosunek seksualny - przyznał Burns, kuląc się z zażenowania.

- Rozumiem - powiedział Jan. Chciał wziąć żonę za rękę, lecz ona wyrwała dłoń.

- Proszę państwa, co do kwestii wniesienia oskarżenia...

- Nawet własny mąż nie staje w mojej obronie — zaczęła Annemieke - jestem zdana wyłącznie na siebie...

- Annemieke, nie w tym rzecz. Chcesz wnieść oskarżenie?

- Chcę twojego wsparcia...

- Wspieram cię, zawsze cię wspierałem, przez całe życie...

- I żebyś mi uwierzył.

Jan wydawał się temu niechętny, zwiesił głowę i bąknął coś niezrozumiale.

- T a k - mówiła dalej zmiennym tembrem głosu - właśnie tak, żebyś mi uwierzył.

Burns znowu spiekł raka. Nikt nie powinien być świadkiem takiej rozmowy między kobietą a mężczyzną. Oto miał przed sobą całą historię ich małżeństwa, paradującą przez jego biuro w smutnej, niezawołowanej procesji. Wyobraził sobie w najdrobniejszych szczegółach, jak wyglądał ich związek, oczyma duszy widział od-



cisk pozostawiony na prześcieradle przez dwa leżące z dala od siebie ciała, widział ubrania mężczyzny rzucone na podłogę, widział w drzwiczkach szafy ślad po wkręcie, który dawno wypadł, spakowaną do połowy torbę podróżną na podłodze. Wyobrażał sobie wielkie wydarzenia: chrzciny, na których zabrakło tortu z powodu nierozstrzygniętej sprzeczki dotyczącej zupełnie innej sprawy, pierwszy dzień dziecka w szkole, który nadszedł i przeminął bez kliszy w aparacie, widział samochód obojętnie przejeżdżający koło sklepów w rocznicę ślubu. Słyszał szum telewizora, który łagodził wszystkie te ciosy. Nie miał pojęcia, na czym polegał sukces ich małżeństwa. Związki zawiązują się i rozpadają, myślał bez przekonania, na pewno zdarzały się słoneczne dni, splatały się dłonie, dowcip rozśmieszał oboje jednocześnie, dzieci z pewnością mówiły urocze słówka, a jakże. Jego własne wyobrażenia sukcesu, tak żywe i wyraziste, były jedyne w swoim rodzaju, wypracowane indywidualnie, choć powszechnie akceptowane. Przypominały telewizyjne reklamy drogich samochodów. Pewnego dnia, obiecywał sobie, znajdzie się na amerykańskiej autostradzie, z nogą na gazie sportowej bryki, z paszportem w kieszeni i jedną torbą na siedzeniu obok, będzie zatrzymywał się, gdzie chce i kiedy chce, jak mu w duszy zagra.

- On nie odezwie się słowem - oznajmiła niepotrzebnie żona. Twarz Jana pozostała niewzruszona. Nie było ławy przysięgłych. Był tylko Steve Burns. Nagle spojrzała na niego z nienawiścią, jakby to on powinien znaleźć się na ich miejscu. - Nie wierzy mi.

- Ależ wierzy - odezwał się zniecierpliwiony Burns, zaskoczony, że w ogóle go to obchodzi. - Najważniejsze, żeby nie spieszyć się z pochopnymi decyzjami i wnioskami, to wszystko. Oczywiście, że mąż pani wierzy. Wierzymy obydwaj.

Jan podniósł na niego wzrok.

- Wierzimy pani - powtórzył Burns.

- Podobno tak się właśnie dzieje; piszą o tym we wszystkich magazynach, sama bym na to nie wpadła. A tymczasem wszystko przez to, że jestem kobietą. - Przypomniała sobie wyraz twarzy Jasona w hotelowym pokoju. - Uważacie mnie za nieczystą. Zbrukaną.

Jan omiół ją spojrzeniem.

- Nie, Annemieke.

- Tak, jestem skalana, jak zużyty towar, do niczego. Stara kobieta, którą zhańbiono, w waszym porządku świata jestem bezwartościowa. Nie mogę już rodzić dzieci. Jestem jałowa i pusta, a teraz w dodatku splamiona...

- Nieprawda - zaprotestowali obaj mężczyźni.

- Gdybyście wiedzieli, gdybyście wiedzieli, jak cierpiałam, przez co przeszłam - cedziła te ambarasujące słowa przez wąską szczelinę między wargami, nie robiła żadnego rozróżnienia między mężczyznami, do których były kierowane - miesiąc po miesiącu, mordując nasze dzieci.

Burns potrzebował się napić, wymacał dłońmi uchwyt szuflady.

- O czym ty mówisz? - spytał Jan z rękoma spoczywającymi na blacie biurka.

- O wkładce domacicznej - odparła - o spirali. Przeczytałam w piśmie kobiecym, że działa na zasadzie aborcji. Nigdy o tym nie wiedziałam. Teraz rozumiem, dlaczego każdego miesiąca miałam ochotę się zabić. Nie wyjaśniają, jak to świństwo działa. Nie dopuszcza do zagnieżdżenia się zapłodnionego jajeczka. Przerwanie ciąży, zadawanie śmierci miesiąc w miesiąc, oto jak działa spirala! Dlatego czułam się taka nieszczęśliwa, ciągle, bezustannie. Tak bardzo nieszczęśliwa. Moje własne ciało uśmiercało życie. Życie spuszczone w toalecie, to wbrew kobiecej naturze, to ją niszczy, to ohyda...

Zaczyna tracić kontrolę, wywnioskował Burns. Prędko wyjął butelkę i odkręcił zakrętkę.

- Mała kapka - zaproponował - dobrze jej zrobi. - Przyniósł trzy papierowe kubki z dystrybutora wody.

- Annemieke, przesadzasz - rzekł fan, podnosząc wzrok na Burnsa.

- Jesteśmy katolikami, urodziliśmy się w katolickich rodzinach - powiedziała, a łyżę kapnęła jej z brody.

- Przestań, wpadłaś w histerię, źle się czujesz - Jan przysunął papierowy kubek do jej ust. Pociągnęła głośny łyk.

- Zewsząd otacza mnie śmierć, a teraz jeszcze to - mówiła. - I powiem ci, Janie, że najsmutniejszy w tym wszystkim jest fakt, że mi nie wierzysz, że podważasz prawdziwość moich słów, choć wspólnie spędziliśmy życie. Równie dobrze moglibyśmy nigdy nie być razem, nie wynieśliśmy z tego małżeństwa zupełnie nic.

- Przecież ja chcę ci wierzyć, ale jeśli nie jest tak, jak myślisz? - Wypił swoją porcję i poczuł w piersi drażniące gorąco. - Co mam robić? Musimy przyjąć jakiś standard zachowania; czy może raczej - muszę uczynić to ja - zakończył.

Burns odchylił głowę, wlał do gardła podwójną porcję alkoholu i głośno przełknął.

- Proszę państwa, nie dajmy się ponieść emocjom, żeby nie powiedzieć za wiele - rzekł. - Porozmawiam z Adamem, wysłucham jego wersji, rozumieją państwo, to mój obowiązek. Potem zajmujemy się resztą. Zgodnie z państwa życzeniem. Może lepiej się z tym przespać? Powinniśmy zastanowić się wszyscy.

Wyprowadził ich z biura, mówiąc coś uspokajającym tonem, zaproponował przyniesienie kolacji do pokoju, zamknął za nimi drzwi.

Usiadł za biurkiem i zerknął na trzy puste kubki, po czym nalał sobie kolejną porcję alkoholu. Pomyślał, że papierowe kubki przypominają te, których używa się w szpitalu na wodę do popijania tabletek. Jej mąż umiera. Przykre. Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do Anglii. Czekał, aż matka zgłosi się, podając numer telefonu, który dobrze znał od dzieciństwa.

## 51

Jan miał w swojej apteczce małą dawkę valium. Zaproponował, by ją zażyła i żeby oboje się zdrzemnęli. Podziękowała oficjalnym tonem. Powędrowała z pigułką do łazienki. Takie miała dziwactwo: nie znosiła, kiedy ktoś patrzył, jak łyka lekarstwo. Gdy wymiotowała, wymiotowała w samotności i biada każdemu, kto próbowałby ją pocieszyć, atakowała wówczas męża albo synów jak dzika bestia. Podobnie było, jak przypuszczał, z fizjologicznymi funkcjami jej kobiecego organizmu. Nigdy nie wspominała na ich temat; nigdy nie natknął się na żadne opakowania, odpadki, ślady.

Słowo „histeria”, rozmyślał, siedząc na krześle przy balkonie, ponieważ nie chciał położyć się na łóżku, wywodzi swe znaczenie od greckiego określenia macicy, była to zatem przypadłość nękająca kobiety. Przymknął powieki, czuł się wyczerpany. Zasugerowała, że kulminacją jej menstruacji przez większą część jej płodnego życia była rzeź. Pomyślał o spirali. Nigdy jej nie widział, ale wyobrażał sobie, że podobna jest do sprężynki. Przypominał sobie zjeżdżalnię na molo w Blankenberge, tysiące małych brzdąców z grubiutkimi nóżkami, trzymających się poręczy, wpadających prosto do morza. Dla jednej kobiety mogło to być nic nieznaczącą błahostką, dla innej

- całym światem. Żyjemy w mroku; może po śmierci wędrujemy do światłości, pomyślał.

- Jan - żona leżała na łóżku kompletnie ubrana, trzymając w rękach mały ręczniczek do twarzy, cicho popłakując. - Wierzysz mi?

- Czy wierzę - powtórzył, otwierając jedno oko. - Naprawdę tego ode mnie potrzebujesz?

Pokręciła głową i otarła kąciki ust. Leżała na boku i utkwiała nieruchome spojrzenie w drzwiach balkonowych za Janem. - Te lata musiały nam coś dać - rzekła. - Mruknięcie posłużyło za całą jego odpowiedź. Znacząco jedynie, że usłyszał jej słowa.

Po chwili jej oddech spowolniał, wzdrgnęła się i zamknęła oczy. Wkrótce jego uszu dobiegło cichutkie pochrapywanie, leki uspokajające zrobiły swoje, on zaś poczuł ulgę, że znowu jest sam. Był bardzo zmęczony. Miał wiele do przemyślenia, o Adamie i Dorothy, Laurie i Anemieke, o George'u i Billu, także o Burnsie, lecz całkowicie opadł z sił.

Stąpając ciężko, podszedł do łóżka i położył się obok niej. Zzuł buty palcami stóp i podciągnął kolana, przywierając nimi do jej nóg. Wyciągnął ostrożnie rękę, rozczapierzył palce i dotknął jej brzucha.

- *Mijn vrouw...*

Poruszyła się nieznacznie i oblizwała wargi, a następnie czując jego bliskość, poszukała jego ręki i zamknęła ją we własnej dłoni.

## 52

Ani Jason, ani Missy nie mogli zasnąć, pomimo wypitej na spółkę butelki wina i szklaneczki brandy na głowę. Jason leżał na łóżku, czytając rozmaite magazyny dla biznesmenów, które kupił w recepcji. Missy była w łazience już

od dłuższego czasu i choć usiłował nie słuchać dobiegających stamtąd odgłosów, odwracały jego uwagę od lektury. Usłyszał ciche pokaszływanie, a potem spuszczenie wody w toalecie. Wyszła stamtąd pachnąca perfumami, w schludnej, krótkiej koszuli nocnej na cienkich ramiączkach. Miała mokre, gładko zaczesane włosy, wyglądały jak sos karmelowy spływający na waniliową skórę.

- Nie potrafisz odsunąć od siebie myśli, że to mogłabyś być ty - powiedział do niej, podnosząc wzrok znad magazynu. Miał zamyśloną, rozsądną minę, dopiero co odebrał się od oceny wyników gospodarczych w kraju z ostatniego kwartału. Zastanawiał się nad sprzedażą dużego pakietu akcji.

- Nawet tak nie myśl - powiedziała i wzdrygnęła się, niosąc do szafy dzienne ubrania i składając je raz jeszcze.

- Facetowi przydałaby się odsiadka w amerykańskim więzieniu, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- T a k .

- Przypomina mi się, co Jerry mówił na jachcie. Nigdy nie wiemy, co nas spotka, nigdy nie możemy czuć się bezpieczni.

- To mnie przeraża - rzekła, siadając obok, pochylając się ku niemu i kładąc mu rękę na brzuchu. Odruchowo zrobił wdech, zaraz potem się rozluźnił. Jako młody mężczyzna cierpiał na nadwagę; był zaangażowanym zwolennikiem siłowni i diety wysokobiałkowej. - Komu można ufać? - spytała.

Czy oczekiwała odpowiedzi, czy też nie, Jason czuł się w obowiązku jej udzielić. Byli małżeństwem od trzech lat; podziwiała go. Jej szacunek mocno go stymulował.

- To skomplikowane - zaczął, odkładając na bok czasopisma. - Widzisz, musimy asygnować poważne kwoty na działania, których celem jest odnajdowanie szubrawców i zamykanie ich w więzieniach. - (Lubił używać formy

„my”, gdy mówił o swoim kraju, podobnie jak lubił, by program planowania finansowego, który zainstalował u siebie w komputerze, był podłączony do jego palmtopa).

- Z przestępcami radzimy sobie, powiedziałbym, dość skutecznie. W dużo większym stopniu niż inne kraje. Mamy w więzieniach więcej skazanych w stosunku do liczby obywateli niż jakikolwiek inny kraj, no, może z wyjątkiem Rosji. Ale nie powinniśmy nadmiernie obciążać naszych środków. Podatki, kochanie. Znajdujemy się między młotem a kowadłem, jesteśmy rozdarci między wolnością ekonomiczną a potrzebą zapewnienia bezpieczeństwa społeczeństwu. Oczywiście wolność jednostki jest wartością najwyższą - teraz, kiedy wyprostował się w fotelu, mignęło mu w lustrze własne odbicie, dostrzegł mocno zarysowaną brodę, szczupłą twarz, był pewien swoich racji i przekonujący. - A jednak niektórzy nie zasługują na udział w życiu naszego społeczeństwa i musimy takich izolować. To paradoks, skarbie. Naszą wolność warunkuje odbieranie wolności innym.

Missy przytknęła na moment powieki i westchnęła.

- Rozumiem - powiedziała w taki sposób, jak gdyby brzemień całej sytuacji musiały bezpośrednio udźwignąć ich ramiona - lecz wolność to tylko towar, prawda? Nic dziwnego, że czujemy się przygnębieni.

- Co masz na myśli? - zapytał i wstał, by wziąć z baru coś do picia i orzeszki. Zauważył batony czekoladowe i uznał, że jeden zjedzony na spółkę nie zaszkodzi. Nalał sobie kremu irlandzkiego i wyjął snickersa.

- Myślałam dziś o mężu tej kobiety. On umiera. Jak umrze, to nieodwołalnie. Zgadza się? Ona będzie pewnie wspominać te wakacje. Spuścizna po nim, czy też wszystko to, co pozostanie po kimkolwiek z nas, zupełnie nic nie znaczy, czyż tak nie jest? Ona może przekazać jego rzeczy, biżuterię, zegarki, pewnie także ubrania

dzieciom, jeżeli mają jakieś potomstwo, ale kiedy on odejdzie, to odejdzie na zawsze. Wiesz, jakie są dzieci. Sama zgubiłam obrączkę mojej mamy. Jedyne, co po nim zostanie, to wspomnienia, jej i członków rodziny. A one nie są prawdziwe. Płaczą się ludziom w głowach. Dlatego więc robimy tyle szumu wokół możliwości i perspektyw jednostki, skoro życie nie trwa wiecznie...

Zakończyła przemowę.

- Żebyśmy mogli być wolni, Missy! Wybierać, jak chcielibyśmy przeżyć życie.

Zmarszczyła czoło, wyglądała tak, jakby zbierało się jej na mdłości.

- Nie wiem, co to dokładnie znaczy - oznajmiła.

- Wiedziałybyś, gdyby ta wolność nie była ci dana. W tym rzecz. Cieszysz się, że nie mieszkasz w Chinach, mam rację?

- No pewnie, myślę, że najzwyczajniej wstrząsnął mną ten incydent. Ta przemoc. A gdyby ją zabił?

Kobiety są uczuciowe; mężczyźni praktyczni, był zadowolony, że wreszcie dopuszczalne jest wyrażenie takiej opinii. Oboje czytali *Mężczyźni są z Marsa...* i lektura wydała im się bardzo przydatna. Kupili ją na prezent gwiazdkowy dla rodziców, tak dla żartu. Powinien zinterpretować jej słowa, i tak zresztą uczynił, jako emocjonalną reakcję na wydarzenia dnia. Była osobą wrażliwą, nie w sposób ostentacyjny; nie miała zacięcia aktorskiego, była po prostu kobieca.

- Chodź tu - poprosił, idąc w stronę łóżka, na którego skraju przycupnęła. Objął ją ramieniem i przyciągnął do piersi. - Wiesz, Missy - mówił dalej, siadając obok - zabiłbym mężczyznę, który miałby wobec ciebie choćby trochę podobne zamiary. To się nigdy nie zdarzy, ja do tego nie dopuszczę. Jestem wściekły jak wszyscy diabli, że stało się to tutaj, w czasie naszych wakacji. Cały ten



ośrodek mocno mnie rozczarował. W przyszłym roku pojedziemy tam, gdzie jeździ tata, do West Palm Beach.

Nie przeszkadzało jej, że traktował ją jak dziecko. Spojrzała na niego poważnym, strapionym wzrokiem i rzekła:

- Zawsze będziemy mieć siebie, prawda? Nic mi ciebie nie zabierze. Zawsze będziesz mnie kochał.

Przysunął jej twarz do swego ramienia i spojrzał na zjedzony do połowy czekoladowy baton leżący na telewizorze. Powinien był wyrzucić go do śmieci.

## 53

George zadzwonił do Jana o siódmej i poprosił, by spotkali się na śniadaniu przy basenie. Gdy zjawił się Jan, zostawwszy w pokoju wciąż pogrążoną w głębokim śnie Annemieke, zauważył, że George włożył długie spodnie i kraciatą koszulę zamiast szerokich, łopoczących szortów i kolorowej koszuli, które nosił na co dzień. Siedział przed nietkniętą filiżanką herbaty z twarzą zwróconą na horyzont.

- Niespecjalnie jestem tym zachwycony - powiedział, kiedy Jan zamówił kawę, żeby się otrzeźwić. - Dziś rano robię za pośrednika. - Odsunął filiżankę z herbatą.

Jan przechylił głowę.

- T a k ?

- Adam poprosił, żebym z tobą porozmawiał.

- A h a . - Kawa smakowała gorzko; po zetknięciu ze ściankami żołądka, zamieniła się w żółć. Wziął normalną dawkę morfiny, więc ból w krzyżu się uśmierzał, ale z niewiadomego powodu żołądek miał tego dnia szczególnie wrażliwy.

- Chcę mieć to z głowy od razu - George pochylił się do przodu i zdjął okulary. Bładość skóry wokół oczu szo-

kowała, jak gdyby z lakierowanej powierzchni zdjęto dwa kubki, usuwając wraz z nimi wierzchnią warstwę lakieru. - Postąpił źle, bez względu na to, co nim powodowało. Zrobił okropną rzecz i nie uważam go już za przyjaciela, prawdę mówiąc, wolałbym nie mieć już z nim więcej do czynienia i dokładnie tak mu powiedziałem wczoraj wieczorem, kiedy poprosił mnie o odwiedzenie go w pilnej sprawie. Bill mnie do niego podwiózł, musiałem zabrać z sobą żonkę, bo inaczej, sam wiesz. Ale nie wtajemniczyłem w sprawę ani jego, ani jej. Zapytałem Billa bez ogródek, czy może wyświadczyć mi przysługę i nie zadawać pytań, a on odpowiedział, że jasne.

Kawa podziałała fatalnie, Janowi zaschło w ustach, na języku czuł smak kleju z pocztowego znaczka. Wypił łyk wody.

- Proszę, powiedz, co masz mi do powiedzenia - rzekł.

- Rozmawiałem z nim w cztery oczy o godzinie siódmej wieczorem - zaczął George, spuszczać wzrok, jak gdyby czytał z notatek. - Powiedział mi, cytując jego słowa, synu, że pani De Groot poprosiła, żeby się z nią przespał i zaoferowała mu za to sto pięćdziesiąt dolarów, amerykańskich.

George przełknął ślinę i wziął głęboki oddech. Założył okulary i popatrzył na Jana. Jan nie odezwał się ani słowem.

- Wiem, chłopie, wiem - rzekł George, sięgając po filiżankę i siorbiąc herbatę. Wyrwało mu się zdawkowe „eh”, a następnie podjął temat. - Sensu w tym za grosz. Twierdzi jednak, że wcale jej nie zmuszał. Była, jak to się mówi, stroną przyzwalającą, tak utrzymuje Adam. - George odwrócił wzrok.

Jan zbladł.

- Nie chciałem mówić ci czegoś takiego. Powiedziałem mu, nie godzi się, nawet jeśli to prawda. Zawsze sta-

łem po stronie prawdy, ale czy tak wolno? - George pokręcił głową, wciąż nie patrząc na Jana.

- Prawda jest istotna - rzekł Jan.

- No, nie wiem - powątpiewał George.

- Dla ciebie tak, przecież wiem. Dla mnie również.

George pokręcił głową.

- Stanę w obronie żony, George, bez względu na to, co się stało.

- Jasne.

Jan wstał, by udać się z powrotem do pokoju.

- To naprawdę absurdalne, George, że wszystko wydaje się od tego zależeć, w życiu Annemieke i moim, w życiu naszej rodziny.

- Przepraszam, Janie, za przekazanie ci tych brudów. Poproszono mnie, więc spełniłem prośbę. Trzymam twoją stronę. To, co zrobił, było złe, nawet jeśli mówi prawdę. Miałbym ochotę własnoręcznie ukręcić mu łeb za narażanie na coś takiego tak porządnego człowieka jak ty - George podniósł na Jana zaczerwienione oczy.

- Nie - zaprotestował Jan, kładąc mu dłoń na ramieniu, rzucając na niego swój cień - nie, przyjacielu, tym się nie zajmuj.

Dorothy czekała na George'a w pokoju. Koniecznie musiała mu o czymś powiedzieć. Zastanawiała się, czy czasem tego nie zanotować. Powinna zapisać i za pamięci odłożyć gdzieś kartkę na wszelki wypadek. Nie potrafiła jednak wymyślić odpowiedniego miejsca. Bardzo chciała, żeby jak najszybciej wrócił.

Gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi, była w pełni przygotowana, lecz on odezwał się pierwszy.

- Beznadziejna sprawa, moja droga, nie będę przed tobą ukrywał, czuję się podle, jestem kompletnie rozbity. No bo żeby być zmuszonym powiedzieć mężczyźnie to, co właśnie powiedziałem Janowi. Nie życzyłabyś tego nawet najgorszemu wrogowi.

No i zapomniała, o czym zamierzała z nim porozmawiać, pocieszyła się jednak, że chyba nie było to aż tak istotne, skoro wyleciało jej z głowy, lecz ta myśl, która dawniej pokrzepiała ją na duchu, teraz była pusta jak kłamstwo i Dorothy poczuła w sercu ból tak dotkliwy, jakby przeszła je kula, bo całkiem możliwe, że w gruncie rzeczy zapomniała o czymś niezwykle ważnym, o czymś, bez czego nie dadzą rady przetrwać. Jakkolwiek było, wyruszyli na swój zwyczajowy spacer po plaży.

Dostrzegli samotnego pływaka, który sunął w stronę brzegu, rozgarniając wodę silnymi, obszernymi ruchami, a gdy znalazł się bliżej, pomachał do nich ręką.

- A któż to taki, złotko? - spytał George, mrużąc oczy; po powrocie do domu będzie musiał sprawdzić okulary, wzrok mu się pogorszył.

- To ten Bill - odparła.

- Doskonale - rzekł George, poklepując ją po dłoni. Stanęli w miejscu. Bill wyszedł z wody niepewnym krokiem, zataczając się przy tym, jako że morze tego ranka było dość wzburzone.

- Wyciąga z człowieka wszystkie soki - powiedział, dysząc. Schylił się, oparłszy ręce na biodrach, by odzyskać oddech. - Kiedy wyjeżdżacie?

- Pojutrze z samego rana.

Bill pokiwał głową.

- Ja zwijam się jutro, pomyślałem więc, że muszę maksymalnie wykorzystać czas. Jadę odwiedzić przyjaciół w Irlandii, na miesiąc, może dwa. Wziąwszy pod

uwagę, że tam będzie już prawie lato, należy spodziewać się lodowatego chłodu.

- A mnie tego właśnie brakuje, ostrego powietrza, wyrazistości - rzekł George.

- Może gdzieś usiądziemy? Jestem skonany.

- Przyłączymy się — powiedział George i we troje ruszyli ku długiej kłodzie wyrzuconej przez fale w głębi plaży. George pomógł Dorothy zająć pozycję siedzącą, nim sam opadł na kawał drewna. Konar zatrzeszczał i lekko się przekręcił, ale cała trójka zdołała utrzymać równowagę, siedząc z początku ostrożnie, z naprężonymi mięśniami łydek, i spoglądając w morze.

- Milo będzie znowu znaleźć się w domu - stwierdziła Dorothy. Bill pochylił się i uśmiechnął.

- Tak.

- Dla mnie rajem jest dom. Nie to, co tutaj. Lubię to, co znam — oświadczył George - można mieć powyżej dziurek w nosie tego słońca i oceanu. Bez przerwy piękna pogoda, można dostać kręcka. Nie mogę doczekać się wiatru, deszczu. W kraju pogoda zawsze ma pełne ręce roboty, wiecznie przeciwko tobie, wiecznie pogania cię, dręczy. Tak jak żona: możesz jej nie lubić, ale jej potrzebujesz. Tutaj nie ma tego błęgiego uczucia, że jest się u siebie, prawda?

Wpatrywali się w morze, patrzyli, jak woda kotłuje się i zalewa piasek, czystą plażę utrzymywaną w porządku przez obsługę ośrodka, na niebo jak z obrazka, z zaledwie kilkoma maleńkimi chmurkami przywodzącymi na myśl grzywy małych białych kucyków w cwale.

- Dom rodzinny. Ciepło, smaczne jedzenie, czyściutka pościel. Ciasto wyjmowane z piekarnika, może nawet partyjka kart albo *scrabble*. Herbata nie smakuje tu tak samo. Inna woda, inne mleko. No i inna herbata.

- Uwielbiam angielską ciszę nocą, żadnych przekleństw świerszczy, tylko do samego rana odgłosy cicho

trzeszczącego domu, a dopiero potem słycać to, co na zewnątrz, jeden wielki świergot.

- Zawsze słysem naszego starego rudzika, prawda, George? Potrafię odróżnić jego głos, kiedy leżymy jeszcze w łóżku, popijając pierwszą poranną herbatę.

- Tak, masz dobry słuch, złotko.

- Lubię nasłuchiwać ptasiego śpiewu. Nastawiać uszu na poranne nowiny - uśmiechnęła się Dorothy.

- Zawsze byłem rannym ptaszkiem — ciągnął George.

- Wiesz, naprawdę lubię wstawać około piątej, po cichu wymknąć się na dół i mieć nowy dzień tylko dla siebie. Siadam z kubkiem herbaty przy oknie i czekam, aż świat zbudzi się do życia. Oto raj, właśnie tam. Wiesz, że wszystko jest na swoim miejscu. Rodzina, praca, wszyscy zabezpieczeni, zrobiłeś, co trzeba, i tak to postrzegasz, kiedy wstajesz rano z łóżka.

- O tak - zgodziła się Dorothy - to rzecz najważniejsza.

- A dla mnie najważniejsze jest dobre towarzystwo - powiedział Bill. - Kiedyś była to Jerry, przesiadywaliśmy razem z nosami w gazetach, pochłonięci czytaniem o tym i owym, co wydarzyło się w Europie, co w Ameryce, jakby był to nasz świat. Cenne chwile. Jednak wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Siedzieli w zadumie na karaibskiej plaży, każde z nich rozmyślało o czekającej go dalekiej drodze.

- Miło było mieć z kim pogadać. Będzie mi brakowało ciebie i Jana - wyznał George.

Bill na niego popatrzył.

- Mnie również - przyznał.

- No i pań - dodał George.

- Ale nie będziemy tęsknić za tą Annemieke - rzekła Dorothy, robiąc grymas.

George uniósł brwi i mruknął:

- Niewyparzony jęczor.  
- Niezłe z niej ziółko - zaśmiał się Bill.  
- Jest podła, oto właściwe określenie - mówiła dalej Dorothy. - Powiem, co myślę. Mąż goni resztkami sił, a ona rozgłasza to na lewo i prawo - przez ułamek sekundy wydawała się niepewna doboru słów, ale nie ugryzła się w język. - Dlaczego nie mogła poczekać?

Bill oblał się rumieńcem.

- No a cóż się tu działo? - spytał.

George westchnął.

- Naprawdę nie my powinniśmy o tym mówić. Ale skoro żona i tak prawie wszystko wypaplała... - Zmienił położenie nóg. - Pani De Groot oskarżyła Adama o gwałt. On z kolei mówi, że proponowała zapłatę za seks. Skutek jest taki, że Jan musi rozważyć, czy wnieść oskarżenie, czy nie i - jak dotąd - nie zadeklarował, że to zrobi. Adam poprosił mnie o przedstawienie dziś rano Janowi jego wersji wydarzeń, więc to zrobiłem, powinienem dodać, że wbrew własnej woli.

- Boże, uchowaj nas - powiedział Bill.

Dorothy pokiwała głową z łagodnym uśmiechem na twarzy, krzyżując nogi w kostkach.

- I cóż biedny człek ma począć? - powiedział George, zdejmując okulary i przecierając szkła koszulą.

- No a jaka jest prawda? - spytał Bill. George wzruszył ramionami.

- Przebiegła z niej sztuka - rzekła Dorothy - jak lisica.

- Nie wiem - powiedział George - ledwo znam tę kobietę. Zasady są takie, że zwykle daje się wiarę kobiecie, tak czy nie? Jan nie zdradziłby mi tego, co wie, wprost przeciwnie. Zapowiedział, że będzie oczywiście bronił żony.

- A le Adam? Może i za kołnierz nie wylewa, jednak wygląda na porządneho młodego mężczyznę...

- Cóż, nie wypiera się seksu z nią i to mnie wkurza, wyobraź sobie, zrobić takie świństwo Janowi - obruszył się George. - Powiedziałem mu wczoraj wieczorem do słuchu: Co ty sobie myślałeś? Czy ty w ogóle się zastanowiłeś? Tłumaczył, że potrzebuje pieniędzy. Ja z tym młodzieńcem skończyłem, mówię wam. - George z miejsca poczerwieniał i jeszcze raz przetaił okulary, spoglądając na poły koszuli. Wydawało się, że żuchwa opadła mu o kilka cali.

Bill milczał.

- A ty, co sądzisz? Jesteś chrześcijaninem. Jak należałoby postąpić?

- Eh, chrześcijanie orientują się w tym najmniej - rzekł Bill.

- Przypuszczam, ale Biblię znasz, prawda?

- Jako tako - odparł Bill.

- Musisz znać, w każdym razie lepiej ode mnie. Co należałoby zrobić?

- Och, Chryste, człowieku, kompletnie się w tym gubię - powiedział Bill, wstając - mam mętlik w głowie. - Pójdę lepiej włożyć coś na grzbiet. Spotkamy się później. Miłego poranka.

Dwoje starszków patrzyło za oddalającym się Billem, który stawiał chwiejne kroki, bo nogi zapadały mu się w grząskim piasku plaży. Dotarłszy do betonowych schodów, piął się stopień po stopniu, aż wreszcie chwycił ręcznik ze stojaka na górze, owinął się nim w pasie i ulotnił.

- Trochę się wnerwił, prawda? - rozmyślał na głos George. - Sądzisz, że to ja wytrąciłem go z równowagi?

- Mmm - mruknęła Dorothy, po czym wydała zniekacka cichy okrzyk i obróciła się do niego. Spojrzał na nią zaniepokojony.

- W porządku?



- Właśnie sobie przypomniałam, co miałam ci powiedzieć - wyjaśniła Dorothy, szukając jego dłoni. - George? Wiem, że coś się ze mną dzieje, George, i ty wiesz o tym również, prawda?

George zmarszczył czoło.

- Nie mówmy o tym teraz, odłóżmy to na powrót do domu.

- Wolałabym porozmawiać o tym, póki czas, George, w przeciwnym razie mogłoby umknąć to mojej pamięci. Chciałam coś wyjaśnić.

Ustał i skinął głową, patrząc jej teraz prosto w oczy.

- Widzisz, to tak jakbym pogrążyła się w mroku i z niego wyłaniała. Nie mogę jasno myśleć, nie mogę przypomnieć sobie wielu rzeczy. Czuję, jak stopniowo spowija mnie jakaś cisza, jakbym traciła słuch. Pamiętasz, jak w dzieciństwie zaczynasz od rozpoznawania liter, potem uczysz się odczytywać znaki, następnie słowa i całe zdania. Otóż mam wrażenie, że robię to samo od końca. To jak robienie porządków albo wkładanie pieniędzy z powrotem do portmonetki, moneta po monecie, tyle że nie możesz zliczyć, ile już włożyłeś. Czuję się tak, jakbym upychała z powrotem grube banknoty, zbyt szybko...

Ścisnął jej rękę.

- Wiem, moja droga, po powrocie do domu poproszę lekarza, by ci coś na to przepisał.

- Wydaje mi się, że na niewiele się to zda, George, trochę mnie to przeraża, ale jakoś będzie. Miałam dobre życie...

George mocniej ścisnął jej dłoń.

- Nie, nie, nie zaczynaj z tą gadaniną, Dorothy, ja tego nie trawię.

- To nie boli, George, w pewnym sensie jest nawet przyjemne, mam na myśli tę ciemność. Nie przeszkadza mi. Przynosi odrobinę wytchnienia.

- Musi ci przeszkadzać, musisz wziąć się w garść.  
Milczała i wpatrywała się w morze.
- Przepiękny widok. Już nigdy nie ujrzemy czegoś podobnego.
- N i e .
- Martwię się o ciebie.
- Lepiej skoncentruj się na sobie, dobrze? To ty mnie martwisz.
- Pewnego dnia będziemy musieli się pożegnać.
- Tak, moja droga, ale nie mam zamiaru robić tego dzień w dzień. Tego nie możesz ode mnie wymagać. A teraz chciałbym dobrać się do bufetu śniadaniowego, skorzystać, póki tu jesteśmy - rzekł, niezgrabnie podnosząc się z miejsca. - Chodźmy, moja droga. - Podał jej rękę i wstali oboje, trzęsąc się przy tym i postępując.
- Udana z nas para, co? - powiedziała, przyjmując jego ramię. - Kiedyś jeździliśmy nawet na łyżwach!
- Jeden jedyny raz, i owszem - odparł. Gdy dotarli do podnóża schodów, zatrzymał się na chwilę, odwrócił i popatrzył na ocean, nabrał sił i zaczął piąć się po stopniach, podtrzymując żonę.

## 55

Burns nie bardzo wiedział, jak wybrnąć z tego problemu z korzyścią dla siebie. Usiadł przy komputerze i wykasował cały dokument, który poświęcił tej kwestii. Mama wysłuchała go ze współczuciem i podzieliła się z nim swymi prostodusznymi uwagami.

- Podobno nieszczęścia chodzą parami...

Zadał sobie pytanie, na głos, jak początkujący aktor: „Jaką ja mam motywację?” Czy chciał, żeby Adam wpadł w tarapaty? Nieszczęśliwie, wzięwszy pod uwagę fakt, że był członkiem obsługi. Czy chciał zdyskredytować tę Ho-

lenderkę? Niespecjalnie, chciał jedynie, żeby wyjechała. Było mu trochę żal Bogu ducha winnego męża, który ponoć znajdował się już w stanie schyłkowym. Facet dzielnie znosił swe zgrzyoty. Na jego miejscu Burns już by się stąd zwinął. (Przyszła mu na myśl reklama samochodu...) Tak czy owak, nic się tu nie zyska. Uznał, że można postąpić etycznie. Ale wartości i zasady się zmieniają, rządzą nimi reguły popularności. Był jak zwykle rozdarty pomiędzy powściągliwością matki a sprytną przyjaznością ojca; poświęcić się i ściągnąć potem na siebie powszechną urazę czy być przyjacielem wszystkich. Tato był dłużnikiem, mama wierzyicielem. Tacie stawiano w pubie drinka, on upierał się, że odda pieniądze i prawdopodobnie nosił się z takim zamiarem. Ale na zamiarze poprzestawał.

Uważał, że warto się przyjaźnić. Wiedział, że porządny z niego człowiek. Pewnie najlepiej dla wszystkich, kiedy jest się wolnym od dogmatów.

Ale tego przekłętego Jasona nie cierpiał. Co za fiut. Oczywiście będzie się babrał w całej sprawie. Listy do Marka Cohena, telefony. To ten typ, który wypisuje e-maile wielkimi literami. Będzie się rozwodził nad nieudolnością menedżera. Najpierw nie potrafi doprowadzić na miejsce staruszki, której brak piątej klepki i która zapadła się gdzieś pod ziemię, potem dopuszcza do tego, by jakiś hipisujący pracownik hotelu obmacywał cudzą żonę, a kiedy następnego dnia oskarżają tegoż pracownika o zgwałcenie klientki, pan menedżer siedzi sobie jak gdyby nigdy nic i zbija bąki. Naturalnie wiadomość zacznie się od odwołania do wzajemnej przyjaźni. Jak to Amerykanie zwracają się do kumpla? Bracie. „Hej, bracie, pojawił się mały problemik”...

Trzeba ratować własny tyłek. O tym należy pomyśleć najpierw. Zadzwoń do tego smutasa De Groota, dowie

się, jakie ma zamiary, będzie nalegał na wniesienie oskarżenia, a potem będzie robił dobrą minę do Jasona i jego kumpla. Wyśle e-maila do Cohena, to uczyni przede wszystkim, poinformuje, że gości u siebie jego przyjaciela, i że doszło do pewnego incydentu, na który zareagował w sposób stanowczy.

Wezwie policję. Poinstruuje obsługę. Może zrobić to za jednym zamachem i wydać oświadczenie dla gości. Tej sprawy nie zatuszuje. Powie, prawdopodobnie na zakończenie spotkania: „Nie pozwolę, by gwałt uchodził w tym hotelu bezkarnie. Gwałciciel musi ponieść najpoważniejsze konsekwencje swego czynu, jakie może nałożyć prawo”.

Zadzwoił do pokoju De Grootów, telefon odebrał Jan. Poprosił go o przyście do biura, najszybciej jak będzie mógł, i wyraził nadzieję, że żona ma się lepiej.

Rozległo się pukanie, drzwi uchyliły się odrobinę; do gabinetu wsadził głowę spocony Irlandczyk.

- Na słówko, jeśli nie przeszkadzam - powiedział wyraźnie speszony.

## 56

Annemieke nie chciała patrzeć na Jana, kiedy wrócił do pokoju. Przyniósł jej rogalika i bułkę. Odwróciła głowę, prosząc o spuszczenie żaluzji. Płakała bezgłośnie, rozpoznał to po ruchach ciała. Wiedział dlaczego. Nie z powodu „gwałtu”. Nie z powodu braku jego wsparcia. Podejrzewał, że dręczy ją wstyd. I chodziło o coś jeszcze. O niego. Przyczynił się po części do targających nią uczuć. Sprawilo to, że teraz odnosił się do niej z większą czułością niż poprzednio. Usiadł na skraju łóżka i milczał. Po chwili zadzwonił telefon, podszedł odebrać.

- Tak, oczywiście - powiedział tylko tyle, a po chwili dodał jeszcze: - dobrze.

Miał zamiar położyć jej dłoń na ramieniu, lecz zamiast tego wcisnął obie ręce w kieszenie i stanął przy łóżku.

- Burns chce się ze mną zobaczyć. Dopytuje się o ciebie. Chce wiedzieć, co zamierzamy.

Nie odezwała się, ale usiadła, mrugając powiekami. Z trudem przełknęła ślinę, bo w ustach wyschło mu na pieprz.

- Czy ten młody człowiek cię skrzywdził? Czy coś zaszło?

Potrząsnęła głową. Jan zniknął za drzwiami.

Zbliżając się do recepcji, zobaczył Billa opuszczającego biuro Burnsa. Podniósł rękę w geście pozdrowienia i był zaskoczony, że Bill udaje, że go nie widzi i, skrzyżnięc tenisówkami na kaflach podłogi, wymyka się przez dwuskrzydłowe drzwi.

## 57

Jan stanął przed biurkiem Burnsa. Menedżer był zajęty, miał wykrzywione w dół kąciaki ust, wyglądał blado i niezdrowo. Zakasłał jak chory człowiek, a potem odchrząknął.

- Proszę usiąść, panie De Groot - powiedział, wyłączając myszką komputer i nie patrząc na Jana.

- Prawdopodobnie wniesiemy z żoną oskarżenie - oznajmił Jan.

- Chyba przyda nam się dzisiaj łyceczek szkockiej, panie De Groot.

- Nie, dziękuję - odparł Jan.

Burns zasunął szufladę.

- Jeżeli chce pan wnieść oskarżenie przeciwko Adamowi Wattowi, powinien zrobić pan to na własne żądanie w lokalnym komisariacie.

Jan oniemiał.

- Wolałbym, jeśli pan łaskaw, żeby policja przyjechała tutaj i spisała zeznanie.

- Cóż, obawiam się, że nie będę mieszać do tej sprawy całego ośrodka.

- Niech pan nie plecie bzdur, do napastowania doszło na pańskim terenie, a sprawcą był pański pracownik. - Jan miał trudności z przelknięciem.

- Może szklanekę wody?

- Dziękuję.

Burns podszedł do automatu z wodą. Biedne chłopisko, pomyślał, czekając na napełnienie kubka. Bezszelestnie wrócił do biurka. Wcześniej zdjął buty i stąpał teraz na bosaka. Podał Janowi plastikowy kubek i przysiadł na najbliższym narożniku biurka.

- Niech pan posłucha, panie De Groot, nie będę owijał w bawełnę - skrzywił się na to niefortunne wyrażenie - lecz przejdę od razu do rzeczy. Mamy dwie wersje wydarzeń. Obie strony przyznają, że doszło do aktu seksualnego.

Jan skinął głową i wreszcie zdołał normalnie przełknąć, co nie udawało mu się przez cały poranek. Nocna dawka morfiny wysuszyła go do cna.

- Jedna strona zaprzecza, jakoby odbyło się to za przyzwoleniem. Mowa o relacji pańskiej żony. Ale nie mamy żadnych świadków. Co zrozumiałe. Natomiast mam powody przypuszczać, że... że pańska żona nie jest wiarygodna i wolałbym nie wplątywać w tę sprawę całego ośrodka, ponieważ nie sądzę, byśmy mogli potwierdzić jej wersję wydarzeń.

- O czym pan mówi?

- Jeszcze wody?

- Nie.

Burns zauważył, że wewnętrzne obwódki oczu Jana były zaczerwienione, wyglądały na podrażnione. Cere

miał żółtą i przesuszoną; jedynie rozjaśnienie kędzierzawych włosków na przedramionach wskazywało, że w ogóle zażywał słońca. Kiedyś musiał być przystojny, w tradycyjnym rozumieniu tego słowa.

- Pozwoli pan, że powiem szczerą prawdę. Jeden z naszych gości hotelowych przyszedł do mnie dziś rano i powiedział, że miał stosunek seksualny z panią De Groot w tym oto ośrodku, niedawno.

- Przecież to nieprawda.

Burns oparł się w krzesło i ze zdumienia uniośł brwi.

- Cóż, nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby wyssać z palca podobną historię. Ona w pewnym sensie dyskredytuje pańską żonę... zapewne pan rozumie?

- To kłamstwo na obronę tego młodego mężczyzny.

- Nie sądzę.

- Co to znaczy: nie sądzi pan? Pańskim zadaniem jest występowanie w obronie klientów, a nie rozsądzanie, co jest prawdą, a co nie.

- Niech pan posłucha, panie De Groot - Burns pochylił się do przodu, ściskając dłonie między kolanami i patrząc Janowi prosto w oczy - byłoby znacznie lepiej dla pana i pańskiej żony, gdyby odstąpili państwo od swych zamiarów.

- Moja żona nie chce od niczego odstępować - Jan przygryzł wargę. - Dobry Boże, człowieku, kim pan jest, żeby mnie osądzać, żeby osądzać nas, patrzeć na nas i mówić: ta kobieta kłamie, a jej mąż to kawał głupca?

Burns dostrzegł, że Jan ma wytrzeszczone oczy; źrenice zamgliliła gęsta, wodnista warstwa.

- Widziałem, w jaki sposób tańczyła z Adamem w sobotni wieczór - powiedział.

Jan obrzucił go spojrzeniem.

- Jest na wakacjach. Ma prawo tańczyć!

- Nie to miałem na myśli.

- Proszę, żeby służył nam pan pomocą - rzekł Jan. Gwałtowny napływ łez do oczu drogo go kosztował; w gardle wyschło i zaczęło drapać. Zakasłał i poczuł ból.

- Miałem zamiar wezwać policję. Ale jedyną osobą oprócz tych dwojga, która może cokolwiek wnieść do sprawy, jest mężczyzna, który wyznał, że również uprawiał z pańską żoną seks. Wie pan, co powie policja; powiedzą, że reputacja nie jest bez znaczenia. Nawet tutaj, na litość boską - obstawał przy swoim Burns, wstając i ruszając w stronę krzesła. - Nie wiem, co między nimi zaszło, skąd mam wiedzieć? Prawda leży pewnie pośrodku. Niech pan mi wierzy, nawet za tym człowiekiem nie przepadam...

- Pan nas osądził.

- Nie - zaprzeczył Burns podniesionym głosem. - Nie was osądziłem. Tylko to, co się stało. Wolałbym nie musieć się w to angażować.

- Co mam robić? - Jan podniósł się z miejsca i na moment zakrył twarz rękoma, ciemność przynosiła prawdziwą ulgę. Kiedy oderwał dłonie, poczuł na twarzy uderzenie powietrza mieszanego przez sufitowy wentylator oraz światło wpadające przez okno za Burnsem; w gabinecie było za sucho i za jasno.

- Powinien pan podnieść ją na duchu i szykować się do powrotu do domu.

- Do domu? - Jan ruszył ku drzwiom, kiwając głową. Jeżeli kiedykolwiek istniał jakiś dom, to zająćby zniweczyłoby wszystko, co z niego pozostało. Odwrócił się na pięcie, otworzył drzwi i usłyszał śpiewny dźwięk włączanego komputera Burnsa.

- Kiedyś też byłem młody, myślałem jedynie o tym, żeby robić swoje. Kiedy jest się młodym, wolnym, nie ma się dzieci, w gruncie rzeczy nie rozumie się drugiego człowieka. Wszystko pozostaje w sferze teorii. Ale ten stan nie trwa wiecznie.



Burns stanął wyprostowany i rozłożył dłonie.

- Przykro mi, panie De Groot, mówię szczerze.
- Nieprawda. Wcale nie.

## 58

Jan zaproponował wieczorem, by wyrwali się z ośrodka, wynajęli samochód albo pojechali autobusem rozejrzeć się po głównym mieście wyspy. Siedział przy balkonie, przeglądając hotelowy zbiór broszur, zakreślając ołówkiem różne fragmenty, szykując się do obdzwonienia kilku miejsc.

- Nie chcę przechodzić przez recepcję, bo wszyscy będą się na mnie gapić i szeptać.

- Nie - zamknął folder.

- A jeśli wpadniemy na *niego*?

- Został wylany. Burns wziął sprawy w swoje ręce.

- Pozostanę w pokoju przez te kilka dni, jakie pozostały do końca naszych ostatnich wspólnych wakacji. Wcale mi to nie przeszkadza.

- Wiesz, poprosiłem, by wniósł oskarżenie w twoim imieniu, Annemieke. Zdecydowanie odradza nam ten pomysł.

- Dlaczego? Dlaczego zdecydowanie odradza?

- No bo tak, bo będzie to dla ciebie traumatyczne przeżycie, sprawa trudna do wygrania - odparł nieprzekonująco Jan, wychodząc na balkon. Annemieke wstała z łóżka i poszła w jego ślady. Szybko omiotła wzrokiem widok na trawniki i kwiatowe rabaty, po czym przeniosła spojrzenie na Jana.

- On mnie nie lubi. Nie sądzisz, że gdybym była żoną Jasona Rydera, sprawy przedstawiałyby się zgoła inaczej?

- Cóż, może ona nie znalazłaby się w takiej sytuacji, Annemieke - powiedział, opierając się o balustradę,

zwrócony do niej twarzą. Wygiął plecy; odczuwał ból u podstawy kręgosłupa, a kiedy brał wdech, ból dotkliwie się wzmagał.

Do oczu napłynęły jej łzy, zacisnęła wargi, zbierając się przez chwilę w sobie, nim rzekła:

- Wiedziałaś, że w końcu wyjdzie szydło z worka. Zawsze miałeś mnie za nic. Zawsze widziałeś we mnie niewiele więcej niż dziwkę, której nie można ufać i której nie należy się żaden szacunek. Wiesz, matka była dotknięta do żywego, kiedy przyprowadziłam cię do domu. Wiesz, co zawsze mi powtarzała, jak dzwoniłam do niej z płaczem? Mówiła: „Następnym razem wyjdź za kogoś ze swojej klasy”. A ja odpowiadałam: „Nie będzie następnego razu; musi się nam udać”. Ona na to: „No to, na miłość boską, wdawaj się w jakieś romanse, znajdź mężczyznę, który da ci szczęście, zasługujesz na to, żeby być szczęśliwą”.

- I skorzystałaś z jej rady.
- Dopiero wtedy, gdy zawiodło wszystko inne.
- Piękna rada z ust matki.

Usłyszeli pukanie do drzwi, najpierw dyskretne, potem natarczywe. Jan zerknął na zegarek, było po siódmej, a łóżek nie przygotowano jeszcze do snu. Popatrzył na Annemieke, machnęła ręką. Jan uchylił drzwi na tyle, by wyjrzeć na zewnątrz i ze zdumieniem ujrzał stojącego przed nimi Burnsa. Wyszedł z pokoju.

- O co chodzi?

Burns zaczerpnął powietrza.

- Panie De Groot, przyszedłem - wziął kolejny oddech - przyszedłem powiedzieć, że udzielę państwu wsparcia w imieniu ośrodka, że wezwę policję i będziemy mogli wnieść oskarżenie, jeżeli zechcą państwo, by sprawa przybrała taki obrót. Zmieniłem zdanie, pragnę służyć państwu pomocą. - Podniósł wzrok utkwiony dotąd w ręce Jana trzymającej gałkę drzwi i spojrział mu prosto

w oczy. Ujrzał w nich znużenie i desperację. Poczł, że ma wszystkiego po dziurki w nosie, że jest chory ze smutku, pokonany. Jak ktoś, kto wędnie z miłości.

- Dziękuję - powiedział Jan - ale raczej nie musi się pan fatygować. - Burns otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz Jan pokręcił głową i dodał z uśmiechem: - Nie potrzeba, nie wyniknie z tego nic dobrego.

- Dla pańskiej żony?

- Nie wyniknie z tego nic dobrego.

Patrząc na Jana, który stał w progu, przytrzymując drzwi, Burns odniósł nagle wrażenie, że stoi twarzą w twarz z człowiekiem, który przeciwstawia się występ-kowi. Pojął, że to olśnienie i był tym zdumiony, próbował zatrzymać to doznanie na dłużej, ogarnąć je rozumem, ale zrozumienie znikło równie nagle, jak przyszło.

## 59

Następnego dnia Annemieke nie chciała opuścić pokoju. Leżała na łóżku, obojętna i milcząca. Kiedy wyszedł, poczekał chwilę pod drzwiami i usłyszał skrzypienie łóżka towarzyszące wstawaniu. Słyszał, jak telewizor wysyła ciche, acz nabierające mocy dźwięki elektronicznej euforii, potem znów skrzypienie łóżka, po którym nastąpiła kakofonia nerwowo przerzucanych kanałów. Gdy powrócił późnym popołudniem, pod drzwiami stała taca przyniesiona przez obsługę, leżały na niej oskubane z owoców gałązki winogron, skórka sera i puste opakowanie po maśle oraz kawałek sernika, który pozbawiono wierzchniej warstwy owoców. Znak, że Annemieke miewa się nie najgorzej.

Jan wyszedł na taras z basenem, zdjął koszulę i buty, i przysiadł na skraju leżaka. Nie było tam nikogo spośród znanych mu osób. Miał nadzieję zobaczyć Laurie, za to nie spotkać nikogo z Amerykanów; dostrzegł George'a wy-

chodzącego z nowego aneksu. George zawrócił i wsparty dla równowagi ręką o framugę drzwi, schylił się, by obejrzeć dokładnie płytki. Wyszedł na zewnątrz, pocierając palcem wskazującym o kciuk, dojrzał Jana, rozpoznał go, przekrzywił głowę i ruszył w jego stronę.

- Dużo kredy w tej fudze - stwierdził, wciąż pocierając koniuszki palców. Wetknął palec do ust i go oblizal, a następnie zwilżył wargi swoim wielkim psim jęzorem.

- Cieszysz się na wyjazd do domu? Przypuszczam, że miałbyś ochotę na mały wypoczynek, bo ja tak.

- Szczerze mówiąc, zastanawiam się, jaki dom zastanę na miejscu.

- Och. Rozumiem.

No właśnie.

- Czyli z żoną układa się nie najlepiej.

- N i e .

- Cóż, przynajmniej są jeszcze chłopcy.

- To nieodrodni synowie swojej matki.

- Moje córki zawsze były bardzo kochane.

- Nie byłem dobrym ojcem. Młodych mężczyzn potrafią pochłonąć całkowicie inne rzeczy, ich własne życie. Wiem, że tak było. Nie podobało mi się, że mam ich gdzieś zabierać, irytowało mnie ich trajkotanie. Tak bardzo chcieliśmy żyć dalej po swojemu.

- W tym wieku wszyscy jesteście tacy sami.

- W i e s z , dorastaliśmy z wojną wypisaną na naszych twarzach, a później zawsze spychaliśmy ją na margines. Znasz powiedzenie, że to nie my wygraliśmy wojnę, tylko Amerykanie, ponieważ potem ludzie nie marzyli o niczym innym, jak o amerykańskim stylu życia. To prawda, świat się zmienił. Mój naród to ludzie skromni, spokojni, ale na pewien sposób przewrotni. Rozmawiasz z Belgiem, z dezaprobatą pokręci głową na nazistów, a potem powie: „No, ale ci Francuzi! Pierwsza wojna światowa, to

dopiero był koszmar". Nigdy nie zapomną, jak to Francuzi przejęli sprawy w swoje ręce, oficerowie byli Francuzami, a piechurzy Belgami, "Avant!", rozkazywali dowódcy, a mówiący po flamandzku Belgowie robili odwrot. Ta uraza wynika z dumy, kto to widział, żeby tak skromny naród obarczać takimi rzeczami. Dlaczego? Kto przy zdrowych zmysłach będzie wyrzekał na Francuzów, jeśli popatrzyć na to, co zrobili naziści? Przynieśli ze sobą antysemityzm, tysiące naszych mężczyzn wywieźli do pracy w fabrykach. Mój własny ojciec zmarł w jednej z nich. Ale nie, to Francuzi są okropni, mawiają moi rodacy.

Och, zaprowadziliśmy na nowo ład, jak to zwykle w Belgii, przywykliśmy do tego, że najpierw dokonuje się na nas inwazji, a potem wracamy do codzienności. A mężczyźni w moim wieku, my mawialiśmy, wojna się skończyła, to rzeczywistość naszych ojców, a my zarobimy trochę grosza, wzbogaćmy siebie i nasze rodziny, i przestańmy zajmować się innymi krajami i ideologiami. Może posunęliśmy się za daleko.

- Cóż, mnie też szkoda czasu na ideologie. Prawdziwe życie toczy się naprzód, gdy tymczasem intelektualisci zajmują się upychaniem go w przegródki. Wojny to co innego; obie straszne, ale z tą drugą mieliśmy rację, walczyliśmy o słuszną sprawę. Można by rzec, że mieliśmy szczęście, bo wybór był wtedy tak przejrzysty. Bóg był po naszej stronie, jak przypuszczam. Musieliśmy zająć stanowisko w obliczu zła i mu się przeciwstawić. Nie chcieliśmy zostawiać rodzin, jasne, że nie, powiedzieliśmy sobie jednak, że są rzeczy ważniejsze od naszych prywatnych zachcianek.

- Wiedziałaś, że mordowano Żydów?

- Nie przyłączyliśmy się do wojny z tego powodu. Ani z powodu Polaków czy innych narodów. Naszym zada-

niem było powstrzymać faszystów, by nie stanęli na progu naszych domów.

Jan potrząsnął głową.

- Jestem kompletnie nieorientowany, słowo daję.

- Co było, to było, przyjacielu. Nie powinienes przejmować się wojną; skończyła się na dobre, zanim mogłeś cokolwiek zdziałać. Wy wszyscy, urodzeni później, mieliście o tyle więcej możliwości. Widzisz, z nami było inaczej. Pracowaliśmy, harowaliśmy, a nie mogliśmy na nic zarobić, ciągle wyprzedawaliśmy dobytek. Wojna przyniosła duże zmiany. Ludzie rzadziej chodzili do kościoła, częściej pili. Straciliśmy imperium i wszystko, ale w latach powojennych mieliśmy państwo opiekuńcze, które dbało o swoich obywateli. Jestem dumny, że pobieram emeryturę. Zasłużyłem na nią. Poświęciłem swój czas. Coś ci powiem. Nie mieliśmy nic; nikt nie miał złamanego grosza przy duszy. Wyobraź sobie, rodziny, które w tamtych czasach wyprzedawały cały swój dobytek, dostawały za niego najwyższej sto funciaków! Śmieszne, co?

- Moja rodzina wstawiała z kurami, pracowaliśmy wspólnie, by utrzymać farmę. O dziesiątej wieczorem wszyscy byli wypompowani, nikt nie pytał, co będziemy robić dalej, kładliśmy się spać, ja i bracia do jednego łóżka, siostra osobno. George, wszyscy ludzie, jakich znaliśmy, byli farmerami, tak jak my. Wioska licząca jakieś pięć tysięcy mieszkańców prowadziła między sobą handel wymienny, całkowita samowystarczalność. Jedynie lekarz żądał natychmiastowej zapłaty, a czasem i on rezygnował z pieniędzy. Rok po roku wszystko toczyło się jak należy, święta i tak dalej. Latem praca w pocie czoła, sterty naleśników na zakończenie żniw, świniobicie i solenie wieprzowiny na zimę. Każdy dzień również przebiegał według ustalonego planu, pierwszy posiłek o wschodzie słońca, drugi o dziewiątej rano, chleb ze

smalcem albo z dżemem, obiad w południe, wieprzowina z ziemniakami i czasem jeszcze szarlotka, potem jadło się wieczorną pajdę chleba z serem. Dwadzieścia, trzydzieści lat później nie zostało po tym rytmie ani śladu.

- Sposób życia się zmienił, prawda?

- My żyliśmy już inaczej. Nie sędzę jednak, bym dobrze odnalazł się w nowym modelu życia. Z pewnością byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy poprzestali na tworzeniu partnerskiego układu w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Tak naprawdę nigdy nie poświęciłem czasu na zrozumienie Annemieke ani na znalezienie sposobu, jak ułożyć sobie z nią życie; uważałem pewnie, że to zadanie na emeryturę.

- No, przypuszczam, że niejedno zawałiłeś, co...

Jan uśmiechnął się; teraz zrozumiał angielski zwrot „niewielkie pocieszenie”. Przywykł raczej do otrzymywania chłodnych rad niż do drobnego pocieszenia. George rozmawiał z nim z surową powagą, jak ojciec. Traktował go serio. Jan spędził bez ojca całe życie.

- Tak. To dziwne, człowiek spodziewa się, że śmierć wyjdzie mu naprzeciw, myślę tak nawet teraz. Przyjeżdżając tutaj, miałem nadzieję na pojednanie z żoną, której zabiorę ze sobą do domu i którym podzielę się z synami. Nie sądzisz, że śmierć nadchodzi wtedy, gdy uzmysławiasz sobie, jak wiele popsuleś.

- Największy wpływ wywierają na nas dzieci. Powinieneś uporządkować sprawy z synami. Zrób, co trzeba. Moje córki wiedzą, co czują. Nie będę musiał trąbić o tym na lewo i prawo, zanim odejdę. Nie chcę się żegnać. Nie chcę siedzieć na spakowanych walizkach i czekać. Bo wtedy się denerwuję.

- To rozciągnięte w czasie rozczarowanie. Nigdy nie lubiłem urodzin. Wydaje ci się, że zasługujesz na ciepłej-

sze uczucia ze strony bliskich, którzy cię otaczają, zadajesz sobie pytanie, dlaczego nie są dla ciebie życzliwsi, powoli gorzkniejesz. Właśnie dlatego, jak sądzę, odsunęli się ode mnie synowie, zawiniła moja zgorzkniałość.

George westchnął.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, przyjacielu, z wyjątkiem tego, że chciałbym, by spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Wiem, że to egoizm, ale spodziewałem się, że najpierw nadejdzie moja kolej. Teraz nie jestem już taki pewien. Wydaje się, jakby jej już nie było; chodzi, rozmawia, ale jest już bliżej tej drugiej strony, to widać. W każdym razie postanowiłem spisać wspomnienia. Dla dzieci. Przelać na papier przeszłość, zanim Dorothy da stąd drapaką i zabierze ze sobą to, co z tej przeszłości pozostało.

- Dobry pomysł - skwitował Jan z uśmiechem. - Co powiesz na drinka przy barze? Tym razem ja stawiam.

George zerknął na obnażone przedramię, jak gdyby miał na przegubie zegarek.

- Czas najwyższy - powiedział. - Moglibyśmy również pomyśleć o małej pizzy.

- Pizza. Słyszałem, że to solidne angielskie danie, jak *lasagne*.

- Nie, synu, włoskie - rzekł George, idąc przodem.

## 60

Zasiadłszy w fotelu obok lekko uchylonych drzwi balkonowych, Jan robił w książce notatki. Spisywał uwagi na temat sensu „urlopu”, owej tymczasowej ewakuacji. „Zmiana zatacza kolo”, pisał, „pozwala na pogodzenie liberalnej wyobraźni człowieka z jego konserwatywną konstytucją”. Wydało mu się, że potrzeba wyjazdu na wakacje jest nieodzowną częścią ludzkiej kondycji, przyjemnym środkiem uśmierzającym dolegliwość, na którą



ludzkość nie potrafi się skarżyć: życie, które sami sobie zgotowaliśmy.

Patrzył, jak Annemieke zaczyna się pakować. George i Dorothy zaczęli pakowanie tego samego dnia. Bill także upchał już do walizki kilka hawajskich koszul. Nie wkładał już slipów do hotelowego worka na brudną bieliznę, lecz pozwalał im gnąć w kącie szafy, a w poniedziałkowe popołudnie, z uwagi na pokojówki, przełożył je do zamykanej na suwak przegródki walizki. Jason i Missy domagali się uroczystej kolacji pożegnalnej, zachowując na wieszakach dokładnie wyliczoną liczbę kreacji, lecz przed wtorkowym popołudniem Missy zabrała się za składanie co lepszych koszul Jasona z troską świeżo upieczonej matki.

Dla ich gromadki wakacje już się skończyły. Dreptali w miejscu, każde z nich włóczyło się między basenem a barem, tak jak pies kręci się w kółko, by wreszcie ułożyć się w tym samym miejscu.

Przy kolacji i w barze, w porze lunchu i wieczorem, Jason niecierpliwie brał do ręki telefon komórkowy, szukając wiadomości, których nie było, pomstując na głos, że wszystkim winna sieć. Bill zaoferował, że pożyczy mu swój telefon, Jason zaś spojrzał na niego takim wzrokiem, jak gdyby Bill z czegoś go okradał. Bill wyłączył aparat i schował go do miękkiego futerału z imitacji krokodylej skóry. W te ostatnie wieczory sączył drinki w samotności.

Laurie spędziła ostatnie dni na wyprawach nurkowych. Kiedy powracała z nich wieczorem, była zmęczona. Po wypiciu w barze kawy i wypyтaniu o wspólnych przyjaciół szła prosto do łóżka z silnym postanowieniem zachowania dobrej formy, jak mówiła, na powrotną podróż.

- Dokąd? - zapytał Bill z taką nonszalancją, na jaką tylko stać było potężnego, rumianego Irlandczyka.

Wzruszyła ramionami.

- Ach, do Nowego Jorku - odparła - tylko na tydzień.
- Dobrze miejsce na rozmyślania - stwierdził.
- Do tego każde miejsce jest dobre.
- A może pojechałabyś ze mną do Belfastu? - powiedział w taki sposób, by zabrzmiało to jak żart. Wybuchła krótkim, ostrym śmiechem, niczym odgłos zatraskiwanej walizki.

## 61

Leżąc przy basenie, zwrócony twarzą w dół, jak nagrobna płyta, Jan przypominał sobie świat realny. Flandria. Pola na północy, na pozór martwe, a jednak pełne życia, gdy zbliżyć się do ziemi, przyłożyć do niej nos. Oczyma wyobraźni ujrzał zeschnięte błoto latem na podwórzu, brązową oazę, gdzie jako dziecko wylegiwał się w miejscu wybranym przez psa, odsuwając kundla, by wsłuchać się w puls ziemi.

Ziemia była jego, mógł brać ją garściami, do woli. Jako dziecko znał każdą jej piędź. Do niego należało królestwo błota, które powstrzymywało panoszącą się trawę. Bawił się w nim, czy sucho, czy mokro, rozpoznawał rodzaje ziemi, od leśnej, bogatej w próchnicę, po lżejszą, polną, jak paleta akwareli z jednym tylko kolorem, gotowa zamienić się w farbę o różnych odcieniach za jednym pociągnięciem pędzla. Słyszał muzykę ziemi, drobinki piasku zgrzytające na wąskiej grani zębów, gdy wysysał błoto spod paznokci.

Leżał, czując, jak słońce pali skórę przez rzednące włosy, dojrzały mężczyzna w jałowej przestrzeni, i znów usłyszał krzyk czy też śmiech z dzieciństwa, rozbijanie spękanego lodu na stawie, głuchą ciszę, jaka zapadała codziennie wraz z nadejściem nocy, sypianie w pokoju

wraz z braćmi i siostrą. Podobnie jak wielu innych w wiosce, i oni zrezygnowali ze szkół przykościelnych we wsi, i dzień w dzień pedałowali tam i z powrotem, a czasem dodatkowo w porze lunchu. W ciągu kilku lat stulecia historii i tradycji odeszły w niepamięć, edukację oraz opiekę społeczną przejęło w Europie Północnej państwo, za jednym zamachem przejmując rolę rodziny, społeczności i kościoła. Nowoczesność pokonała ich z większą siłą i bardziej nieoczekiwanie niż którykolwiek z licznych dotychczasowych najeźdźców. Nie sposób było się jej oprzeć. Wykształcenie zdobywało się za darmo. Jego brat został lekarzem. Dawniej nikomu nie przechodziło nawet przez myśl, że farmerski syn może ukończyć medycynę. Ksiądz beszał rodziców z ambony. Ale Kościół katolicki tracił na znaczeniu. Nieliczni decydowali się opłacać tygodniowe czesne w miejscowej szkole przykościelnej. Mniej więcej w tym samym czasie do wsi dotarła elektryczność. Obszary rolnicze były pod tym względem zapóźnione; dopiero w latach pięćdziesiątych z dobrodziejstw elektryczności korzystała cała wioska. Początkowo prawie nie zapalano świateł, gniazda elektryczne znajdowały się w miejscach przypadkowych, często tam, gdzie nie były wcale potrzebne. Pewnego wieczoru jego matka stanęła w świetle przy drzwiach frontowych, podniosła książkę do lampy, po czym przytąszyła krzesło, by usiąść w rozświetlonym kręgu. Jednak po kilku minutach zgasła lampę, kręcąc głową.

Przez lata, gdy powracał do domu z któregoś z barów we wsi, widział coraz więcej świateł w ciemności - sztucznych gwiazd. Za jego młodszych lat nocą wioska leżała pogrążona w ciszy. Z początku powoli, potem z rozpędem przybierającym na sile u schyłku lat siedemdziesiątych, zjawily się telefony i telewizory, a jego starzejąca się matka zdała sobie sprawę, że to, co należało do przeszłości,

pozostało w ich własnym domu, a co było blisko, cicha, spokojna ziemia, odeszło daleko wstecz.

Współczesność stała nad nimi okrakiem, niczym tyran. Lecz Jan był nieustępliwy. Był synem ziemi. I do ziemi powróci.

Usłyszał cichy odgłos, ktoś sadowił się tuż obok, sąsiedni leżak ugiął się nieznacznie i Jan poczuł dłoń na plecach pomiędzy łopatkami, gdzie wpasowała się jak filiżanka odstawiona na spodeczek. Nie drgnął. Po chwili poczuł lekki ruch powietrza w miejscu, gdzie ręka oderwała się od skóry, a jej nieobecność była mocniej odczuwalna niż dotyk. Usłyszał szuranie wkładanych ponownie butów i dopiero po chwili jego zmysł słuchu zarejestrował dźwięk kroków na płytkach, daleki, oddalający się coraz bardziej. Lekko wykręcił szyję i otworzył jedno oko, by ujrzeć Laurie wracającą do hotelu. Był świadom wzmagającego się bólu w łądźwiach i pomyślał o morfinie w pokoju. Zamknął powiekę, ułożył głowę w poprzedniej pozycji, przełknął ślinę i ponownie zapadł się w ciemność.

- Chciałem pożegnać się przed wyjazdem - powiedział Bill.

Jan otarł usta i się nie odwrócił. Siedzieli przy śniadaniu. Naprzeciwko niego George odłożył nóż i widelec. Tego ranka oczy George'a przesłonięte opalizującą powłóczką podeszłego wieku wydawały się jeszcze bardziej zamglone niż zwykle. Jednak wyraz twarzy miał wyciekający; można było czytać z niej jak z książki. Dostrzegając nadzieję czającą się za każdym mięśniem na obliczu przyjaciela, Jan zastanawiał się, co powinien uczynić. Widział Billa wychodzącego z biura Burnsa. Nie sposób było nie zrozumieć tego pełnego skruchy spoj-

rzenia. Miał zamiar zignorować Billa. Przygotowywał się dokładnie na tę chwilę. Teraz jednak wstał od stołu, skinął głową, podszedł do Billa i wyciągnął do niego rękę na pożegnanie.

- Możemy porozmawiać? - spytał Bill, przytrzymując nieruchomo podaną dłoń. Jan powtórnie skinął głową i przeciąwszy korytarz, wyszedł z sali śniadaniowej na taras na zewnątrz. - Powinienem być przyjąć z tym do ciebie wcześniej - powiedział. - Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

- Nie - odparł Jan, nieznacznie wydymając górną wargę i kręcąc głową. Spojrzał w stronę krzewów hibiskusa i dalej, w kierunku morza. Niebo znaczyły drobne obłoczki, przypominało starą, postrzępioną na obrzeżach stronicę. - Wiem, co chciałbyś mi powiedzieć i wiem, dlaczego: żeby zrzucić kamień z serca, lecz dla mnie wysłuchanie tego jest krępujące.

- Napijemy się kawy? - zaproponował Bill, przestępując z nogi na nogę, utkwivszy wzrok w twarzy Jana.

- Już piłem.

Bill cicho westchnął.

- Masz rację - powiedział - robię to dla siebie. Czuję się parszywie. Widzisz, to tak jakbym dopuścił się wobec ciebie zdrady nie raz, lecz dwa razy, a wcale nie miałem takiego zamiaru.

Jan uniósł brwi.

- Nie mogłem spokojnie patrzeć, jak pakują człowieka do pudła, dlatego zdecydowałem się porozmawiać z Burnsem.

- Do tego by nie doszło.

- Nie ma gwarancji! Poza tym nie wiemy, jak funkcjonuje w tym kraju policja i system sądownictwa. Ale przede wszystkim, Janie, pomyślałem, że powinienem postąpić słusznie, zgodnie z nakazem sumienia. Wierzę, że ten mężczyzna jest niewinny.

- Na jakiej podstawie? - spytał Jan, obracając się do Billa. Ten umknął spojrzeniem.

- Na podstawie znajomości z twoją żoną.

- Znasz moją żonę?

- Poniekąd. - Bill zrobił się purpurowy na twarzy, pod pachami i pośrodku pleców wystąpiły na koszuli mokre plamy.

- Na tyle dobrze, by wiedzieć, że kłamie?

- Nie, niezupełnie, ale dostatecznie dobrze, by znać jej osobliwy stosunek do...

- Seksu. Uprawiałeś seks z moją żoną.

- T a k .

Jan odwrócił wzrok.

- Jakież to chrześcijaństwo wyznajesz?

Bill wbił wzrok w podłogę i potrząsnął głową.

- Nie wiedziałem, że jest mężatką. Nie znałem ciebie.

- Po czymś takim nie powinienes był próbować się ze mną zaprzyjaźniać.

- Ale dlaczego? Było, minęło, nic nie znaczyło. Odeszło w przeszłość, zostałyby zepchnięte w niepamięć. Janie, przecież zostaliśmy przyjaciółmi. Oczywiście, gdybym znał cię wcześniej, nigdy bym się na to nie poważył.

- Słuchaj, znam swoją żonę nie od dziś - prychnął i przesunął dłoń po twarzy. - Tak się składa, że nie jest to dla mnie całkowite rozczarowanie, tylko kolejna przykra wiadomość. Czuję się rozczarowany tobą, Bill. Wszystko wydaje mi się skończonym fałszem. Choć przyczynia się do tego coś więcej niż twoja osoba, także zasady, które reprezentowałeś.

- Wiem - powiedział Bill, napotykalając wzrok Jana.

Jan wolno pokiwał głową.

- Czuję się stary i znużony, pewnie z powodu raka. Nie chodzi o ciebie, ma to raczej związek z nią i ze mną

- powiedział. Podniósł wzrok i przez okno restauracji ujrzał George'a obserwującego ich znad stolika. - Mówię bez ładu i składu. Z tego co widzę, mylimy się wszyscy.

- Przepraszam, Janie - rzekł Bill - naprawdę bardzo mi przykro, żałuję, że to się stało.

Janowi przemknęła przez myśl Laurie. Żaden kąsek nie łądował nigdy na jego talerzu, a nawet gdyby tak się stało, nie skorzystałby. Popatrzył na buty Billa z lakierowanej skóry.

- Nie sądziłem, że jesteś oportunistą - powiedział.

Bill wyglądał jak półtora nieszczęścia, przygryzał wargi i mrugał powiekami. Wyciągnął dłoń.

- Żegnaj, Janie.

## 63

Był to jeden z najbardziej religijnych krajów, jakie Bill kiedykolwiek odwiedził i w drodze na lotnisko każda iglica, każda trójkątna kapliczka, każdy krzyż, każdy cmentarz kłuły w oczy jak jeden wielki wyrzut. Mocno zacisnął powieki, a kiedy je otworzył, samochód piał się w górę drogą przecinającą plantacje trzciny cukrowej i biegnącą w głąb wyspy, a słońce dotykało swym gorącym palcem wnętrze wozu, tylne siedzenie. Łzy toczyły się po policzkach Billa, wyjął chusteczkę z ozdobnego pojemnika między przednimi fotelami i wydmuchał nos.

Na lusterku wstecznym kołysał się krzyż pleciony z suszonych palmowych liści. Kierowca zerknął w lusterko, jego głowa podskakiwała z boku na bok w rytm równomiernie rozmieszczonych wybojów.

- Serce boli stąd wyjeżdżać - powiedział.

Bill zareagował podniesieniem głowy.

- Pan z powrotem do domu? Do Anglii?

Bill pokręcił głową.

- Blisko. Do Irlandii.

- No to nie ma potrzeby się smucić. Wygląda pan na porządnego człowieka, który wie sobie dobre życie. Uśmiech na usta. Po co się smucić.

Bill powtarzał sobie, że jest oszustem. Siedzi z forszą w kieszeni i z paszportem, jak gdyby wiedział, dokąd zmierza i miał środki na dotarcie do celu. Wydawało mu się, że walizka w bagażniku przygniata mu plecy. Czuł się zbyt potężny jak na ciasne wnętrze wozu, zbyt mały dla świata na zewnątrz. Za głupi. Ze zbyt dużą liczbą błędów na sumieniu.

- Sam sprowadzam na siebie smutek - powiedział.

- Co takiego? - zapytał kierowca.

Bill potrząsnął lekko głową i wyjrzał przez okno. Na plaży powyżej brzegu stała mała łódka rybacka z wypisanymi na burcie słowami: „Jezus jest piękny”.

## 64

Spała z odchyloną do tyłu głową i szeroko otwartymi ustami, niech ją Bóg błogosławi. Nigdy nie grzeszyła nadmiarem kobiecego wdzięku. Ale, żeby oddać jej sprawiedliwość, nie używała też kobiecych sztuczek. George obserwował, jak na wpół ocknęła się ze snu, otarła kącik ust papierowym ochraniaczem zagłówek i posapując, zapadła znowu w dający ukojenie sen. Pokręcił głową i uśmiechnął się. Trącił ręką mijającą go stewardesę i postukał w brzeg szklanki do piwa.

- Skarbeńku, zaschło mi w gardle - oznajmił. - Pewnie przez tę wysokość. Mam straszne pragnienie.

- Przynieść panu wody? - spytała uprzejmie, patrząc szeroko otwartymi oczami. Przywykł do takich spojrzeń. Nawet mając tyle lat na karku, potrafił zmniejszyć prze-



paść wieku i zaskarbić sobie takie samo spojrzenie, jakim obdarzyłyby młodego mężczyznę. Uśmiechnął się do niej swym najbardziej ujmującym uśmiechem, jakby był wystrojony i wyperfumowany.

- Nie, złotko, nie znoszę tego cholerstwa. Piwo byłoby w sam raz. I whisky na popitkę, jeśli łaska. - Puścił do niej oko.

- Na pewno panu nie zaszkodzi?

- Nie jestem taki stary, na jakiego wyglądam, kochana. Miałem ciężkie życie.

- Aha - naląła piwo.

- No właśnie, poza tym lubię podróżować incognito. To charakterystyka, rozumie pani. Pod spodem mam skórę gładką jak niemowlę.

- Wyobrażam sobie. - Podała mu szklankę do piwa wraz z puszką i zaczęła wsypywać kostki lodu do plastikowego kubeczka, ale George ją powstrzymał.

- Nie potrzeba, moja droga, szkoda miejsca, prawda? Westchnęła.

- W takim razie musi być podwójna. - Wręczyła mu bardzo dużą szkocką. - Niech będzie, powiedzmy, że omsknęła mi się ręka.

- To jest myśl! - pochwalił George, unosząc jednocześnie obie brwi. Posłała mu dyskretny, ponętny uśmiech, sama tajemniczość i skrzące się oczy, George'owi zaś, który czuł smak piwa na języku, a w ręku dzierżył szklaneczkę szkockiej, nic więcej do szczęścia nie było trzeba.

Trzymał na kolanach torbę podróżną zawierającą wszystkie broszury, *vouchery* i złożone na pół bilety. Zaczął je przeglądać, zastanawiał się, czy ta młoda kobieta zauważy *vouchery*. Darmowy deser do każdego dania głównego, samochód lepszej klasy bez dopłaty przy każdorazowym wynajęciu auta na weekend, bezpłatne rejsy stat-

kiem dla dzieci przy wykupieniu biletu dla dorosłych. Nie wykorzystali prawie niczego, jedynie bilety lotnicze. Opracowany przez biuro podróży plan zwiedzania był wielokrotnie składany i rozkładany, niemal codziennie. Znalazł plastikowy portfel na czeki podróżne. Będzie można zwrócić je w banku. Im nie były potrzebne. Za wszystkie rzeczy dodatkowe płacił kartą bankową. Sto czterdzieści cztery funty. Był oszczędny; w tego rodzaju miejscach panowała horrendalna drożyzna. Kiedy po raz pierwszy wybrali się w podróż zagraniczną, zabrali z sobą sporo własnego prowiantu. Przechowywali go na parapecie okiennym w pokoju hotelowym, jako że w Ostendzie było chłodno i przyjemnie. Na śniadania kupowali mleko i płatki zbożowe, przywieźli własną herbatę ekspresową, zabrali własne łyżeczki. Dorothy spakowała nawet poszewki na poduszki, żeby udomowić hotel. On nie robił takich ceregieli. Jedzenie i picie to jedno. Nie potrzebuje wlec z sobą żadnej przekłetej pluszowej przytulanki, tak jej powiedział. Tłumaczył cierpliwie: „Kiedy wyjeżdżasz, masz wakacje, robisz wszystko inaczej. Nie trzeba robić tego samego, co w domu ani przestrzegać tych samych pór”, lecz w rezultacie kończyło się oczywiście na tym, że jedli lunch codziennie o pierwszej, podwieczorek - kanapkę i kawałek ciasta - o wpół do piątej herbatę i drobną przekąskę o siódmej, a do łóżka kładli się o wpół do dziesiątej. Kiedy ona spała, wyglądał przez okno i patrzył na ludzi przechadzających się wokół rynku, słyszał pod oknem podeszwy butów stukające o średniowieczny bruk. Patrzył, z jaką łatwością mężczyzna lub kobieta ciągną za mosiężny uchwyt drzwi baru, po czym znikają z pola widzenia.

Zawsze mieli trochę oszczędności. Nigdy nie byli rozrzutni. Ona kupowała nowy portfel mniej więcej raz na dziesięć lat. On w całym życiu miał może ze trzy. Jego słabością były buty. Sprawiał sobie solidną parę co

drugi rok. Dotknął kartek papieru, które wcześniej złożył i wsunął do portfela, hotelowej papeterii, na której zaczął spisywać swe wspomnienia. Zaczął od momentu ich ślubu.

*Kiedy się pobieraliśmy, przyjęcie weselne odbyło się w domu moich rodziców w Enfield. Zaprosiliśmy około dwudziestu osób, przyjaciół i krewnych. Kupiliśmy dom za pośrednictwem oszczędnościowej kasy mieszkaniowej Halifax, wpłaciwszy 36 funtów z kwoty całkowitej w wysokości 636 funtów. Musieliśmy spłacać miesięcznie 3,40 funta, ale nasz dochód wynosił jedynie 5 funtów tygodniowo. Zatrudniłem się w firmie chłodniczej przy Turnpike Lane, budującej głównie chłodnie dla rzeźni. Komory chłodnicze były konstruowane z drewna, z jednej strony obłożone sklejką albo blachą pomalowaną na biało farbą w sprayu. Obracaliśmy je pustą stroną do góry i docinaliśmy na wymiar korkowe płyty, następnie posyłaliśmy po człowieka, który pokrywał wewnątrz gorącą smołą, po czym kładliśmy na nią korkowe płyty o grubości około dwóch cali, potem kładliśmy kolejną warstwę smoły i korka, i przykrywaliśmy sklejką albo blachą, góra i dół były skonstruowane tak samo. Składaliśmy je do kupy, skręcając wszystko razem sześciocalowymi śrubami przez otwory i kloce umieszczone od wewnątrz na ściankach i wierzchu komory. Podstawa była robiona w ten sam sposób, ale miała cementową podłogę z otworem odpływowym z tyłu. Te podstawy kładziono na koziolkach ciesielskich i tam je cementowano, żeby Dick cementarz nie musiał się schylać, bo był z niego kawał chłopca. Po jakimś roku spytałem, czy byłaby możliwa praca przy montowaniu komór chłodniczych w sklepach rzeźniczych i powiedziano mi, że tak. Zwykle w charakterze napiwku dostawałem mięso na pieczeń albo kotlety.*

*Tydzień po naszym ślubie wysłano mnie do Smethwick koło Birmingham, bym schłodził taśmę, na której miały być z kolei chłodzone formy do pieczenia, podczas gdy przechodziły przez chłodnię, którą musiałem zbudować, gdy taśma była w ruchu i przesuwały się na niej gorące blachy. Dostałem wtedy trochę ciastek, minibuleczek z czekoladą. Byłem tam tydzień, a potem - hop do żonki.*

*Nie mogliśmy pozwolić sobie na miesiąc miodowy, bo kupiliśmy dom. Poszedłem pracować przy kościele w pobliżu Cockfosters. Skończyły się pieniądze na budowę kościoła, zrobiliśmy więc imitację drewnianego zwieńczenia. W tym czasie mój ojciec podupadł na zdrowiu. Miał sześćdziesiąt sześć lat. Gasł szybko, cierpiał na arteriosklerozę, stwardnienie tętnic. Był moim mentorem, człowiekiem, który nauczył mnie, jak postępować w życiu i zaszczerpił we mnie swoją miłość do muzyki i stolarki, która przetrwała po dziś dzień. Pewnego dnia żona przyszła do kościoła. Przymocowaliśmy z kolegą duży drewniany krzyż na zwieńczeniu, które budowaliśmy. Podniosłem wzrok i zobaczyłem ją, jak macha ręką. Zszedłem z rusztowania szybko jak błyskawica; przecież kochałem ojca całym sercem. Kiedy umarł, mama uparła się na konny karawan i powozy, bo nie chciała, by ludzie widzieli, że jej spieszo.*

*Potem wybuchła wojna. Ponieważ w branży budowlanej działo się niewiele, wstąpiłem do straży pożarnej w Enfield, wyskakiwałem z mierzących 90 stóp wysokości wież, ratowałem ludzi uwięzionych w zbombardowanych budynkach, a także, mając doświadczenie budowlane, adaptowałem pomieszczenia na schrony przeciwlotnicze. W 1942 roku powołano mnie do służby w siłach zbrojnych i zostałem kurierem w wojskach radiotelegraficznych w Irlandii, potem w Yorkshire, a później była Afryka, Algieria. Po paru latach pojechałem do Włoch, zostałem tam do*

*zakończenia wojny i spędziłem cudowne chwile z moimi towarzyszami broni. To był najwspanialszy okres w całym moim życiu.*

*Po wojnie doszliśmy do wniosku, że chcemy żyć bliżej natury. Kupiliśmy więc szkółkę i uprawialiśmy pomidory, chryzantemy, warzywa. Byliśmy zmuszeni z tego się utrzymywać. Tylko w nielicznych latach wyciągaliśmy z tej szkółki jakieś zyski, ale udało mi się znaleźć pracę, żeby pomóc ją spłacać, głównie w charakterze kierowcy.*

To tylko wycinek, nie całość. Coś w rodzaju listy. Będzie spisywał wszystko dla wnuków, żeby wiedzieli, co w życiu zwojował; to sprawa nadrzędnej wagi.

Było to mniej więcej piętnaście lat po wojnie, starsi krewni, którymi się opiekowali, jedni po drugich kopnęli w kalendarz, i wtedy zaproponował żonie: wiesz co, sprawmy sobie osobne łóżka. Widywał się podówczas z tamtą wdową. Nie było sensu trzymać się małżeńskiego łoża. Równie dobrze można mieć swoje miejsce na wyłączność. Ze śmiertelnie poważną i smętną miną powiedziała tylko: „Jak sobie życzysz”, nie unosząc przy tym nawet jednej brwi. Co znaczyło: ty tutaj rządzisz; a za czym kryły się słowa: jestem przecież twoją niewolnicą, czyż nie? Dawniej starał się wywoływać na jej ustach uśmiech, przekomarzał się z nią, ostatecznie miała irlandzkich przodków, dowcipkowali we wczesnych latach małżeństwa. Raz czy dwa uszczypnął ją w pupę, przystawiał się, kiedy byli razem w ogrodzie, lubił patrzeć, jak pochyla się i wacha pomidory. „Widzę tu symetrię”, mawiał. Pomidory z własnej uprawy. Takiego zapachu nie można zapomnieć. Świeży, z cudowną nutą słomy, odrobinę przywodzący na myśl siuski. Kupione w supermarkecie nigdy nie smakują w ten sposób. W tamtych powojennych latach mówiła „odczep się”

i rozpromieniała się w uśmiechu. Potem zabierała ten uśmiech z sobą do domu i przypinała go do fartucha. Nigdy nie prowokowała fizycznej bliskości. Musiała opiekować się swoją schorowaną matką, która była paskudną wiedźmą i zanim się poznali, czepiała się dosłownie wszystkiego, uprzykrzając Dorothy życie. Nigdy się do tego nie mieszał. A może powinien był.

Spojrzał na żonę, tym razem miała zamknięte usta, głowa opadła jej na obfity pierś. Fantastycznie gotowała, niemal z niczego potrafiła wyczarować na stole prawdziwą ucztę. Była również wspaniałą matką, szła dla wszystkich ubrania, każdej zimy robiła im nowe swetry na drutach. W niczym nie przypominała tej Holenderki. Była dobrym człowiekiem. Równa babka. Poklepał ją po dłoni, a następnie ujął jej rękę i przez chwilę wachał. Wybielacz, nawet po dwóch tygodniach poza domem. Roześmiał się.

Poszukał w torbie portfela z czekami podróżnymi. W środku były dwa cieniutkie banknoty. Wyjął je. Dwieście funciaków. Zauważył, że oderwano kilka czeków. Wydali tylko sto funtów w czekach podróżnych, za resztę płacił kartą bankową. Wyruszyli w podróż z pięcioma. Dwóch brakowało.

Zamierzał szturchnąć Dorothy, ale się pohamował. Co ona z nimi zrobiła? Może ktoś je ukradł. Pomyślał o kobiecie, która sprzątała ich pokój. Nie, niemożliwe. Może ktoś włamał się do pokoju? Dorothy mruknęła coś przez sen, a po chwili znieruchomiały jej usta, niedomknięte i przekrzywione. Zostawił ją w spokoju.

## 65

„Ryder (junior) jest kimś w rodzaju inwestora. Ma dochody, prywatne, i używa ich do spekulacji giełdowych. Oczywista sprawa. Lepiej znam jego ojca. Były prezes Nabi-

sco. Wielka szycha. Czarny charakter o złotym sercu. Jest kimś. W przeciwieństwie do syna. Jak się mają twoje finanse?" Burns przeniósł wiadomość do foldera opatrzonego tytułem „gruba ryba”. Informacje, które są nam potrzebne, wydają się zawsze nadchodzić poniewczasie, pomyślał. Przystudiował finanse w Excelu, zastanowił się, jak potrącenie części płac mogłoby poprawić wynik końcowy, rozważył - robiąc szybki obrót na krześle ze stopami wspartymi o ścianę - ile przysporzyłoby mu to dodatkowej pracy, i — ni z tego, ni z owego - powrócił do sprawdzania poczty. W skrzynce odbiorczej była zapowiadająca intymną treść wiadomość od [Joanne@hotlips.com](mailto:Joanne@hotlips.com) zatytułowana „dziewczyny napalone na ciebie”, którą skasował. Był tam jeszcze krążący w sieci dowcip przedstawiający rzekomo dwadzieścia różnic pomiędzy płciami, nadesłany przez przyjaciela pracującego w Birmingham; to wszystko. Kiedy kasował po kolei wszystkie foldery, klawiatura dzwoniła jak automat do gry. Mógł cofnąć całą procedurę. Ale odejście bez pozostawiania po sobie śladów nęciło, postanowił więc wyczyścić cały komputer, by wyglądał równie anonimowo i zachęcająco jak nowy. Wyciągnął swój list rezygnacyjny, poprawił oficjalny, uprzejmy ton oświadczenia (posługując się sporą dozą dyplomacji wyjaśnił, dlaczego nie nadaje się na zajmowane stanowisko) na rzecz bardziej bezpośredniej wersji i wykreśliwszy ostatnie „niniejszym”, spojrzął na słowo, które pozostało: „rezygnuję”. Następnie uporządkował blat biurka, wkładając do szuflad wszystkie ułożone w sterty papiery. Przejrzał przegródkę z korespondencją i natknął się na dużą hotelową kopertę z własnym nazwiskiem wypisanym ręką starszej osoby, a poprzedzonym skrótem W.P.

Wewnątrz znalazł dwie mniejsze koperty oraz krótki liścik adresowany do niego. Na jednej z kopert widniało nazwisko *W.P. Adam Watts*, na drugiej *Charlotte, Sugartown Road*. (*Adam wie, gdzie to jest*).

*Szanowny Panie Burns,  
byłabym ogromnie wdzięczna, gdyby zechciał Pan dopilnować jak najszybszego doręczenia tych kopert adresatom. Z serdecznymi podziękowaniami,*

*Dorothy Davis*

Ponieważ żadna z kopert nie była zaklejona, Burns mógł podnieść skrzydełko i zerknąć na zawartość. Wewnątrz każdej z nich znajdował się czek podróżny na sto funtów. Oparł się w krzesło i położył na stole bose stopy skrzyżowane w kostkach. Poruszył palcami i uśmiechnął się. Oszczędności starszej pani. Zastanawiał się: dlaczego Watts? Może i ona jest mu coś dłużna za świadczone usługi. Wyszczерzył zęby.

„Jakbym prowadził burdel”, oto, co powie chłopakom przy kufelku piwa po powrocie do domu. Prowadzenie prawdziwego burdelu byłoby rozrywką, kawałem dobrej, czystej zabawy, no i mógłby na tym nieco zarobić. I wyświadczyć ludzkości jakieś dobro, ulżyć kilku strapionym duszom. O, to pomysł wart zastanowienia. Mógłby zbadać sprawę w sieci, rozpoczynając rekonesans od panny Joanny Namietnoustej. Położył jedną rękę na kolanie, drugą na komputerowej myszce. Dziwne - nagle, zupełnie znikąd opadło go stanowcze przeświadczenie, że powinien wykonać zlecenie pani Davis. Joanna wraz z tysiącami jej podobnych, w stanie wiecznej gotowości do sprawiania erotycznych niby-niespodzianek, wszystkie one mogą poczekać.

## 66

Przez mrok karaibskiej nocy podążali ku światłu dziennemu Europy, samolot gnał przez ciemności, śpieszył do domu.

Annemieke siedziała przy oknie, z głową przechyloną na bok, odwrócona od Jana. Dumiała nad oszczęd-



nością własnych łez; wypływały z regularnością czkawki, każda łąza pokonywała trasę od lewego oka, które znajdowało się wyżej niż prawe, spływała na drugą stronę nosa i wpadała do drugiego oka, nabierając większej masy i rozpędu, nim kapnęła na poręcz i pod fotel. Annemieke leżała w tej samej pozycji od kilku godzin. Nikt nie mógł jej widzieć ani słyszeć. Jan z pewnością myślał, że śpi.

Do Brukseli przylecieli rano. Przywitała ich aura typowa dla północnej Europy, jak zauważyła Annemieke, podnosząc roletę okienną i spoglądając na miniaturowy świat uwijający się w dole wokół własnych spraw. Gdy samolot wylądował na płycie lotniska, zobaczyła na szybie drobną mżawkę. Zeszli po trapie do oczekujących autobusów. Promienie słońca można zignorować, można o nich zapomnieć, ale deszcz przenika wszystko. Bagażowi z podniesionymi kołnierzami wypełniali swoje obowiązki, marszcząc czoła, skutecznie chroniąc się przed brzydką pogodą.

Najstarszy syn, Marcus, wyjechał im na spotkanie. Jan zajął miejsce z przodu, Annemieke usiadła z tyłu. Odpowiedziawszy na pytania syna, każde z nich odwróciło się do okna, wpatrując się w deszcz, patrząc, jak pola bratają się z żywopłotami i domami. Dwa bądź trzy razy syn szukał w lusterku jej twarzy. Dała mu połowiczną odpowiedź, nie zdradziła nic więcej.

Gdy znaleźli się w domu, a syn poszedł kupić pieczywo i mleko, przeprosiła i zatelefonowała. Potem wróciła do kuchni, gdzie Jan siedział z filiżanką cytrynowej herbaty i przedstawiła mu swoje ustalenia i zamiary.

— Nie próżnowałaś, odcięta od świata w hotelowym pokoju - stwierdził. - Zdołałaś zbudować sobie nowe życie. - Siedzieli naprzeciw siebie przy małym kuchennym stole, tym samym, przy którym przez lata jadali wszystkie mniejsze posiłki, śniadania, pili herbatę, kawę, drinki

przed snem. - Zresztą nie sądzę, bym miał tu cokolwiek do powiedzenia. - Wstał i poszedł położyć się w wolnym pokoju, tym, który zajmował dawniej Ben, tymczasem ona pakowała torbę w ich sypialni.

- Nie chcę, żebyś odchodziła - powiedział, leżąc samotnie pośród ciemności, w pokoju obok.

Gdy usłyszała syna w kuchni, zeszła na dół i gestem ręki poprosiła, by wyszedł na zewnątrz. Przez całą rozmowę przytrzymywała klamkę drzwi, stała twarzą do niego, odwrócona plecami do domu, czując na skórze zimną mżawkę. Wyjaśniła, że będą żyć osobno, że zamieszka z André De Vriesem. Zaoferował jej wszelką pomoc, jakiej by potrzebowała i uroczyście wziął ją w objęcia. Twarz miał posępną i wymizerowaną, dokładnie tak jak ojciec.

- To nie jest bajkowe zakończenie, ale musimy chyba zachować się rozsądnie - rzekł, gdy skryli się przed chłodem we wnętrzu - uszanować waszą wolę. Było ci trudno, mamó. Osobiście wołałbym, żebyś zaczekała do końca. - A następnie, czytając z jej twarzy, dodał: - Ale ten koniec rzeczywiście nadchodzi już od dawna. Nie martw się, wszyscy pomożemy wam przez to przejść, wam obojgu - dopowiedział, podnosząc wzrok na małą półeczkę w kuchni, na której ustawiła rozmaite bibeloty latami gromadzone przez rodzinę. Były tam lepienie przez dzieci gliniane dzbanuszki, pojedynczy kieliszek do jajek, fotografie dziadków oprawione w ramki, kafelek z Delft pochodzący z kuchni babci, wazon, który chłopcy kupili jej kiedyś na urodziny; nic niewarte drobiazgi, jakie zbierają się w każdym domu. Potem schylił głowę - mierzył ponad sześć stóp wzrostu - i przestąpił próg, zapuszczając się w głąb domu i wołając cicho: „ojcze?“, mimo że w ostatnich latach miał w zwyczaju wołać ojca po imieniu.

Słyszała przytłumione odgłosy rozmowy, a potem zjawił się Jan, który wyprowadzał syna za próg, położywszy mu dłoń na plecach, potrząsał głową i zapewniał, że da sobie radę.

- Co powiedział ci Marcus? - zapytała.

- Ze powinniśmy cieszyć się chwilą, zapomnieć o przeszłości. Ze teraz nie liczy się nic więcej.

Odwrócił się do niej plecami pod pretekstem przyniesienia książki. W rzeczywistości syn objął go i przemawiał przeprasającym tonem. Mówił:

- Tak bardzo mi przykro. Czuję się okropnie. Wszyscy popełnialiśmy błędy, tato. Wszyscy bez wyjątku. Żaden rodzic nie myli się całkowicie, żadne dziecko nie ma bezwzględnej racji. Mam nadzieję, że wiesz, że ja i Ben cię kochamy.

Jan odparł:

- Jesteś synem; masz prawo do błędów. Mam nadzieję, że z moich pomyłek wyciągniesz właściwe wnioski.

Przyglądał się synowi, który raz po raz otwierał i zamykał usta, gdy nachodziły go kolejne myśli i ujrzał własną twarz pozbawioną zmarszczek - gładszą, świeższą, szlachetniejszą, spokojniejszą. Może mimo wszystko dałoby się umknąć przed samym sobą, jeden jedyny raz. Wyprowadzić się z siebie, tak jak stopa wysuwa się z buta.

Pół godziny później Annemieke wyszła przez drzwi kuchenne bez dalszych pożegnań, wsiadła do mniejszego samochodu, renault Clio, zostawiając Janowi audi. Nietrudno było się spakować. Na Karaiby nie zabrała z sobą najlepszych rzeczy, spoczywały świeże i starannie poukładane w szufladach. Miała spotkać się z André

w kularach hotelu Boudewijn na De Markt w centrum Brugii. Czekał już, kiedy przyjechała, przerażony, pod-ekscytowany. Zadali sobie nawzajem pytanie, czy wszystko w porządku i udali się prosto do zarezerwowanego przez André pokoju; jednego z najwykwintniejszych, z łóżem z baldachimem i widokiem na rynek. W łazience leżały angielskie przybory toaletowe i mięsiste ręczniki, na łóżku jedwabna pościel i narzuta; był tam nawet kominek, w którym płonął ogień. Zdjęła ubranie i włożyła szlafrok, podczas gdy on obserwował ją z fotela poważnym, kocim wzrokiem, w odprasowanym płaszczu przeciwdeszczowym. Po kąpieli ubrała koszulę nocną La Perla, jasnobrązową z miękką, kremową koronką wokół dekoltu. Skropiła nadgarstki odrobinną Joy Jeana Patou. Następnie wyszczotkowała i wysuszyła włosy, a kiedy wyłoniła się z łazienki, ujrzała go siedzącego na łóżku w samych bokserkach, z kieliszkiem szampana w dłoni.

- Za nowe życie? - spytał, głośno przełykając ślinę. Skinęła głową, a wtedy on sięgnął do nocnego stolika po napełniony kieliszek i podał jej trunek, nie przestając wciągać przy tym brzucha, co nie uszło jej uwagi. Przyglądał się, jak piła. Potem wziął głęboki wdech przez nos. Zauważył, że ma w uszach brylantowe kolczyki, a usta pomalowała szminką w kolorze wina. Na moment przytknął powieki. Rozbierając się, rzucił okiem na torbę Louisa Vuittona stojącą w nogach łóżka, dostrzegł pończochy i delikatne domowe pantofle, bieliznę oraz miękkie tkaniny złożonych ubrań.

Wszystkie te rzeczy, hotelowy pokój, przybory toaletowe, szampan, stanowiły oficjalne symbole romansu. Nie było w nich nic niewłaściwego. Przedmioty te służyły stworzeniu między nimi dystansu, który stanowił o doskonałości tego układu. Kiedy brał ją do łóżka, byli nie-

znajomymi, połączonymi jedynie tą chwilą, bez żadnych rozszczeń wobec siebie.

- Pragniesz mnie, prawda? - zamruczała mu do ucha, gdy się do niej zbliżył. Uciszył ją, namiętnie całując jej usta.

## 68

Gdy Jan postanowił opuścić Belgię, pojechał pociągiem z Brugii do Brukseli, i dalej pospieszonym do Paryża. Z okien przedziału Belgia wyglądała jak zawieruszony fragment wschodniej Europy, cierpiący z powodu cementowych deszczów przywiewanych gdzieś znad Polski. Widział małe szare baraki obok torów kolejowych, stojące tam bez celu, jak pionki na grze planszowej, którą ktoś porzucił; za nimi rozciągał się melancholijny pejzaż, płaski, szary. Kościoły, które mimo okazałych rozmiarów nie zyskały nigdy rangi katedry, zdobiły rusztowania. Z bliska krajobraz okazywał się dość zielony, bogato ulistniony, obfitujący w pokrzywy i krzewy jeżyn. Domy były zadbane, ale nie ostentacyjne. Budynki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z konformistycznymi aspiracjami do „jednorodnego społeczeństwa” miały proste geometryczne kształty, odcienie pastelowego błękitu i brązu. Tu i ówdzie balkony z kutego żelaza nasuwały skojarzenie z Francją, ale szyby okienne były poplamione od kwaśnych deszczów. Na tle tego umiarkowania od czasu do czasu zwracało uwagę coś dziwnego. Zauważył dość pikantną, dwuznaczną reklamę, luźno kojarzącą wizerunek kobiecego sutka z przedstawicielstwem handlowym firmy samochodowej, biały wóz dostawczy z namalowaną nagą, rudowłosą postacią osłoniętą jedynie listkiem figowym, która zapowiadała, *slaapfestival* organizowany przez „Willy'ego Van Den Està”.

W pociągu grupka mężczyzn wrzeszczała i dodawała sobie nawzajem animuszu niczym stadko kozłów stojących dęba, by zademonstrować samczą siłę. W każdym innym miejscu na świecie uznano by ich za homoseksualistów ze względu na wąsy w kształcie rowerowej kierownicy. Tymczasem ich zadbane kobiety siedziały razem naprzeciw nich z rękoma na torebkach, powstrzymując się od komentarzy, uprawiając się we wdowieństwie.

Jan obserwował ładną małą dziewczynkę, która siedziała obok swojej korpulentnej matki. Dziewczynka, niebieskooka, o ciężkich powiekach, z twarzą poważną, acz świeżą, matka z wydętymi policzkami, ciemnymi odrostami, znudzona. Kobieta siedziała z zamkniętymi oczami, by nie tracić niepotrzebnie energii; założyła na piersiach tłuście jak wieprzowe udźce ramiona. Głowa opadła jej jak wielki namiot cyrkowy, z którego zeszło powietrze.

Zobojętnienie widoczne w oczach dziecka przypominało mu małą niemiecką dziewczynkę, która bawiła się z jego synami; jej rodzice przeprowadzili się z Hamburga na zamieszkiwane przez nich przedmieście Brugii. Choć mogła mieć nie więcej niż sześć lat, kiedy ją poznali, budziła w nim niepokój. Przychodziła do nich do domu i mówiła otwarcie: „czegoś potrzebuję”, w oczach jej malowała się zaduma, gdy tymczasem usta komunikowały o potrzebie. O co chodzi? O coś do picia, jedzenia, o konkretną zabawkę? Wobec tego na pewno o ciasteczko? Nie, nie, nie. Wprowadzała się w stan silnego pobudzenia, obydwaj chłopcy patrzyli na nią porażeni miłością jak gromem z jasnego nieba, a wreszcie ni z tego, ni z owego brała głęboki oddech i oznajmiała, że to jest to; potrzebowała jedynie powietrza.

Pomyślał o Laurie, która przypominała tę małą dziewczynkę, zarówno swą bezpośredniością, jak i roztaczaną wokół aurą zaintrygowania ciałem, w którym została

uwięziona, nie wiedząc, jak się nim posługiwać. Może właśnie w tym tkwił jej wielki urok. Kiedy zatrzymywała na kimś spojrzenie, mogło wydawać się przez ułamek chwili, że mimo wszystko potrzebuje właśnie jego.

„Po przyjeździe z Madrytu zatrzymam się na dwa tygodnie w hotelu Trois w Paryżu, a potem wrócę”, powiedziała mu Laurie, „chyba że... chyba że zmienię zdanie”. Pożegnali się w hotelowej recepcji. Kiedy ujrzał ją idącą ku niemu przez hol, ogarnęło go nagle przeświadczenie, że za chwilę zdoła wszystko odmienić, poczuł, jak burzy mu się krew, jakby mógł wybrać życie zamiast śmierci. Gdy podeszła blisko, jego serce uległo i ucichło, musiał odsunąć się na bok, jak gdyby lada moment miało runąć na nich drzewo.

Potrzebował krótkiej chwili, by zebrać się w sobie, po czym wyciągnął obie ręce w geście niemal ojcowskiej serdeczności i zmusił się do uśmiechu. „Pożegnanie w stylu europejskim”, rzekł, całując ją mocno w oba policzki, nie spiesząc się, ściskając jej ramiona.

„Pożegnanie?”, spytała z nutą powątpiewania, nie wypuszczając jego rąk nawet wtedy, gdy się odsunął.

Dziewczynka oparła się o stolik, chłonęła wzrokiem krajobraz, który zostawał w tyle, następnie schowała głowę z kucykiem w ułożonych na blacie w kształt litery M ramionach, pogrążając się w ciemności.

Jego własne dzieci, dwaj chłopcy, już dorośli, bladolicy, osobliwi jak ich matka, wiedli szacowne życie w szacownym kraju. To niemało. Zegnajcie wszyscy, pomyślał. A dziewczynce - niechaj sprzyja szczęście.

## 69

Na Ile St-Louis w Paryżu jest mały rodzinny pensjonacik, nie tak drogi jak znane hotele, niemniej jednak

z aspiracjami do pretensjonalności. Hol zastawiono delikatnymi przedmiotami, wazy z przykrywkami poustawiano na stolikach na cienkich nóżkach, które łatwo trącić, gdy przechodzi się obok, przykuwając uwagę do kruchej pięknej rzeczy z minionych epok. Ze względu na ogromną walizę George czuł się w obowiązku pojechać windą do pokoju na piętrze. Chcąc wymigać się od pomocy młodego człowieka z recepcji i odczuwając niepokój wywołany klaustrofobiczną przestrzenią i żelazną siatką windy, George stracił nad sobą panowanie.

- Proszę zostawić mnie w spokoju, dam sobie radę, dziękuję - poinstruował swego pomocnika.

- Ależ oczywiście, jak pan sobie życzy, *monsieur* - odparł młody człowiek z cierpkim uśmiechem.

- Francja jest w porządku, ale ci przekłęci Francuzi strasznie zadzierają nosa, prawda? - mówił George do słuchawki, gdy dzwonił ze swego pokoju do Jeanette. Rozległo się stukanie do drzwi, zaraz potem kilka kolejnych, i George poprosił córkę, by się nie rozłączała, a sam podszedł do drzwi. Znowu ten młodzian z dołu.

- Mam nadzieję, sir, że wybaczy mi pan, ale zostawił pan portfel na kontuarze recepcji.

George wziął portfel, skinął głową i zamknął drzwi.

- Znowu on. Nawet nie wiem, kto to. Pracuje tutaj. Okropnie namolny. W każdym razie, złotko, dotarłem na miejsce bezpiecznie. Podróż pociągiem była prawdziwą przyjemnością. Nigdy jej nie zapomnę. Posiłki przygotowywał miły gość z Anglii. Anglicy dają człowiekowi spokojnie odetchnąć. To mi się podoba. Jak mama? Pilnujesz jej? Bo ona da drapaką, wiesz o tym. Trzymaj zamknięte drzwi. Będzie ci wiercić dziurę w brzuchu o klucze, opowiadać, że koniecznie musi dostać się do domu, ale bądź wobec niej stanowcza. Powiedz: „Przeć się jesteś w domu”. Będzie marudzić o autobusie do



Tottenham. Nie, wcale się nie denerwuję; nie, nie, tu jest piekielnie duszno. Będę musiał pootwierać okna. Pojechałaś dzisiaj rano z siostrą oglądać dom spokojnej starości, prawda? Nie najgorszy, co? Mimo wszystko, jeśli się zmobilizujemy, nie będzie potrzeby z niego korzystać. Tak, oczywiście, wiemy, że jest taka możliwość. Fakt jest faktem. Nie w jakimś innym miejscu? Prawda... Nie zamierzam wypychać jej z domu, póki sam nieźle się trzymam, złotko, o to się nie spierajmy. Poczekaj chwilę, nie wytrzymam tego pioruńskiego zaduchu.

Wstał, zdjął marynarkę i krawat, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Był szary, pochmurny dzień. Gołąb zaprezentował swój profil i kiwnął główką.

- Odejdź, ty mały paskudniku, no, zmiataj stąd - powiedział George, wymachując przed ptakiem ręką. Wrócił do telefonu.

- Nie, tym razem to ptak. Gołąb. Słuchaj, tak jak mówiłem, poradzimy sobie. Nikt nie wie, jak długo. Ja czuję się dobrze. Ta odmiana świetnie mi robi. Dobrze z ciebie dziecko, wyświadczy mi przysługę. Przypilnuj jej dla mnie, dobrze? Martwię się.

Po skończonej rozmowie odłożył słuchawkę i wyciągnął się na łóżku, patrząc na lustrzane drzwi stojącej naprzeciwko przepastnej szafy z ciemnego drewna. Widział dwie wielkie stopy, buty świeżo podzielowane porządną skórą, a kiedy dźwignął się na łokciach, ujrzał twarz starego człowieka, który to widok od czasu do czasu go zaskakiwał. Rzucił okiem na zegarek. Pięta po południu. Z Janem ma się spotkać około siódmej, wybiorą się na wspólną kolację. Mógłby się zdrzemnąć. Ale pewnie nie będzie mu już nigdy dane znaleźć się w Paryżu, wstał więc z łóżka, opłukał twarz nad umywalką, wsadził do kieszeni klucz i portfel, mówiąc do siebie: „Głupi stary pierniku, brakuje tylko, żebyś sam zaczął tracić rozum”. Wyszedł

z pokoju i zszedł na dół po wyłożonych grubym chodnikiem schodach, pochylając się z uwagi na wąską klatkę schodową.

Starał się jak mógł, by wymknąć się młodemu człowiekowi z recepcji i był już niemal za drzwiami, kiedy młodzian zawołał:

- *Monsieur! Monsieur!*

George obrócił się z wysiłkiem.

- Może przechować pański klucz? Zazwyczaj tak robimy.

George podszedł do kontuaru i podziękował, zaciskając zęby.

- *Monsieur?*

- O co znów chodzi?

- Pada deszcz. Parasol?

- Nie. Mam czapkę, dziękuję. Czapka w zupełności wystarczy.

I George wyszedł na wąski chodnik, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu swojej tradycyjnej czapki z daszkiem, po czym wyciągnął ją z dumą. Wcisnął na głowę i odwrócił się do drzwi, pokazując ją przez szybę recepcjoniście.

Skręcił w ulicę, przy której stał hotel. Drobną mżawka sprawiała mu przyjemność. W prześwitach między budynkami widział *bateaux-mouches*, sunące po Sekwanie ze stłoczonymi wewnątrz ludźmi. Zaglądając do kilku restauracji i barów, dostrzegł w jednym bądź dwóch kominiki z otwartym paleniskiem i nisko zawieszzone lampy i stwierdził, że cieknie mu ślinka. Na kolację zje apetyczny kawał steku. *Pas de cheval, merci*. Jeanette mówiła, że tak się prosi o niepodawanie koniny. *Pas de cheval*, powiedział, robiąc unik, by nie popchnąć kobiety w średnim wieku. Na chodniku wystarczało miejsca tylko dla jednego przechodnia.

Z jaskrawo oświetlonego sklepu z zabawkami wyłoniła się młoda kobieta z wózkiem spacerowym, z trudem pokonując stopień dzielący ją od chodnika. George pospieszył jej z pomocą, podziękowała mu promiennym uśmiechem, wywołując na jego twarzy rumieniec. Dziecko miało czapkę wciśniętą na kręcone włosy i siedziało w kaloszach z nóżkami skrzyżowanymi dla wygody i bezpieczeństwa, w rączce trzymało drewnianą żyrafę. George ruszył za nimi, a kiedy zatrzymali się przy małym parku z huśtawką, zjeżdżalnią i pojedynczą ławką, przystanął również, po czym usiadł i przyglądał się, jak matka huśta dziecko. Kiedy dzieciak wybuchał śmiechem, on także śmiał się na głos i w ten sposób spędził radosny kwadrans. Matka zdjęła dziecko z huśtawki, nakłaniając je do zejścia w paru słowach; malec postawił kilka niepewnych kroków i puścił się biegiem prosto w stronę George'a. Ten wyciągnął ręce, jakby chcąc złapać dziecko, lecz ono wykonało zwrot i ponownie odbiegło. Siedział z wciąż rozpostartymi ramionami, skupiając całą uwagę na maluchu, bacząc, by nie upadł. Głowę podał do przodu, wysunął koniuszek języka na dolną wargę, napiął mięśnie łydek. Gdy matka z dzieckiem odeszli, wstał i udał się z powrotem do hotelu.

Jan zameldował się i czekał w swoim pokoju. Na prośbę George'a recepcjonista wybrał numer pana De Groota i przekazał słuchawkę George'owi.

- Witaj, przyjacielu, myślałem, że już nigdy tu nie dotrzesz. Mówię ci, zjadłbym konia z kopytami! - Młody mężczyzna westchnął ostentacyjnie, co nie uszło uwagi George'a. - Odśwież się, tak, tak, i spotkamy się na dole za, dajmy na to, pół godziny. Znakomicie!

Oddał słuchawkę recepcjoniście, rzucając lakoniczne „dziękuję”, i ruszył ku schodom. Był na drugim albo trzecim stopniu, gdy młody człowiek zawołał:

- Pański klucz, *monsieur!*

George niemal wyrwał mu go z ręki.

- Może następnym razem zechce pan o tym pamiętać, zanim minę kontuar. Jestem już starym człowiekiem, wyświadczyłby mi pan w ten sposób przysługę.

- *De rien, monsieur*, proszę uprzejmie - odparł młody mężczyzna wesołym tonem, powracając do rejestru hotelowych gości.

Dwie kamienice dalej znajdowała się restauracja z kilkoma niewielkimi salami, centralnie umiejscowionym kominem i menu wypisanym na rozstawionych dookoła tablicach, zawierającym zaledwie dwie czy trzy propozycje dań. George trochę kręcił nosem.

- Wygląda na to, że się nie wysilają.

Jan zasugerował, że choć wybór mają niewielki, może podają to, co potrafią przyrządzać najlepiej.

- A tak - odparł George - może tak być, oczywiście. - Posmarował grubo masłem chrupiącą bułkę i zjadał, rozglądając się dookoła, a zwłaszcza strzelając oczami w stronę dwóch młodych kobiet przy oknie.

Restauracja szybko wypełniała się gośćmi, głośne rozmowy i muzyka w tle zmuszały ich do pochylania się nad blatem stołu, żeby słyszeć się nawzajem. Jan zamówił dla George'a słodkie białe niemieckie wino, a także butelkę czerwonego.

- Nie dam rady wypić takiej ilości, przyjacielu.

- Będę ci pomagał.

- Sporo tego wina. Spodziewasz się towarzystwa? - George ruchem głowy wskazał stolik przy oknie i kilkakrotnie uniósł brwi. - He?

Jan patrzył, jak George rozrywa małą saszetkę cukru i wsypuje niemal całą jej zawartość do kieliszka, mieszając

rękojeścią noża. Pochwyciwszy spojrzenie Jana, George pokręcił głową.

- Za kwaśne, wszystkie te wina, robią je za kwaśne. Dlaczego nie można wyprodukować przyjemnego, słodkiego, tego nie pojmuję.

Jan skinął na kelnera i powiedział:

- *Beaumes de Venise, s'il vous plaît.*

- Co powiedziałaś?

- Dostaniesz wino, które przypadnie ci do gustu.

- Tylko nie kolejne!

- Dlaczego?

- Czyżby było tu tanio? To miejsce skojarzyło mi się z czymś prywatnym salonem.

- Po co przejmować się pieniędzmi? Poza tym, ja stawiam.

George potrząsnął głową.

- Nie mogę na to pozwolić, przyjacielu. No a twoja żonka, nie ma ci za złe, że wypuściłeś się na męski weekend?

Jan pociągnął haust wina, wypijając trunek niemal do dna. Czerwone wino - jak krew. Poczul się pełny. Ciepło szybko dotarło do głowy, wyciszyło jego niepokój i jednocześnie rozlało się po sercu; wraz z wydechem rozciągnął usta w uśmiechu.

- Och, nie ma nic przeciwko - odparł, kołysząc głową, po czym podsunął okulary na grzbiecie nosa.

- Doskonale - rzekł George - w takim razie przypuszczam, że po powrocie do domu wszystko jakoś się ułożyło.

Kelner przyniósł dania główne, dwa okazałe steki z frytkami.

- *Mou-tarde, s'il vous plaît* - wyartykułował z trudem George, a następnie oblał się rumieńcem i wyciągnął szyję, jakby spodziewał się ataku.

- Mówiłem, że po powrocie do domu...

- Wszędzie dobrze, a dom nie istnieje - rzekł Jan, przekrzywiając głowę i unosząc brew, gdy chwycił za nóż i widelec.

- Co? To idzie tak: wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

- T a k .

- To znaczy, że nie ma lepszego miejsca niż dom.

- Jak się miewa twoja żona, kochana Dorothy? Nie sprzeciwiała się twojemu wyjazdowi?

- Na spotkanie z tobą? Pewnie, że nie. Nie, jest bardzo zadowolona. Dla niej to też jakieś urozmaicenie, co? Szansa na nadrobienie zaległości z dziewczętami. Pooglądanie w telewizji ulubionych głupot, zajęcie się własnymi sprawami...

- Czuje się dobrze?

- O tak. Ani gorzej, ani lepiej.

Jan uśmiechnął się na widok musztardy zdobiącej kilka końcówek wąsów George'a.

- Jeśli mam być szczerzy - powiedział George, górną część tułowia przesuując na łokciach do przodu i dzierżąc w każdej z rąk nóż i widelec jak kijki narciarskie - myślałem, że skontaktujesz się z tą Laurie.

- Dlaczego?

George postukał się palcem wskazującym w skrzydełko nosa.

- Mam oczy szeroko otwarte, a co. Spiknęliście się ze sobą. Urocza kobieta.

- Tak, zgadza się, ale to zbyt skomplikowałoby sprawę.

- Ja tam nie wiem. Ludzie wiecznie gadają, że coś się komplikuje, prawda? Sądziłem, że w dzisiejszych czasach dąży się raczej do upraszczania. Stek bzdur. Dla was nie jest jeszcze za późno. Założę się, że zapisałeś jej numer.

- N i e .

- No to mógłbyś zadzwonić do Burnsa, powiedzieć mu, że masz jakąś jej rzecz, którą chciałbyś zwrócić - uśmiechnął się nieprzyzwoicie - na przykład jej biustonosz.

Jan odłożył sztućce na bok i obracał w palcach napęczniony kieliszek wina.

- Myślałem o niej, oczywiście.

George pokiwał głową, przeżuując kęs. Jego talerz był już prawie pusty. Pochłaniał jedzenie jak wilk, przyczajony, lekko agresywny, niezamierzający ryzykować utraty pożywienia. Jan wyobraził sobie, że na miejscu George'a mogłaby siedzieć Laurie, pakując frytkę do nieskazitelnie uszmkowanych ust, ożywiając go swoją kokieteryą, przyprawiając o zawrót głowy szybciej niż wino. Na samą myśl o tym podskoczyła mu adrenalina. Śnił o niej, odkąd wrócił do domu, niejednym razem. Sny przeciekały do życia na jawie, pozostawiając po sobie niepokój, przygnębienie, jak gdyby coś ważnego spaliło na panewce, matka była na łożu śmierci albo dziecko trafiło do szpitala, tyle że nie potrafił sobie przypomnieć, co właściwie się stało, był zwyczajnie przybity. We śnie czuł się tak blisko niej, tak mocno z nią związany.

George pozwolił sobie beknąć na boku. Mimo wszystko beknęcie było głośne.

- *Pardon, monsieur* - odezwała się jedna z pań ze stolika przy oknie. George odwrócił się, posłał jej radosny uśmiech i pomachał ręką.

- Zdaje się, że nie mnie jednemu się odbija - stwierdził, pociągając duży haust wina. - Słyszałeś? - Jan odniósł wrażenie, jakby zabrał na kolację dużego chłopca, który opchał się pączkami i opił napojami gazowanymi. - No, w każdym razie mógłbyś zdobyć jej numer. Sam mogę to załatwić. I tak będę musiał skontaktować się

z Burnsem, ponieważ nie wziąłem numeru od Billa, a chciałbym zadzwonić albo napisać do starego bracha.

Jan milczał.

- Sympatyczny gość. Wiem, że trochę się poprzytkaliście. Nie pytałem dotąd, o co poszło, nie zapytam i teraz - George przerwał, by nałożyć sobie na talerz kolejną porcję musztardy - ale to porządnym człowiekiem. Rozmawiałem z nim o biednej Dorothy, wiesz, o zawodzącej ją pamięci, a on powiedział mi kilka bardzo interesujących rzeczy. Że jego zdaniem pamięć jest czymś w rodzaju konta bankowego. Rachunku oszczędnościowego, z którego nie można wybierać pieniędzy. Powiedział, że w ostatecznym rozrachunku to jedyna wartościowa rzecz, jaką zyskał w całym życiu. Niech diabli biorą dom i samochód; liczą się tylko wspomnienia. Powiedział też, że nic dziwnego, że stan Dorothy trochę mnie irytuje, bo to tak, jakby rabowała bank. Nasze konto bankowe. No więc pomyślałem sobie: cóż, dopilnuję zamknięcia rachunku, a forszę zgarnę i schowam, że tak powiem, do skarpety, i wtedy zacząłem spisywać wspomnienia. Cofnąłem się do tych najwcześniejszych, do chwili narodzin. Spodobało mi się i jestem piekielnie zadowolony z tego pomysłu, bo nikt z nas nie wie, kiedy wyciągnie kopyta, prawda?

Jan uniósł brew i pokręcił głową, odłożył sztucę na owalny półmisek obok niewielkiego, schludnie okrojonego kawałka steku, który pozostał samotnie na talerzu.

- Dlatego cieszę się, że dogadujesz się jakoś z żoną. W końcu łączy was wspólna przeszłość, tak czy nie? To coś znaczy, kiedy człowiekowi coraz szybciej lecą lata.

- Z pewnością. Zamówimy deser albo sery?

- Wyśmienite mięso. Wyglądało jak podeszwa, a okazało się mięciutkie. - Jan zauważył, że talerz George'a jest czysty, z wyjątkiem rozmazanych resztek musztardy. -



Objadłem się, przyjacielu. Ale na coś słodkiego jeszcze się skuszę. Co tu mają?

Zamówili *Napoleon de la maison* dla George'a i kawę dla Jana.

George pił już trzeci kieliszek wina deserowego, o które poprosił dla niego Jan, i odsunął na bok koszyk z saszetkami cukru.

- No, to jest wino. Dlaczego wszystkie nie mogą tak smakować? - Zabrał się z apetytem za postawiony przed nim kawałek ciasta, dokładnie oblizując łyżeczkę, całą, aż po sam trzonek. - Polubił cię.

- Kto?

- Bill. Szczerze cię polubił. Mówił o tobie bardzo miłe rzeczy.

- Tak. Och, jak sam powiedziałaś, porządny z niego gość. Choć trochę nieopanowany.

- Nie potrafił się hamować, co do tego masz rację! Kurczę blade, potrafił napychać kałdun tak, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata, oj potrafił. Zwierzył mi się, że miewa okrutne zgagi. Trudno się dziwić. Któregoś wieczoru po kolacji wsunąłem mu do ręki Rennie, przyniosłem od siebie z pokoju i usiedliśmy razem wypić szklaneczkę na dobranoc. Nigdy nie zapomnę tego, co mi wtedy powiedział, bo uznałem, że to trafne spostrzeżenie. Powiedział, że istnieją na świecie dwa rodzaje ludzi - to ponoć słowa kogoś sławnego, ale nie mogę przypomnieć sobie czyje - zacni i sprawiedliwi, którzy są grzesznikami, i grzesznicy, którzy są zacni i sprawiedliwi. Mówił, że ma nadzieję, że należy do tych drugich, ale że pewnie tak nie jest, ponieważ ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. Powiedział, że ponieważ ty jesteś skromny, Bóg cię wywyższy. Osobliwe sformułowanie, ale sens pojmujeśz. Miło usłyszeć coś takiego o drugim człowieku.

Jan roześmiał się i zasłonił usta dłonią. Rozpogodziło mu się czoło, spojrzął na kominek, obserwował płomień, które migotały monotennie, ale nigdy nie tak samo. Czy pomyślę jeszcze o ogniu? Czy przypomną mi się zwroty z pewnych piosenek, czy będę myślał o Paryżu? - zadawał sobie pytania. Jak będzie? Czy jeszcze kiedyś się tu znajdę i poczuję tak jak teraz?

- Nie potrafiłem się połapać, do jakiej należą kategorii - George spojrzął na zatłuszczony od palców kieliszek. - Powiedziałem mu, cóż, nie wydaje mi się, bym był jakimś paskudnym starym zgredem, czy jestem w takim razie potępiony?

- Co odpowiedział?

- Że nie wie. Prawo Murphy'ego, co? - George wzruszył ramionami. - No, skoro moje zbawienie waży się na szali, może byśmy dokądś jeszcze wyskoczyli, co ty na to? Zawsze chciałem powłóczyć się po placu Pigalle. Podczas wojny jankesi nazywali go Sprośną Uliczką, czegośmy się o niej nie nasłuchali. Żałowaliśmy, że nie mamy takiego miejsca we Włoszech. Chciałbym również przejść się po Polach Elizejskich. Jest jeszcze wcześniej, prawda?

- Zapłacę rachunek i pójdziemy. - Jan dał znak kelnerowi.

- Wiesz, co szwaby określały mianem francuskiego śniadania? Przynajmniej takie doszły mnie słuchy podczas wojny. Wiesz? Papierosa i kobietę. Rozpustne sukinsyny. - George powoli rozciągał usta w uśmiechu świadczącym o jawnym zachwycie. - Marzę, żeby pojechać znów do Rzymu i w ogóle. Zobaczyć, jak teraz wygląda. Jest tam kilka miejsc, które z chęcią bym odwiedził. Trzeba iść za ciosem. Żona nie da rady, będę więc musiał wybrać się sam. Póki jeszcze starcza sił.

- Ja z tobą pojadę.

- Pojedziesz? Co, do Rzymu? Cudownie. No to kiedy wyruszamy?

- Może za parę tygodni?

- Bądź rozsądny, przyjacielu.

- Jestem rozsądny.

- Aha. - George spuścił wzrok na talerz, a gdy jego spojrzenie padło na nóżkę kieliszka, dopił resztkę wina na dnie. Miał rozdziawione usta; żuchwa ciążyła ku dołowi.

- Cóż, powinniśmy pojechać, póki czas - rzekł - ty i ja. Powinniśmy się rozerwać. - Podniósł wzrok na Jana i uśmiechnął się. - W końcu to miło, że taki młody gość jak ty chce mi towarzyszyć

- Miło, że taki młodzieniaszek jak ty chce towarzyszyć mnie. Mam tylko nadzieję, że nie wpakujesz mnie w tarapaty.

- Te włoskie dziewczyny, przecudny tłumek. Będziemy potrzebować paru groszy na przyjemności.

- Tak jest. Czemu nie? Trochę sobie poflirtujemy. Przystojni z nas faceci, dojrzali, z fantazją.

- Zgadza się.

Kelner postawił między nimi mały talerzyk z rachunkiem. Jan wyciągnął rękę.

- Nie wypada - rzekł George, podając banknot przez blat stołu i wstając z miejsca. - Ej, jak się mówi po francusku dobranoc? - Słuchał, przymknąwszy jedno oko, wytknął palec i pokiwał głową, a następnie poszedł po płaszcz i czapkę, zatrzymując się na krótko przed stolikiem dwóch kobiet, skłonił się lekko i powiedział:

- *Bonsoir, dames.*

## 71

- *Au revoir, mon General* - zawołał właściciel sex shopu.

- No proszę - rzekł George - wziął mnie za Montgomery'ego.

fan obejrzał się za siebie. Mężczyzna stał oparty o witrynę sklepu, z ustami rozdziawionymi w uśmiechu, miał siateczkę zmarszczek wokół oczu, otaczały go krzykliwe barwy zwariowanych wytworów przemysłu, w którym kupowanie pamiątek służy zaspokajaniu fizycznego pożądania.

- Nigdy nie przypuszczałem, że tak to wygląda - stwierdził George, sadowiac się tak jak Jan na chłodnej skórze kanapy w nieskazitelnie czystym wnętrzu taksówki.

- Tu nie jest tak interesująco jak w Amsterdamie, tam dopiero by ci się podobało.

- Sprzedają mnóstwo śmieci, co? Kto to kupuje? Stare świntuchy?

- Tacy jak ty i ja - roześmiał się Jan.

George wzdygnął się, odchylił głowę, rozprostował podbródek.

- Nieee.

Byli w szampańskich humorach. W małej kafejce na Montmartre wypili na spółkę jeszcze jedną butelkę wina i niespieszonym krokiem zeszli po schodach poniżej Sacre Coeur.

Taksówkarz był starszym mężczyzną z pasmami siwych włosów starannie zaczesanymi na upstrzoną plamami pigmentacyjnymi skórę głowy. Miał elektryczny aparat słuchowy, który głośno bzyczał, co Jan zauważył, gdy kierowca wyszedł otworzyć im drzwi. Coś powiedział i Jan ponownie się roześmiał.

- Pyta, czy byłeś generałem. Słyszał, co mówił facet z sex shopu.

George pochylił się do przodu pomiędzy fotelami i uśmiechnął do kierowcy.

- We Włoszech - powiedział - byłem, ale utrapieniem generała.

Mężczyzna pokiwał głową ze śmiertelną powagą, pukając się otwartą dłonią w bok głowy i usiłując naprawić w ten sposób to, co zacinało się w aparacie. Bzyczenie przybrało nowy, wyższy ton, a mężczyzna zaklął i wykonał gwałtowny skręt.

- *Dites que mon père était aussi Général* - powiedział, odwracając się za siebie i patrząc na Jana skupionym wzrokiem - *pour la résistance*.

- Mówi, że jego ojciec był generałem, w ruchu oporu - wyjaśnił Jan, unosząc brew i dodając: - oni wszyscy tak mówią. - Mężczyzna dorzucił coś jeszcze, zaśmiał się gardłowo i skinął głową.

- Co on mówi?

- Że jakbyśmy chcieli poznać jakieś miłe dziewczyny, może nas przedstawić. Dla takiego znakomitego generała jak ty...

- Nie - odparł George, wyglądając przez okno, gdy samochód obwoził ich po placu Zgody - w moim wieku wolałbym raczej napić się whisky z winem imbirowym. Chciałem zobaczyć francuskie dziwki, no wiesz, minispódniczki, wysokie obcasy, czerwona szminka. Owszem. Ale Sprośna Uliczka nieszczególnie przypadła mi do gustu. Te sklepy... - Jan przypomniał sobie, jak właściciel ostatniego sklepiku, do którego weszli, zaoferował George'owi kasetę wideo zapowiadającą *Folies Anales*. George wyjął okulary z górnej kieszeni zapinanej na suwak kurtki i przyjrzał się bacznie pudełku. Nie zachnął się na zdjęcie z okładki przedstawiające penisa w pełnym wzwodzie wymierzonego w odbyt młodej kobiety. Patrzył to przez szkła okularów, to ponad nimi, przysuwając i odsuwając taśmę, po czym zwrócił ją sprzedawcy.

- Nie, dzięki.

Właściciel, wyraźnie rozbawiony, skierował się do działu oznaczonego symbolem XXX, powracając z dwiema bądź trzema innymi kasetami, by pokazać je starszemu klientowi. George zdecydowanym ruchem schował okulary do kieszeni kurtki, potrząsając głową.

- Wideo mi niepotrzebne. Wiem, jak to się robi. Tego się nie zapomina.

- Proszę nas zawieźć na Pola Elizejskie - Jan zwrócił się do kierowcy, który kiwnął głową.

- *Jusqu'au soldat inconnu.*

Po kilku chwilach milczenia, gdy taksówka sunęła pośród rześzystych świateł szerokiej arterii, Jan zaczął nucić *Alouette, gentil'alouette*, George podchwycił melodię i słowa, Jan przyłączył się do niego i już po chwili wyśpiewywali razem te kilka wersów piosenki, przesadnie akcentując poprzedzające refren „och” i rycząc na całe gardło. Kierowca pomajstrował przy aparacie słuchowym, najwyraźniej regulując głośność i wykrzyknął coś z irytacją.

Jan wskazał na Grób Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym i spytał George'a, czy chciałby prze spacerować się po Polach Elizejskich. George pokręcił głową i poklepał Jana po kolanie.

- Nie, synu, cudownie się bawiłem, sprawileś mi tą wycieczką niekłamaną przyjemność, ale teraz padam z nóg. Jestem wykończony. Wracajmy do hotelu, do brze?

Jan zgodził się i był zmuszony poklepać kierowcę po ramieniu, ten bowiem wyłączył aparat i nie słyszał polecenia.

## 72

Jan siedział na łóżku z nogami skrzyżowanymi w kostkach przy otwartym na oścież oknie i przy lampce nad

głową dającą dokładnie tyle światła, ile potrzebne mu było do czytania. Przywrócił książkę o cywilizacji europejskiej oryginalną obwolutę i utknął po kilku stronach pierwszego rozdziału. Znajdował się w tym samym miejscu już przynajmniej trzy razy. Ból w plecach mocno dokuczał. Wkrótce będzie musiał przejść na igłę motylek. Powiedziano, że pozwoli mu to kontrolować ból, dano do zrozumienia, że zyska w ten sposób swoisty rodzaj wolności. Lekarze mówili o tym jak o jakimś cudownym urządzeniu, o czymś, co podaruje mu nowe życie. Już nigdy nie będzie musiał cierpieć bólu; wystarczy wcisnąć guzik, by uzupełnić niedobór leku. Była to podróż bez powrotu; bezpośrednia droga do domu ojca. Wyjął kapsułkę morfiny, którą miał przy sobie i nalał do szklanki wodę z plastikowej butelki przy łóżku, a po chwili usłyszał pukanie do drzwi i głos George'a:

- Przepraszam, że cię budzę, przyjacielu, to ja.

Jan podszedł do drzwi i stanął przed George'em, który zdążył już rozebrać się ze swetra i koszuli, i miał na sobie tylko spodnie i podkoszulek. Szelki zwisały po bokach. Wyglądał na przygnębionego.

- Właśnie odebrałem telefon od starszej córki. Dorothy miała dzisiaj udar. Już w porządku, zatrzymano ją na noc w szpitalu i zostanie tam, mają nadzieję, tylko przez kilka dni. Dostaje jakieś leki, żeby wrócić do normy.

- Jak się czuje?

- Jeanette mówi, że ma paraliż połowy twarzy, który może jednakże ustąpić. - George obliznął wargi i przełknął ślinę. - Nie mogę tu zostać, skoro ona tak kiepsko się miewa. Będę musiał wracać jutro z samego rana, przyjacielu.

- Oczywiście.

- Zamienię bilet.

- Na pociąg.

- Tak. Carol wyjedzie po mnie do Ashford.  
- Odprowadzę cię na dworzec.  
- Nie, przyjacielu, wyruszę wcześniej rano, myślę, że przed szóstą.

- Nie ma sprawy.  
- Potrzebny ci sen.

Jan pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nie, czuję się dobrze, George, po naszej nocnej eskapadzie. Pojadę z tobą. Nie puszcze cię bez filiżanki herbaty.

- Zgoda. - George wyciągnął rękę i Jan mocno ją uściśnął. - Śpij dobrze, synu.

- Ty też.

Patrzył, jak George idzie wąskim korytarzem, dla równowagi przytrzymując się ścian. Widział gruby fałd różowej skóry, który oddzielał kilka rzędów krótkich białych włosów na karku od białej bawełny podkoszulka. Zauważył, że ręce przyjaciela są pokryte takimi samymi plamami jak głowa taksówkarza i że skóra na ramionach zwisa luźno jak w kurzych skrzydełkach. Kiedy George obrócił się na końcu korytarza i uniósł rękę w wieczornym pozdrowieniu, Jan nie widział jego oczu, tylko oślepiający błysk kryształowych kinkietów odbijających się w szklach jego okularów.

Wrócił do pokoju i spojrzał na łóżko zasłane prostym, surowym kocem i prześcieradłami założonymi pod materac tak ciasno, jakby przybito je gwoździami. Wybrał krzesło przy oknie, usiadł i sięgnął po telefon. Miał zamiar zadzwonić do starszego syna i poprosić, by wyszedł po niego na dworzec kolejowy w Brugii następnego dnia po południu. „Przyprowadź Bena”, powie, zaprosi ich na dobry obiad i szybko pozwoli im wrócić do własnych spraw. Ujrzy ich twarze w blasku świec płonących w pewnym znanym mu zajęździe.